ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/622-8/623 1999

• « La Culture » • Revue mensuelle •

K. CZYŻEWSKI: **NASZA BOŚNIA**
M. WILK: **GLOSARIUSZ ROSYJSKI**
A. STROŃSKA: **„ROZBIERZ SIĘ I DOKAZUJ"**
E. NOWAKOWSKA: **DOKTORANT NA PRZYSTANKU**
J.J. LIPSKI: **PROCES ANNY RUDZIŃSKIEJ**

P 9786 Arch Ch. W006

SPIS RZECZY

Krzysztof Czyżewski:	*Nasza Bośnia*	3
Mariusz Wilk:	*Glosariusz rosyjski (II)*	18
Zbigniew Florczak:	*W kontekście polsko-rosyjskim*	26
Anna Strońska:	*„Rozbierz się i dokazuj”*	39
	WIERSZE	
Leszek Szaruga:	*Trzynastozgłoskowiec dla Jarosława Marka Rymkiewicza – Ciało Księgi: Zdanie*	57
Adam Lizakowski:	*Na odejście hippisów – Drobnostki*	58
Joanna Kurowska-Młynarczyk:	*Joseph Conrad*	60
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Klara Nawrocka:	*Imigracja rosyjska: trudny sukces*	61
	WYWIADY „KULTURY”	
Ewa Nowakowska:	*Doktorant na przystanku. (Rozmowa z Piotrem Węgleńskim – nowym rektorem UW)*	67
Adam Gałkowski:	*UNESCO – klub dialogu odmiennych kultur. (Rozmowa z Wojciechem Fałkowskim)*	76
	KRAJ	
Krzysztof Wolicki:	*Pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny*	89
SMECZ:	*Z ukosa*	98
Ewa Berberyusz:	*Kartki ze skażonej strefy*	116
Karol Baumgartner:	*Polska w oczach Szwedów*	128
	SPRAWY I TROSKI	
Piotr Daszkiewicz:	*Czy Polska kupi naukowe oszustwo?*	133
Adam Nasielski:	*Na równi pochyłej*	137
	SĄSIEDZI	
Bohdan Osadczuk:	*Ukraina w opałach bałkańskiej wojny*	139
Andrzej Stach:	*Kronika niemiecka*	146
–	*Kronika białoruska*	152
	KRONIKA KULTURALNA	
Bolesław Taborski:	*Kontakt ‘99*	153
Andrzej Stach:	*Nagroda Śląska 1999*	160
–	*Stypendia naukowe Kasy Mianowskiego*	164

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 224

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień/Juillet-Août 1999

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Danuta J. i Andrzej M. Cisek, Yorktown Heights, NY – dol. 50,00	**F. 315,00**
Dla uczczenia drogiej pamięci Andrzeja Pleszczyńskiego w pierwszą rocznicę Jego śmierci – żona Irena, córka Helena, syn Władysław z rodzinami – dol. 100,00	**F. 630,00**
I.T.M., USA, po raz 16-ty – dol. 500,00	**F. 3.150,00**
Dr Stanisław Judek, Ottawa – po raz 23-ci – dol. can. 100,00 (przepraszamy za spóźnione odnotowanie Pana daru. Red.)	**F. 430,00**
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja), po raz 20-ty	**F. 100,00**
Danuta Szumska, Paryż – zamiast kwiatów na grób Jasia Lebensteina	**F. 300,00**
Teresa Torańska, Warszawa	**F. 1.000,00**
W dziewiątą rocznicę śmierci naszego nieodżałowanego Męża i Ojca Stefana Kopera – żona i syn Piotr, Arlington, VA, USA – dol. 100,00	**F. 630,00**
Tadeusz Wyrwa – w 29-tą rocznicę śmierci śp. Ojca, Józefa Wyrwy – ps. „Furgalski", „Stary" – jednego z najbliższych współpracowników „Hubala", później dowódcy samodzielnego oddziału partyzanckiego i następnie dowódcy 2-go Batalionu 25-go pułku AK	**F. 500,00**
Zamiast kwiatów na grób nieodżałowanej Marii Kwiatkowskiej, filmowca dokumentalisty, zmarłej 2-go czerwca br. w Warszawie – Przyjaciele z Paryża	**F. 200,00**

DZIĘKUJEMY

BIBLIOTEKA NARODOWA BN P.9786 Arch.

Nasza Bośnia

Obiektywność, w Bośni, nie może oznaczać neutralności, a głowa, w Bośni, nic nie jest warta bez serca.

Robert Cohen*

1.

Książkę Roberta Cohena czytam w Grazu, w starej Uhrturm, z której rozpościera się widok aż po granice z Węgrami i Słowenią. W dole pode mną stoi budynek dawniej zwany Domem Konrada, przy dzisiejszej Sackstrasse 18, w którym 13 marca 1863 roku przyszedł na świat następca tronu Habsburgów, Franciszek Ferdynand. Mieści się tam obecnie muzeum, a w nim fotografie z życia Arcyksięcia. 28 czerwca 1914 roku, morderstwo w Sarajewie. Tłum prowadzi schwytanego Gawriło Principa. Następnego dnia ciała Franciszka Ferdynanda i jego żony ułożono w otwartych trumnach w sarajewskim konaku. Potem rozpoczyna się ich wędrówka przez Europę Środkową. Spływają Neretwą przez Mostar do Adriatyku, płyną do Triestu, przeprawa przez Dunaj, zamek w Artstetten i Wiedeń. Wszędzie tłumy żałobników. Cesarz Franciszek Józef uchwycony w bryczce zdążającej na pogrzeb, postarzały, bezsilny. Tymczasem w Sarajewie wrze. W antyserbskiej demonstracji widoczni są przede wszystkim muzułmanie. Fotografie z procesu „Młodej Bośni", organizacji do której należał Princip i ten, który podkładał

* Robert Cohen: „Heart Grown Brutal. Sagas of Sarajevo", Random House, New York – Toronto, 1998.

bombę, Nedeljko Čabranović – w oczach misja, zacięte twarze, czytelna gotowość do walki i śmierci. Inskrypcja wyryta na Kosowym Polu zdaje się przebijać przez twarze tych młodzieńców: „Ktokolwiek jest Serbem, albo serbskiego pochodzenia, a nie idzie walczyć w Kosowie, niech pozbawiony zostanie dzieci, syna i córki. Niech wszystko, co hoduje, stanie się jałowe. Niech zostanie pozbawiony wina i pszenicy. Niech wszystko obróci się w pył aż do jego śmierci."

Przez całe lata istnienia Jugosławii, przy moście imienia Gawriło Principa, wmurowana była tablica upamiętniająca jego czyn, zwany tutaj bohaterskim. Dzisiaj młody nacjonalista serbski nie jest już bohaterem Sarajewa, a w miejscu tablicy pozostała pusta wyrwa. „Historii nigdy nie pozostawi się tutaj w spokoju" – pisze Cohen. Tego dnia, kiedy zabito Arcyksięcia, kiedy zostało położone zarzewie pod pierwszą wojnę światową, obchodzona jest również rocznica bitwy na Kosowym Polu. 28 czerwca 1989 roku do milionowej rzeszy zgromadzonej na miejscu klęski, która stała się chwałą, przemawiał wódz narodu, Milošević, przemawiał o narodzie „jednym z nielicznych, który w klęsce pozostaje niezwyciężony".

Wśród zamieszczonych na wystawie listów i komentarzy morderstwa w Sarajewie, zwraca moją uwagę ten autorstwa innego młodego nacjonalisty, Mussoliniego, opublikowany w *Popolo d'Italia* 10 lipca 1915 roku: „Heil dem Revolver des Princip und der Bombe des Čabranović!"

Historia nabrała przyspieszenia. Z mojej wieży w Grazu można było obserwować różne niezwykłe wydarzenia. Odnalazłem na przykład starą pocztówkę utrwalającą przelot nad nią zeppelina w 1931 roku. Wydaje się zupełnie nierealny, jak z dziecięcych wyobrażeń o przybyszach z innej planety. Wkrótce jednak pełne zachwytu oczy mieszkańców zwrócone zostaną na postać zgoła realną i bynajmniej nie z innej planety. Zachowane filmy dokumentalne rejestrują triumfalny wjazd Hitlera do Grazu, przy ogłuszającym aplauzie mieszkańców. Na pocztówce z roku 1938 z mojej wieży zwisają flagi ze swastyką, a ludzie biegną w dół, za wodzem. Kto też mieszkał w tej wieży przede mną?

Zbliża się pora obiadu. Czuję zapach, który tak dobrze pamiętam z Bośni, zapach duszonych warzyw i mięsa. To

pewnie pani Šarić, moja sąsiadka, przygotowuje bośniacką dagarę. Oboje z mężem pochodzą z Bjeliny i nie mają dokąd wracać. Miasto Graz dało im na czas jakieś schronienie. Mieszka tu też mój przyjaciel z Sarajewa, Dževad Karahazan. Właśnie się tam wybiera. Zapytałem czy by mnie nie zabrał. „Wiesz – powiedział – kiedyś, w czasie wojny, chciałem zabierać tam ze sobą różnych ludzi, tam się działo, tam byli potrzebni, tam było życie i walka. Teraz nie chcę zabierać do Sarajewa już nikogo. Jest gorzej niż było w czasie wojny." Pomyślałem o tutejszej synagodze, która została spalona podczas „nocy kryształowej". Ma zostać wkrótce odbudowana. Tak więc w spokojnym Grazu na wskrzeszenie tego, co zostało zniszczone w ślepej nienawiści, trzeba czekać ponad sześćdziesiąt lat. Robi się ciemno. Widzę przez okno jak pan Šarić wychodzi na spacer. Zawsze milczący, o czym myśli ten niedawny jeszcze więzień obozu koncentracyjnego w Bośni? Jest luty 1999 roku. Zabieram się do czytania „Serca stają się brutalne".

2.

Czy warto dzisiaj, po kilku latach od podpisania Porozumienia Pokojowego w Dayton w grudniu 1995 roku, powracać do Bośni? Czy można o Bośni coś nowego powiedzieć, po tym wszystkim, co oglądaliśmy na ekranach telewizorów i o czym czytaliśmy w prasie? Bośnię mamy za sobą, przerabialiśmy już to, dosyć. Życie toczy się dalej. Dlaczego Robert Cohen powraca do Bośni? Książka jest gruba, zdaje się mówić: opowiedzmy tę historię jeszcze raz od początku. Kronika umieszczona na wstępie rozpoczyna się od daty 395 roku – od podziału Imperium Rzymskiego na Wschodnie i Zachodnie, wzdłuż rzeki Driny. Fakty i daty zagęszczają się od roku 1918 – powstanie Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców, które w 1929 roku przekształci się w Jugosławię. To tutaj, zdaniem Cohena, tkwi początek całego dramatu, nie w odwiecznych, krwawych sporach, jak to próbowali imputować zachodni politycy, choćby Warren Christopher, amerykański sekretarz stanu, który w 1993 roku powiedział: „Nienawiść pomiędzy trzema grupami – Bośniakami, Serbami i Chorwatami – jest niemal nie do uwierzenia. Jest przerażająca i jest odwieczna. To w istocie problem z piek-

ła rodem." Nie. Problem tkwi w samej Jugosławii, w jej 73-letniej historii, zakłamanej, od początku wywołującej narodowe i religijne napięcia, które były siłą tłamszone, albo przez królewską dyktaturę, albo przez komunistyczny reżim.

Tak więc „opowiedzieć historię od początku" dla Cohena oznacza opowiedzieć ją od chwili zaistnienia pierwszej Jugosławii. W momencie wybuchu wojny w Chorwacji w 1991 roku, a potem w Bośni w 1992 roku, daty w Kronice się zagęszczają, tu już prawie każdy miesiąc zaznaczony jest osobno.

Musimy przejść jeszcze raz wszystkie etapy wojny i dotrzeć do rozmaitych miejsc, których nazwy chcielibyśmy zapomnieć – Jasenovac, Omarska, Srebrenica... Podtytuł książki, „Sagi Sarajewa", traktować można jedynie symbolicznie, bowiem jej akcja toczy się również m.in. w Belgradzie, Kosowie, Tuzli, Bihaciu, Kninie i Zagrzebiu.

Jednakże Robert Cohen nie chce nas wcale cofać do Bośni lat wojny po to, abyśmy jeszcze raz przeżyli historię. Ta książka stawia nas wobec Bośni dzisiaj. Rana nadal ropieje. Nie tylko dlatego, że Dayton nie przyniósł dla samej Bośni żadnego ostatecznego rozstrzygnięcia. To nie była tylko wojna. Także lustro przystawione do świata zachodniej cywilizacji, odbijające refleks prawdy o nas pod koniec dwudziestego wieku. „Chciałbym dotrzeć do czegoś poza wojną jako taką – pisze Cohen we wstępie – gdyż czułem, że cierpienie znoszone w Bośni sięga głębiej niż krew, która została przelana. W tych twarzach, których obraz ciągle mam przed sobą, zmaltretowanych i niewidzących, tkwiła rana zdająca się sięgać do samych trzewi naszego wieku."

Cohen stawia nas wobec Bośni dzisiaj, przyłapanych na próbie ucieczki. Po przeczytaniu tej książki Bośnia ponownie staje się n a s z a, aż do bólu.

3.

Z Sarajewa nad morze to był ledwie skok przed wojną, trzy godziny samochodem. W czasie wojny znacznie dłużej. Zerwane mosty, objazdy warunkowane aktualnym przebiegiem linii frontu, *check-pointy*.

Na drodze panuje niebywała ciasnota. Jedni jadą traktorami uprawiać ziemię, inni pojazdami opancerzonymi, by

strzec pokoju (tam, gdzie go już dawno nie ma), jeszcze inni uzupełniają zapasy broni i amunicji. Jadą ciężarówki z pomocą humanitarną, autobusy o przyćmionych szybach z kolejnym zestawem międzynarodowych negocjatorów, mercedesy z lokalnymi mafiozami i ambulansy Czerwonego Krzyża. Spotkasz tu ludzi, których wszelki handel trzyma przy życiu; tych poszukujących swych rodzin i tych poszukujących nowego domu; tych, co żyją z wojny i tych, co od wojny giną; żebraków, kaleki i rannych oraz politycznych turystów z aparatem fotograficznym lub kamerą pod ręką; tych manifestujących swą narodowość i tych, co by chcieli o niej zapomnieć. Mijasz ruiny świątyń muzułmańskich, katolickich i prawosławnych, spalone domy, zabite okna, balkony pełne drzewa zgromadzonego na zimę, flagi narodowe: bośniackie, chorwackie i serbskie (nigdy nie zdarza się tak, żeby choć dwie z nich zwisały z jednego domu). I groby, wszędzie groby, świeże, rażące bielą. W kurzu i jazgocie zawisa jakaś otępiająca cisza, która ciąży na duszy i oczy zasnuwa pustką.

Przejście graniczne bośniacko-chorwackie w Metkovicach i nagle, dosłownie po kilkuset metrach, i n n y ś w i a t: światła adriatyckiego portu w Splicie, rozpusta świateł bez żadnej troski o oszczędność; woda, za którą się tam ginęło, tu tryska fontannami; cisza harmonijnego piękna pałacu Dioklecjana obmywanego przez fale morskie, ta jego niezniszczalność, trwająca przez wieki; zakochani, wszędzie pary zakochanych, bogactwo w sklepach i beztroska na twarzach.

Każdy, kto spędził jakiś czas w Bośni podczas wojny, a potem dotarł do Splitu, nie zapomni tego zderzenia piekła z rajem, ciężaru z lekkością, mroku ze światłem, skomplikowanej złożoności z oczywistą prostotą, pokusy śmierci z pokusą życia. Jest to przede wszystkim wrażenie zmysłowe, które pozostaje na całe życie: czujesz zapach, tak, wolność pachnie, wolność to morze, za którym wszyscy w Sarajewie, Tuzli, Banjaluce, Mostarze... tak tęsknią.

Jednakże – i to jest wrażenie następne, które przychodzi po jakimś czasie, nasila się i zaczyna wypierać to pierwsze – trudno się takim odrodzeniem długo cieszyć. Zawłada tobą uczucie schizofrenii i dziwnego niepokoju. Cóż zatem jest rzeczywiste? Z każdą chwilą Bośnia, w której byłeś zanurzony,

zaczyna się od ciebie oddalać, odrealniać. Czy to wszystko tam rzeczywiście miało miejsce? Pojawia się przemożna pokusa, podobna do tej cielesnej, by dać się uwieść powabowi „innego świata", za którym już nie zapach wszakże się kryje, lecz uproszczona wykładnia faktów w mediach, interesy życiowe, konsensusy i inne „okoliczności obiektywne". Cóż może cię od tego odwieść i na powrót skierować w stronę mrocznego, bolesnego i trudnego?

W takim momencie zdarzyć się może, że staną przed tobą twarze ludzi poznanych w Bośni i serce ci się ściśnie na myśl jak osamotnieni tam pozostają. Nie ma nikogo, kto by dał świadectwo ich prawdzie, ich tragedii, ich niewypowiedzianej skardze. Obcując z nimi miałeś czasem wrażenie, że tym, co im doskwiera najbardziej, nie jest głód, zniszczenie czy poniewierka, lecz całkowite n i e z r o z u m i e n i e jakiego doświadczali ze strony innych ludzi. Zgodzić się na to, aby skomplikowany, wielogłosowy dramat, sprowadzony został do plemiennej rzezi? Przystać na logikę, zgodnie z którą to, co niezrozumiałe, nie istnieje? Pozostawić tych ludzi, czy też walczyć o sprawiedliwość dla nich? Nie o sprawiedliwość dla jednej ze stron w konflikcie, dla jakiegoś państwa narodowego, jak to robił pewien pisarz austriacki, lecz o sprawiedliwość dla ludzi, mieszkańców byłej Jugosławii.

4.

„Moje rozumienie wojny biegnie przez rodziny". Robert Cohen napisał sagę rodzin jugosłowiańskich, których rozpad i cierpienie wyraża najgłębiej dramat wojny. Bo przecież Jugosławia to nie był tylko sztuczny twór wytworzony w salonach polityków. Wspólnota ludzi różnych narodowości urzeczywistniała się również w życiu, w kulturze, w języku, a przede wszystkim w rodzinach, które nie znały podziałów narodowościowych. „Żaden Chorwat nie może powiedzieć, że jest czystym Chorwatem, żaden Serb nie może powiedzieć, że jest czystym Serbem, żaden Muzułmanin, że jest czystym Muzułmaninem. (...) Jesteśmy zmieszani" – mówi Vojna Adamović, której mężem jest Słoweniec, dziadek był Serbem, a babka Austriaczką. Na tym fakcie oparte było też długo utrzymujące się przekonanie o niemożliwości wybuchu zbrojnego konfliktu. Przecież oblężenie jakiegokolwiek miasta

w Bośni i rozpoczęcie jego ostrzału oznaczałoby mordowanie również „swoich". A jednak miasta oblężono, ostrzał rozpoczęto i „swoi" ginęli z rąk „swoich". Teoria Radovana Karadzicia, według której Serbowie nie mogą żyć razem z Chorwatami i Muzułmanami, tak jak woda nie może połączyć się z oliwą, okazała się silniejsza niż życie. Wspólnota międzynarodowa przyjęła zrozumiałą dla niej logikę przywódcy bośniackich Serbów i na krwawiącym organizmie wspólnych miast i rodzin wyrysowała precyzyjne granice podziału. To, co wyrysowano na mapie, zaczęło przenikać do życia, aż w końcu – jak mówi Vojna – „ludzie przeprowadzili granice w swoich umysłach". Ze strony władz muzułmańskich w Sarajewie rozpoczęto kampanię przeciwko mieszanym małżeństwom, jako „małżeństwom najbardziej zrujnowanym". Wojna w Bośni stała się „wojną intymnych zdrad", jak nazwał jedną z części swej sagi Cohen.

Historie rodzin, opisane w książce „Serca stają się brutalne" z literackim mistrzostwem, stają się metaforami zjawisk o szerszej skali niż skala pojedynczego losu. Historia Seada Mehmedovicia, poszukującego swego ojca, co prowadzi go ku poznaniu okoliczności powstania Jugosławii, a potem tragicznych wydarzeń okresu drugiej wojny światowej, ta wędrówka syna ku własnemu ojcu, symbolizuje pragnienie odzyskania własnej tożsamości, odnalezienia dachu nad głową w świecie, którego naturą jest wykorzenienie. Wstrząsającym symbolem europejskiej moralności i obecności sił międzynarodowych w Bośni, staje się pod piórem Cohena los Bisery Zacević, której muzułmańsko-serbska rodzina żyje w Sarajewie i Belgradzie. Po utracie syna walczącego w szeregach armii bośniackiej, Bisera zdecydowała się opuścić oblężone Sarajewo. Latem 1993 roku jedyna droga ucieczki wiodła przez odkryte lotnisko. 57-letnia kobieta biegła przez pas startowy nocą, w towarzystwie kolegi swego syna, który zgodził się jej asystować. Wtedy z jednej strony lotniska, tej pod kontrolą wojsk ONZ, silne światło reflektora oświetliło biegnących, podczas gdy z drugiej strony, tej kontrolowanej przez wojska Karadzicia, padły celne strzały. Wszystko odbyło się zgodnie z ustalonymi regułami: żołnierze ONZ, w zgodzie z ich statusem „neutralności", wykonali rytualną czynność służbową, bowiem inne postępowanie – jak tłumaczyli ich dowódcy – oznaczałoby

naruszenie bezstronności i porozumienia z władzami w Pale; żołnierze Karadzicia natomiast wykonali swój święty obowiązek w obronie własnego, śmiertelnie zagrożonego islamskim fundamentalizmem, narodu. „Kiedy Bisera Zacević upadła, kiedy stała się ofiarą desperacko potrzebującą humanitarnej pomocy, ONZ przyszedł jej z pomocą". Ruszył ku niej transporter opancerzony i zawiózł ją do szpitala. Następnego dnia, mąż, Asim, nie znalazł jej już w szpitalu. „Owinięta plastikowym workiem, leżała w kostnicy naga, bez ubrania, pierścionków i innej biżuterii, które nigdy nie zostały odzyskane. Na worku napisane było jedno jedyne słowo: NIEZNANA."

Roger Cohen widzi toczący się w sercu Europy krwawy dramat przez pryzmat pojedynczych ludzi i ich rodzin. Nie znaczy to jednak, że jego książka jest intymną sagą rodzinną, sagą małych-wielkich dramatów toczących się na ledwie zarysowanym tle historii. Cohen wcale nie chce oddalić od nas świata polityki, przez co stałby się on niezrozumiały i zatarty, wprawdzie nieludzki ale zawsze taki sam. Wręcz przeciwnie, chce go obnażyć, ukazując cały mechanizm jugosłowiańskiej tragedii. Przywołani z imienia i nazwiska prezydenci mocarstw zachodnich, przewodniczący światowych organizacji, dowódcy wojsk, negocjatorzy, politycy, przywódcy zwaśnionych stron, to żywe *dramatis personae* tej książki.

To, że Cohen cały czas ma przed sobą twarze ofiar tragedii, sprawia, że jest bezlitosny w dociekaniu prawdy i nieczuły na jakiekolwiek „racje obiektywne". Jak zwykli mówić Bośniacy „Drvo ne raste s neba" (Drzewo nie rośnie z nieba). Każda decyzja lub jej brak ważące o losach ludzi, ma w tej książce imię i nazwisko, każde wydarzenie ma swe źródło. Ileż tam zdrady, tchórzostwa, obłudy, kłamstwa... Bośnia otwiera oczy na to czym jest dziś Europa i Ameryka. W tym, co się stało, nie było żadnej konieczności, żadnej ślepej, niezależnej od ludzkich starań, mocy. Cohen pokazuje jak wiele mogła zmienić odwaga, ludzki honor i determinacja pojedynczych oficerów czy negocjatorów, takich jak generał Philippe Morillon czy Richard Holbrooke. Ale ci albo byli odwoływani ze swych stanowisk, albo przychodzili za późno.

5.

W księgarniach w Grazu trudno znaleźć książkę o Bośni albo byłej Jugosławii. Bez trudu można natomiast znaleźć książki Petera Handkego. Choćby efektownie wydany w ubiegłym roku album ze zdjęciami Lisl Ponger i tekstem Handkego pt. „Ein Wortland. Eine Reise durch Kärtnen, Slovenien, Friaul, Istrien und Dalmatien". Spokojne refleksje życia codziennego, kojącej natury, zwykłej normalności, żeby nie powiedzieć nudy. Jakby nic się nie stało. A właściwie, żeby dokładnie oddać nastrój tej książki: „Nic się nie stało. Spokojnie moi mili. Żyjcie normalnie i nie słuchajcie tych, co mówią o tragedii historii." Kiedyś Handke zasłynął powiedzeniem, że dla niego Europa Środkowa „ma znaczenie wyłącznie meteorologiczne", manifestując tym samym swój dystans wobec piętna historii, którym naznaczona jest ta część Europy. Był rok 1987. Drago Jančar, pisarz słoweński, w ostrożnej jeszcze wówczas polemice, zwrócił uwagę, że „dobrze jest spoglądać w górę i na chmury wędrujące po niebie, ale dobrze jest też patrzeć pod nogi, przynajmniej tak długo, dopóki w tej Europie Środkowej są pola minowe, druty kolczaste i mury berlińskie". Po tej uwerturze przyszła kolej na sprawdzenie ciężaru słów zaczerniających papier w intelektualnych dysputach, przyszła Bośnia. Jančar pisze słynny esej pt. „Augsburg". „Radio mozolnie przekonuje zagranicznych turystów, że Słowenia to kraj spokojny. Wojna jest gdzie indziej. Wojna jest w pudle telewizji stojącym w kącie. W tej dziurze świata, przez którą do pokoju ciągle wpadają nowe trupy". Pojechał też do Sarajewa, po czym napisał wstrząsający „Krótki raport z długo obleganego miasta". Postawa Handkego z tą jego „meteorologią" staje się opłakanie śmieszna. Zatem i on wyrusza w podróż jak tylko wojna w Bośni się skończyła. Na początku 1996 roku publikuje swój raport, swoją „Sprawiedliwość dla Serbii". Handke staje się bohaterem. Milorad Pavić, który towarzyszył mu w podróży do Kosowa, pisze: „...dobrze jest mieć Petera Handkego. Ale Petera Handkego mogą mieć tylko wielkie narody." Pomińmy jednak ten wątek narodowościowy, który w wydaniu byłego studenta z Grazu jest jedynie plagiatem tez wygłaszanych przez agencję informacyjną w Pale podległą Karadziciowi (do wierszy tego poety tęskni i często powraca).

Handkemu chodzi przede wszystkim o poddanie w wątpliwość realności tragedii w Bośni, tego, co obserwowaliśmy, czytaliśmy i czego doświadczyliśmy. Wszystko to jest nierzeczywiste, jest efektem międzynarodowego spisku mediów. Czy istnieje zatem alternatywna rzeczywistość? Pisarz nie daje odpowiedzi, pisarz zaciera obraz, mówi, że nie jest jasne kto atakował, a kto się bronił, pyta jak to było naprawdę z tym Dubrownikiem i czy pochodzący od Serbów Muzułmanie w ogóle mogą uchodzić za naród? Nieważna jest odpowiedź, ważne jest zatarcie, odrealnienie. Europejska kuracja dla tych, którzy mogli czuć wyrzuty sumienia z powodu obojętności wobec tragedii wydarzającej się tak blisko, że nie sposób było jej zagłuszyć. „Spokojnie moi mili – zdaje się powtarzać nasz 'meteorolog' – Skoro wszystko jest mgliste i wątpliwe, to w co się tu angażować? Nie dajcie się wedrzeć dziennikarzom w wasze sumienia, bo oni są na usługach światowego spisku".

Jednym z tej „hordy dziennikarzy", jak ich nazywa Handke, jest Robert Cohen, korespondent *New York Times*'a. Pośród jego kolegów po fachu ponad pięćdziesięciu oddało swe życie podczas wojny w byłej Jugosławii. Cohen nie zostawia naszych sumień w spokoju, nie zaciera obrazu, daje odpowiedzi. „Sprawiedliwość dla Serbii" stara się nie poprzestawać na faktach, „sięgać do głębi" i poetyzując w wolnym akcie twórczym atakować barbaryzm „upolitycznionej literatury". „Serca stają się brutalne" to literatura realistyczna, oparta na faktach i zaangażowana. Wystarczy przeczytać tytuły obu książek, by zdać sobie sprawę z dzielącej je różnicy.

Być może Robert Cohen nie zgłębia duchowej istoty rzeczy, na którą powoływał się Handke, z całą pewnością jednak dosięga do „samych trzewi naszego wieku". Pora przyjrzeć się obrazowi świata zachodniego nakreślonemu przez człowieka naznaczonego Bośnią. „To była nie tylko wojna, także otaczające ją hipokryzja i upadek moralny."

6.

Profesor Maria Todorova, wykładająca w Instytucie Historycznym Uniwersytetu na Florydzie, zajmuje się stereotypem „bałkanizacji". W 1998 roku opublikowała książkę pt. „Imagining the Balcans", jedną z najciekawszych jakie ostatnio ukazały się o Bałkanach. W wywiadzie udzielonym

Jędrzejowi Morawieckiemu w Czarnogórze** pani profesor, przyjmując postawę obiektywnego naukowca, krytykuje dziennikarzy i media w Ameryce za antyserbską stronniczość i kreowanie oraz wykorzystywanie stereotypów. Gdy pani profesor opowiada historię Serbki mieszkającej w Bostonie i przyjaźniącej się z Niemką, historię o tym, jak obie zaczynają podejrzewać, że dziwne spojrzenia kierowane na nie przez innych studentów wynikają z domniemania, że są nazistkami – wtedy wspólnie współczujemy niewinnym ofiarom stereotypów (choć czy to media są tutaj głównym winowajcą?). Wątpliwości nasze rosną, gdy pani profesor stwierdza, że sposób komentowania wojny w byłej Jugosławii przez amerykańskie media odpowiadał na zapotrzebowanie społeczne, a inteligencja dziennikarzy pozwalała im na określenie „kierunku wiatru". Oznacza to tyle, że gdyby ów „kierunek wiatru" był inny – a ustala go zapewne w jakimś salonie grupa podejrzanych osobników, która rozgrywa na szachownicy świata swoje gry interesów – to moglibyśmy na przykład oglądać w telewizorach kilkuletnie oblężenie Belgradu przez żądnych chrześcijańskiej krwi islamskich fundamentalistów. Przesadziłem? Ale przecież media mogą wszystko, a zwłaszcza geniusz w typie reżysera wielkiego widowiska dla mas z filmu „Truman Story". W każdym razie, zdaniem pani profesor, obraz wojny w mediach amerykańskich był nieobiektywny, czytaj: „antyserbski". Taka jest perspektywa historyka, który chłodnym (czytaj: obiektywnym) okiem przypatruje się ekranowi telewizora i wyszukuje odwiecznie obecne tam stereotypy. „Zawsze uważałam – powie pani profesor w wywiadzie – że dziennikarstwo powinno być traktowane jak działalność naukowa".

Ale to nie sprawa mediów jest najistotniejsza w rozważaniach pani profesor. W końcu dla nikogo nie ulega wątpliwości, że media folgują stereotypom i jestem przekonany, ze tropiciel antyserbskiego nastawienia wśród dziennikarzy ma na podorędziu niejeden przypadek dowodzący słuszności naukowej tezy. (Handke na przykład wytropił, że ofiary muzułmańskie są częściej pokazywane z bliska niż

** *Tygodnik Powszechny*, 13.09.1998.

serbskie.) Ważniejsze jest co innego. Rzecz się przecież dzieje pod koniec XX wieku, a więc w okresie kiedy nauka nie jest już w takim stopniu jak kiedyś pochłonięta badaniem jednego ethosu narodowego i jego prymatu nad innym. Jeszcze dla wcześniejszej generacji naukowców sprawa czy coś jest antyserbskie czy proserbskie mogłaby być sprawą zasadniczej wagi. Dla pani profesor, nowoczesnego naukowca, waga zagadnień leży w czym innym. W świecie, w którym w cenie jest obiektywność, neutralność, teoria równego dystansu, wielość prawd – w takim świecie nie do pomyślenia jest, żeby ktoś upominał się o moralną rację, co w literaturze oznacza zaangażowanie, w dziennikarstwie stronniczość, a podczas wojny podział na winnych i niewinnych.

Maria Todorova, która zbadała sprawę z różnych stron, przeczytała niejedną książkę, obiektywnym okiem przyglądała się mediom, wie jedno: „Prawda jest taka – mówi w wywiadzie – że nie ma 'czarnych' i 'białych'." Oto *credo* naukowej bezstronności, które zostaje zalecone dziennikarzom. Robert Cohen, który podczas wojny był w Bośni, rozmawiał ze wszystkimi stronami konfliktu, doświadczył tragedii ludzi po wszystkich stronach frontu, wie jedno: są czarni i biali. Więcej, od początku wojny wielki wysiłek polityków, a w ślad za nimi i niektórych mediów, został włożony w to, aby prawdę o istnieniu „czarnych" i „białych" zatrzeć. To powiedzenie: „Prawda jest taka, że nie ma 'czarnych' i 'białych'" stało się największym stereotypem ciążącym nad Bośnią, albo inaczej – to Bośnia zdemaskowała jeden z najbardziej rozpowszechnionych, a nienazwanych, stereotypów końca tego stulecia. Jako ekspert w tych sprawach pani profesor z pewnością potwierdzi, że stereotypy upraszczają, zwalniają z odpowiedzialności, ułatwiają życie tym, którzy im folgują – a nic lepiej nie może tych wszystkich cech spełnić w przypadku Bośni niż powiedzenie: „Prawda jest taka, że nie ma 'czarnych' i 'białych'".

Wiosną 1995 roku, po trzech latach oblężenia Sarajewa, pewna kobieta odciągnęła Roberta Cohena na bok i popatrzyła mu głęboko w oczy: „Tutaj rzeczy są czarne i białe" – powiedziała. – „Takie są. Zło jest na wzgórzach. Kiedy mówisz, że jesteś dziennikarzem, a zatem musisz być obiektywny i coś z tego, co piszesz, może nie być dobre dla

nas, za to dobre dla tych złych ludzi, wówczas rozumiem ciebie, ale jednocześnie nienawidzę. Tak, nienawidzę cię. Wszyscy pytają do czego to miejsce jest rzeczywiście podobne. Pytają nas, jak to jest żyć bez prądu, albo gazu, albo bez zarobku, albo bez życia? Jak to jest stać w kolejce po wodę? Jak to jest być obiektem doświadczeń w laboratorium? Oni nas pytają i pytają, i pytają. Ale żeby zrozumieć może powinieneś pójść na drugą stronę? Wtedy dadzą ci broń i będziesz mógł spojrzeć wokoło budynku i będziesz patrzył i zobaczysz człowieka. Wtedy poznasz, co to znaczy być myśliwym. I wtedy pociągniesz za spust i zobaczysz padającego człowieka i uświadomisz sobie, że go zabiłeś. To jest fakt. Fakt. I wtedy być może nie będziesz musiał wiedzieć tak wiele o nas, nie będziesz musiał wiedzieć czyimi jesteśmy potomkami, ale dlaczego zostaliśmy Muzułmanami, albo czy Muzułmanie są narodem, albo czy Bośnia istnieje, albo cokolwiek innego".

7.

Zatarcie różnicy pomiędzy czarnym i białym, utożsamienie obiektywizmu z neutralnością, dogmat równego dystansu, nieodpowiedzialność i obojętność wobec tragedii usprawiedliwione jej zamazanym i niepojętym obrazem niknącym gdzieś w otchłani dziejów – to tylko niektóre symptomy naszej kondycji duchowej, które Robert Cohen wydobywa z „samych trzewi wieku". Bośnia okazała się także bezlitosnym testem dla humanitaryzmu, tej może ostatniej duchowej iluzji świata zachodniego pod koniec dwudziestego wieku. Praktyka humanitaryzmu nabrała znaczenia w Europie po upadku Muru Berlińskiego. Koniec zimnej wojny, rozpad imperium sowieckiego, powstawanie młodych państw narodowych – wszystko to niosło groźbę nowych konfliktów, które często zostały jedynie zamrożone przez komunistyczną dyktaturę. Odpowiedzią na te zagrożenia miał być właśnie humanitaryzm, który z paru względów był atrakcyjny. „Nie ma co do tego wątpliwości – pisze Cohen – że dostarczenie średnio prawie tysiąca ton żywności dziennie dla 2,7 milionów potrzebujących w Bośni ratowało życia ludzkie. Daje to wrażenie, że coś zostało zrobione, że zaniechanie ryzykownej interwencji zbrojnej zostało oku-

pione. To dobrze współgra z 'multilateralizmem', innym wspaniałym mechanizmem rozmywania ryzyka. (...) O wiele łatwiej jest zrozumieć 'ofiary' niż trudzić się nad rozpracowaniem odpowiedzialnego za ich zaistnienie. Ofiary pobudzają uczucia i nudzą inteligencję. Jak pogoda, to niewyczerpane źródło współczesnego dramatu, posiadają łatwość w dotarciu do telewizyjnego widza." Zatem powraca do nas „meteorologia", tym razem już nie w wydaniu kontestującego fakty pisarza, lecz doktryny wspólnoty międzynarodowej. I tak jak wtedy patrzenie w niebo na przepływające chmury miało odwracać uwagę od bolesnej rzeczywistości, tak teraz „dokarmianie ofiar miało się stać substytutem powstrzymania rzeźników". To, co się działo w Bośni w oczach światowych decydentów nie było wojną lecz „klęską humanitarną", a czasem wręcz „kleską naturalną", skoro jej źródła tkwiły w plemiennych nienawiściach i były „z piekła rodem". Konsekwencją tych teorii było tworzenie „stref ochronnych" oraz embarga na dostawy broni, w sytuacji gdy jedna strona była w posiadaniu doskonałego uzbrojenia, a druga nie posiadała go prawie w ogóle. Margaret Thatcher nazwała tę decyzję Unii Europejskiej „przyzwoleniem na masakrę". Humanitaryzm charakteryzuje się również swoistą „podwójną mową", przypominającą trochę retorykę Kosowego Pola, gdzie klęska staje się zwycięstwem a atak obroną. Otóż mówiono na przykład jednocześnie o obrońcach barbarzyńskiej Bośni i o niezaangażowanych agentach humanitaryzmu; oblężenie Sarajewa nie było rzeczywistym obleżeniem tylko „otoczeniem w zbrojnej przewadze" przez Serbów i „taktyczną rezygnacją z przewagi" przez Bośniaków; oficerowie UNPROFOR przypatrujący się ostrzałowi Sarajewa przez ciężką artylerię, zwykli mówić: „Nie możemy kontrolować sytuacji, ale monitorujemy ją"; zalecenie „odparcia ataku" w przypadku „stref ochronnych" interpretowano najpierw jako „obronę przed atakiem", ale i to zmieniono na „humanitarną asystę" w chwili, gdy wojska generała Mladicia zajęły Srebrenicę bez jednego wystrzału ze strony wojsk ONZ. Niewiele się zmieniło od czasu, gdy były sekretarz generalny U. Thant zauważył, że ONZ „jest jak parasol, który się zwija, gdy zaczyna padać", Robert Cohen, wśród wielu głosów ludzi wstrząśniętych moralnym upadkiem

elit świata zachodniego, który uwidoczniła Bośnia, przytacza opinię amerykańskiego dyplomaty, Charlesa Thomasa: „Polityka zagraniczna jest jak zasada starego pocałunku: po prostu nie popuszczaj, głupcze. Powinniśmy im powiedzieć, kiedy wojna się rozpoczęła, że albo przyjmą warunki, albo wstrzymają ostrzał Sarajewa, albo ich pozabijamy." Takie zdanie na początku wojny w byłej Jugosławii nie mogło paść z ust żadnego dyplomaty, polityka czy dowódcy. W sposób rażący naruszałoby retorykę humanitaryzmu, drażniło swym barbarzyństwem cywilizowany słuch, przywykły do zdań o prawach człowieka i ochronie życia ludzkiego. W roku 1995, po wielodniowym, zmasowanym ataku sił lotniczych na pozycje wojsk Karadzicia i Mladicia, stało się jasne, że w tym przypadku tylko siłą można położyć kres zbrodniom i zaprowadzić pokój. W międzyczasie zginęło 200.000 ludzi. Pytanie, dlaczego zwlekano aż ponad trzy lata z interwencją zbrojną w Bośni, wisi nad nami jak czarna zmora.

Porozumienie pokojowe podpisano w Dayton 14 grudnia 1995 roku. Kiedy Robert Cohen spytał Asima, męża Bisery zastrzelonej na lotnisku, co czuje, odpowiedź brzmiała: Nic. Tej zimy nie było radości w Sarajewie. Dziwne zakończenie wojny: wróg nie pokonany, zło nie przezwyciężone. Pojechałem do Sarajewa następnej zimy, kiedy był tam Jan Paweł II. Papież, skulony na otwartym stadionie, w śnieżycy, omal nie został porwany przez wichurę. Czy ktoś dosłyszał jego słowa „Niste sami. Bog je sa vama"? (Nie jesteście sami. Bóg jest z wami.) Teraz znowu jest zima. Tutaj poszukują robotników do oczyszczania cegieł z burzonego właśnie dawnego budynku gestapo. Te cegły pochodzą ze spalonej synagogi. W miejscu, gdzie kiedyś stała, rozkopana jest już ziemia i kładzione są fundamenty. Dzevad pojechał. Pozostałem z Bośnią w Grazu.

Krzysztof CZYŻEWSKI

Glosariusz rosyjski (II)

Russkij Sjewier

„Russkij Sjewier – kraj, który stworzył wielkoruskie państwo, i który chroni w sobie żywą pamięć Świętej Rusi. Wszelkie zaglądanie w przeszłość Rosji i wszelkie pątnictwo po jej śladach zaprowadzi nas na Północ, tam do dziś bieleją ściany wielkich monastyrów, skrywające rękopisy przedziwnej urody i ikony, tam, w leśnej głuszy, zachowały się stare sprzęty, wierzenia i byliny".

Georgij Fiedotow

Obszar, zwany też *Pomor'jem,* na północ od linii, która biegnie od Czudskiego Jeziora, przecina rzekę Wołchow powyżej Nowgorodu, skręca za rzeką Msta na południowy wschód do zlewiska Wołgi i Oki, dalej wzdłuż Wyczegdy i Miezieni wpada do Morza Białego (linię tę można przedłużyć do Uralu prawym brzegiem Oki i Wołgi, i dolnym biegiem Kamy, Białej i Ufy) – jako odrębny etnograficzno-kulturowy region formował się od XII do XVII wieku. Do Rewolucji (niektórzy twierdzą, że do d z i ś!) przetrwały tutaj w czystszej postaci, niźli gdzie indziej w Imperium, resztki starego bytu Ruskich – okruchy ruskiego *mira.*

Ale *Russkij Sjewier* nie zawsze był *russkij.* Kiedyś zamieszkiwały tu plemiona niewielkich ludzi o płaskich twarzach i kruczych włosach, życiem i obyczajami przypominający Indian. Gocki historyk Jordanes (urodzony około 500 roku) pierwszy nazywa – w dziele „O pochodzeniu i czynach Gotów" – niektóre z nich: Thiudos, Vas, Mordens...

Później pojawiają się w innych źródłach – niewyraźne jak twarz odbita w poruszonej wodzie – i u pisarzy bizantyjskich, i w traktatach arabskich, i w kronikach zachodnioeuropejskich, i w sagach skandynawskich, i w relacjach kupców-podróżników. Lecz dopiero „Powieść minionych lat" odnotowuje w miarę dokładnie nazwy szczepów oraz miejsca ich przebywania. Do naszych czasów z większości doszły zaledwie puste nazwy – Czudź, Muromcy, Pieczorcy, Czudź Zawołocka – a ci nieliczni, co się ostali – Łopary czy Samojedzi – błądzą po tundrze, niczym cienie dawnych nazw.

„Powieść minionych lat" powiada, że z plemion słowiańskich najdalej na Północ sięgali Krywicze, Wiatycze i Słowienie; ci ostatni osiedli nad jeziorem Ilmień, bo dalej ich nie puścili Wikingowie. Skąd się tam wzięli Wikingowie? Spory między uczonymi trwają do dziś, choć nie ulega wątpliwości, że w VIII wieku siedzieli już na lewym brzegu Wołchowa, 12 wiorst od Jeziora Ładożskiego, tam bowiem znaleziono ich ślady – drewnianą pałkę z magicznymi runami, mogiły ludzi grzebanych w łodziach, rogaty szyszak... Według latopisów to właśnie stamtąd, na prośbę Czudzi, Słowienów i Krywiczy, Ruryk z Wikingami, zwanymi też Ruś, rozpoczął w 862 roku porządki wśród północnych plemion, czyli dał początek tworzeniu Ruskiego państwa. Sama Ładoga w IX stuleciu była sporą osadą na skrzyżowaniu wodnych dróg z Bałtyku i Skandynawii do Kijowa, Powołża i dalej do krajów arabskich. Jak w tyglu mieszały się tam i szczepy, i geny – normańskie, słowiańskie i ugrofińskie – dając w efekcie ruski a l i a ż (etniczny).

Stamtąd zaczęła się także ruska kolonizacja Północy. Na Jeziorze Ładożskim można bowiem było ludzi i łodzie wypróbować przed trudną drogą, od Wikingów nawigacji się nauczyć, wiatru pokosztować. Odległa Północ kusiła daniną – rybą, sobolem, kłem morsa. Zwłaszcza, że tubylcze plemiona, rozproszone w tundrze, rzadko stawiały opór. Ciągnęły więc watahy Ładożan i Nowgorodców rzecznymi *tropami,* taszcząc swoje *ukszujki* (rodzaj dłubanych łódek) z rzeki do rzeki przez mchy i trzęsawiska – Swirem do Jeziora Onieżskiego, dalej zaś Wygiem (obecnie tamtędy wiedzie Biełomorkanał), Sumą czy Niuchczą, tudzież Oniegą lub Jemcą i Północną Dwiną do Białego Morza, oraz Piniegą, Piezą i Cylmą,

albo Suchoną i Wyczegdą do Kamienia – tak zwano wtedy Ural.

Pod datą 1096 w „Powieści minionych lat" Nikon przytacza opowieść Guriaty z Nowgorodu: „Posłałem swojego chłopaka do Pieczory, do ludzi, którzy nam dają daninę. I dotarł chłopak mój do nich, i poszedł dalej do ziemi Jugorskiej. Jugra to ludzie o niezrozumiałym języku, i sąsiadują z Samojedami z północnych stron. I powiedziała Jugra chłopakowi memu: nowe i dziwne znaleźliśmy dziwo, o jakim wcześniej nie słyszeliśmy , a zaczęło się to trzy lata temu. Są góry dochodzące do zatoki morskiej, wysokie do nieba, a w górach tych słychać krzyk wielki i głosy, i ciosają te góry, chcąc się z nich wyciosać, i wyciosali otwór, i stamtąd gadają. Ich języka nie znamy, lecz pokazują żelazo i machają rękami, prosząc o nie; i jeśli ktoś da im żelazo – nóż lub siekierę – to w zamian oddają futra. Droga do gór tych jest trudna do przebycia, przez przepaście, śniegi i las, dlatego nie zawsze tam dochodzimy. Powiedziałem Guriacie, że to lud uwięziony w górach przez Aleksandra, cara Macedońskiego, który dotarł na wschodzie do morza, zwanego miejscem Słonecznym, i zobaczył tam ludzi z plemienia Jafeta, i oglądał ich nieczystość – zjadali wszelką ohydę, komary i muchy, koty, żmije i trupy nie grzebali, lecz pojadali, i poronione płody kobiece jedli. Ujrzawszy to, Aleksander się przestraszył, czy aby się nie rozmnożą, i ziemi nie zanieczyszczą, i zagnał ich na Północ, w góry wysokie; i góry te zamknęły się za nimi...".

Pierwsze stałe osiedla Rusi Nowgorodzkiej nad Białym Morzem pojawiły się pod koniec XIII wieku. Bogaci bojarzy, żądni wciąż nowych włości, ekwipowali drużyny swoich *chołopow,* ci docierali do Białego Morza, szli wzdłuż brzegów, szukając dogodnych miejsc dla osady, zwykle ujścia rzeki, nią podchodzili do pierwszych progów, tamże osiadali i łowili ryby, bili sobole lub warzyli sól dla swego bojara, „przymęczając" do pracy okoliczne „karelskie dzieci" oraz „dzicz łoparską", zatem podążali dalej i dalej w głąb lądu, nowe osady zakładając, aby w końcu przyłączyć całą połać kraju do *wotcziny* (ojcowizny) rodu pana. Za drużynami *chołopow* ciągnęły na Daleką Północ zastępy *inokow* w poszukiwaniu pustelni, „...gdzie każdy mógł siebie odnaleźć i innym dać przystań dla surowego odosobnienia". Z biegiem

czasu owe pustelnie stawały się dużymi monastyrami – Sołowieckim, Pieczengskim, Nikoło-Karelskim, Archangielskim – i przejmowały trud kolonizacji *Russkogo Sjewiera.* Takim sposobem Ruś Nowgorodzka zajęła i Ujście Dwiny, i Terski Brzeg, potem Brzeg Pomorski i Letni, wypierając stamtąd bądź „przymęczając" tubylców.

Prócz Rusi Nowgorodzkiej na Północ ciągnęła też Ruś Rostowsko-Suzdalska (zatem Moskiewska) z międzyrzecza Oki i Wołgi. Najprzód na Zimowy Brzeg i do Kraju Pieczorskiego za sokołami, później zaś – pod naciskiem Tatarów – w Zawołocze na wschód od Dwiny, tam osiadała wzdłuż Piniegi, Miezieni i Wagi. Aż doszło do wojny pomiędzy Nowgorodem a Moskwą o Ziemię Dwińską. I żal, że polski król Kazimierz nie wspomógł wtedy nowgorodzkich bojarów, gotowych przejść na katolicyzm i przyłączyć swoje włości do Rzeczpospolitej w zamian za pomoc przeciw Iwanowi III. Jedna tylko Marfa Borecka władała Ujściem Dwiny, Letnim Brzegiem i całą Zatoką Onieżską z Sołowkami. Gdyby polski Kazimierz wysłuchał jej prośby o wsparcie – kto wie? – może *Russkij Sjewier* byłby dzisiaj Polską Północną. Niestety, Rzplita się nie wmieszała, Iwan Wasiliewicz bojarów nowgorodzkich pobił i *obiezgławił,* włości Boreckiej oddał sołowieckim *inokam,* a bojarskich *chołopow* i tubylców przez nich „przymęczonych" poprzemieniał w tak zwane „sieroty Wielkiego Gosudara Moskiewskiego", czyli we wieśniaków, siedzących na ziemi Gosudariewoj, ale w swoim użytkowaniu.

Zresztą, tubylcy rychło się zruszczali, albowiem „...z nową wiarą i z ruskimi imionami przyjmowali obyczaje Ruskich, osiadali wokół cerkwi lub czasowni i zaczynali żyć po rusku do tego stopnia, że – według starych gramot – niepodobna ich było odróżnić od rodowitych Nowgorodców czy Rostowców". Rzecz jasna, proces przebiegał i w drugą stronę, i Ruscy przejmowali obyczaje tubylców, ich sposoby życia na Północy wiekami odpolerowane – jadło, odzież, rodzaj zajęć, kształt narzędzi, profil łodzi... Z biegiem czasu na *Russkom Sjewierie* uformował się etniczny typ Pomorców – ludzi śmiałych, przedsiębiorczych i przywykłych do swobody, jako że Północ nie znała ni pańszczyzny, ni jarzma tatarskiego. Surowy klimat ich zahartował, wiatry wytrawiły, kompas zwali „matką", morze – „drogą", i mierzyli je dniami – nie

wiorstami, chodząc naprzeciw słońcu, i „do Obi rzeki Wielkiej", i do Mangazei. Na odległych łowiskach Murmana oraz Nowej Ziemi pracowali *artiełami,* w siołach żyli *mirom,* tworzyli cuda drewnianej architektury, ułożyli setki bylin...

W XVI stuleciu na *Russkom Sjewierie* pojawili się cudzoziemcy – najpierw Anglicy, za nimi Holendrzy – płynęli z Europy, omijając Półwysep Skandynawski i Kolski, do Chołmogorów, stamtąd Dwiną i Suchoną przez Wielki Ustiug do Wołogdy, dalej lądem do Moskwy wieźli sukna angielskie, koronki brabanckie, sól hiszpańską, wina reńskie, porcelanę i lustra (chociaż Ruś nade wszystko przedkładała armaty, kule i proch), a z powrotem zabierali czarny kawior i ruską naftę, futra, ziarno, puch... Niebawem północny trakt stał się nerwem kraju, życie tam tętniło jak na jarmarku: ludzie bogacili się, zamorscy kupcy kupowali domy, budowali składy, krążyły towary i wieści ze świata, mody, ploty i złoto. Tym bardziej, że Moskwa utraciła dostęp do Bałtyku, ustępując Szwedom Narwę, więc tylko przez Białe Morze mogła wieść zarówno handel, jak i dyplomatyczne intrygi. Cudzoziemscy posłowie, kupcy i awanturnicy nieraz pisali z zachwytem o *Russkom Sjewierie* – o miastach bogatych i bardziej europejskich niż Moskwa, o ziemiach obfitujących płodami, o dobrobycie wsi... Nie dziw, że niejednemu przychodziło do głowy, by kraj ów – tak drogocenny – zaanektować (już w 1617 roku projekt angielskiego protektoratu nad *Russkim Sjewierom* przygotował dla królowej Elżbiety agent handlowy John Merrick). Ale i Ruscy, nie w ciemię bici, cenili północne rubieża. – Ruś na Północ twarzą się zwróciła – powie akademik Płatonow... I dopiero Piotr Pierwszy obróci ją twarzą na Zachód. Odtąd życie na *Russkom Sjewierie* zamiera, nie bez pomocy cara, który udusił tamtejszy handel zakazem wywozu przez port archangielski całego szeregu towarów, kierując ich potok przez odzyskaną Narwę i Rygę, oraz Petersburg. Kolejni carowie czerpali z Północy na podboje Południa – jak gdyby ze szkatułki – stopniowo ją opróżniając, aż bogata, morzem i handlem żyjąca kraina, przekształciła się w głuchy ostęp raskolników, zsylnych i zbiegów... W końcu Rosyjskie Imperium zapomniało o Północy, rozpierając się i na Wschód, i na Zachód, i na Południe, jednocześnie.

Wiek XVIII i XIX zakonserwowały *Russkij Sjewier* – i w mowie, i w obyczaju. Na przykład niektóre słowa, które można odnaleźć tylko w zabytkach literackich Dawnej Rusi, tutaj są żywe do dzisiaj. Tu przetrwały, choć zwyrodniały, tradycje ruskiego *mira* i wiary starego obrzędu, tu się ostały dawne sposoby wiązania sieci i strofy niegdysiejszych bylin staruchy tu pamiętają. Wiek XX bowiem – rzekomo postępowy – w rzeczy samej zamkął *Russkij Sjewier.* Jak zonę.

Akademik Lichaczow nazywa dziś *Russkij Sjewier* – esencją ruskości.

●

W eseju „*Russkij wopros* pod koniec XX wieku" Sołżenicyn wpierw obala mit o nowgorodzkiej demokracji XV-XVI wieku, powtarzając za Płatonowem, że w Nowgorodzie rządziła oligarchia paru rodów bojarskich, a dalej pisze, że krajem prawdziwych swobód demokratycznych było *Pomor'je,* „...gdzie ruski charakter rozwijał się niezależnie, nie uciskany moskiewskimi porządkami i bez skłonności do rozbojów, znamiennych dla kozactwa południowych rzek". Tam też – według Sołżenicyna – winna Rosja skierować swój wzrok w XXI wieku.

Russkij

„Dawniej pisano *Prawda Ruskaja*, tylko Polacy zwali nas *Rossijej, rossijanami, rossijskimi*, według łacińskich zasad pisowni, a myśmy to przejęli i wprowadzili do swej cyrylicy i teraz piszemy *russkij*".

Słownik Dala

Niegdyś Daniel Beauvois w liście do *Kultury* zwrócił uwagę na niewłaściwe – jego zdaniem – posługiwanie się przeze mnie wyrazem *ruski,* którym rzekomo zastępuję słówko *rosyjski* i nazwał to „...wypaczeniem językowym, godzącym w wizję Europy Polaków". Dalej profesor napomniał o obowiązku przestrzegania odwiecznego obyczaju języka

polskiego, każącego mówić o Rusi w dwóch tylko wypadkach: 1) kiedy rzecz się tyczy Słowiańszczyzny wschodniej do XV wieku; 2) lub dawnych ziem wschodnich Rzeczpospolitej, to znaczy Ukrainy i Białorusi. Precyzja językowa – według profesora Beauvois – szczególnie waży w chwili, gdy niezależność tych krajów każe je ściśle rozróżniać.

Z punktu widzenia odwiecznego obyczaju języka polskiego profesor Beauvois ma niewątpliwie rację*. Natomiast z pozycji człowieka od lat siedzącego w Rosji (chociaż polonisty z wykształcenia), sprawa nie jest tak prosta i kategoryczna, jak prawidła gramatyki, na odwrót, gmatwa się i mgli, co sprawiło, że odstąpiłem od reguł poprawności językowej na rzecz słuchu. Wszak słyszę *russkaja pieczka*, nie *rossijskaja*, takoż *russkaja idieja, russkij duch*. Za to Rosyjska jest Federacja i rosyjskie regiony, i nawet Czeczeńcy są wciąż jeszcze obywatelami rosyjskimi, choć nigdy nie byli *russkimi*. Ba, dzisiaj Rosjanie się kłócą, kto z nich naprawdę jest *russkij*, a kto – dla przykładu – Żyd.

„Albowiem sam przymiotnik *russkij* od dawna stał się problemem... – zauważa Fiodor Girenok, profesor filozofii Uniwersytetu Moskiewskiego, w swej ostatniej książce pod znamiennym tytułem 'Pato-łogija russkogo uma' – ...aż dziw bierze, skąd ta nieprzezwyciężona u nas niechęć do słowa *russkij* i próba zamienienia go jakimś innym wyrazem. Z niewiadomych przyczyn usiłujemy stworzyć językową zasłonkę dla normalnego uczucia identyfikacji z całością. Najpierw taką zasłonką było słowo *sowietskij*, potem, powołując się na Karamzina, zamieniono go *rossijaninom*". (Podkreślam całość, bo w niej – moim zdaniem – jest pies pogrzebany. Tytułu książki profesora Girenka nie tłumaczę, gdyż przełożony na „rosyjski umysł" zaprzeczyłby intencjom autora, a jako „ruski" nie tylko nic nam nie powie o umysłach Ukraińców czy Białorusinów, ale ich może obrazić!

Dodam jeszcze – nie wychodząc z nawiasu – że przekład niektórych *russkich* słów na język polski rodzi problemy,

* Aczkolwiek Samuel Linde w swoim „Słowniku języka polskiego" wyrazy *ruski* i *rosyjski* traktuje jako synonimy, a 3-tomowy „Słownik języka polskiego" z 1978 roku dopuszcza w potocznym użyciu słowo *ruski* zamiast *rosyjski*. (Dopisek późniejszy.)

związane z brakiem gruntu w polszczyźnie – bytowego, mentalnego... – dla owych słów, co sprawia, że tłumaczenie ich tworzy sytuację, kiedy mamy słowo, a nie ma rzeczy nim określanej, lub doświadczenia, i następuje podmiana, w wyniku której za *russkim* słowem w polskim przekładzie stoi jakaś polska rzeczywistość albo zgoła nic. Ot, *russkij duch*... jak go przełożyć na nasz język, nie gubiąc po drodze albo ducha, albo woni? Według Dala *russkij duch* najlepiej się czuje w *russkom* języku bynajmniej nie na salonach, gdzie go łacińska gramatyka życia pozbawiła, lecz w głębi kraju – tam słychać żywą chłopską mowę, „...od której z daleka niesie dziegciem, siwuchą lub chlebowym kwasem, przepoconą baranicą i brzozowymi witkami".)

Całość? Otóż to... Kiedyś Fiedotow (potem Sołżenicyn) pisał, że Rosja nie jest częścią Europy, jak Niemcy czy Włochy, lecz całym światem, jak – dajmy na to – Chiny. Osnową tego świata jest *russkaja* kultura (formy bycia) – nie państwo, naród czy wiara. Co prawda Fiedotow mówił o świecie w granicach Rosyjskiego Imperium, które się rozpada na naszych oczach, ale to nie znaczy, że wraz z nim przestają istnieć formy *russkogo* bycia. W Europie także cesarstwa się rozpadały i nowe państwa powstawały i granice się zmieniały, lecz nikt nie powie, że Francja to europejski kraj, a Słowacja – nie, bo gdy kultura europejska się formowała, to państwa słowackiego nie było. *Russkij* świat tworzyła Ładoga, Nowgorod, Kijów i Moskwa, swój wkład weń wnieśli Tatarzy i Czudź, i nie widzę przyczyn, by go rozdzielać tylko dlatego, że dziś Rosyjskie Imperium pączkuje.

Gdyby Rosja była częścią Europy, ba... to problemu by nie było, bo można by się odwoływać do wspólnego kodu kulturowego – jako pewnej całości – z nim mógłby się identyfikować i profesor Girenok, i profesor Beauvois. Lecz Rosja nie jest Europą i kategorie europejskiej logiki czy polskiej gramatyki w zastosowaniu do niej trafiają jak kulą w płot.

Mariusz WILK

W kontekście polsko-rosyjskim

Znajdujemy się w klamrach różnych przymusów: dystans między dwoma sąsiedzkimi narodami musi być ograniczony, zmniejszony, a może z biegiem czasu nawet anulowany. W przeciwnym wypadku – lepiej nie rozważać tego co mogłoby nastąpić w wypadku przeciwnym. Trzeba tę pracę redukowania dystansów i różnic od czegoś zacząć. Może od prostego zabiegu: od nazwania rzeczy niedomówionych po imieniu?

Czy snucie tych planów ma sens bez udziału samych Rosjan? W odpowiedzi na poprzedni brulion tego szkicu Jerzy Giedroyc tak właśnie to ujął: „Myślę, że należy to poprzedzić pytaniem, czy Rosjanie w ogóle są zainteresowani udziałem w takich rozważaniach?" Uwaga z początku zbijająca z tropu, ale czy słuszna? Rosjanie są na pewno dalecy (zwłaszcza teraz) od takich deliberacji. Jednak nie tylko o Rosjan chodzi. Nie chodzi o nich w pierwszym rzędzie. Podejmowana tu próba analizy jest bardziej katalizą, ma na celu przyspieszenie pożądanych procesów, poderwanie do lotu ludzi i rzeczy zarastających gwałtownie trawą. Więc zacząć ją trzeba by niekoniecznie od tamtego brzegu, przede wszystkim po naszej stronie. Rozważania wyglądać będą na monolog, bo i takim są w rzeczywistości. Co nie znaczy, że są gadaniem do ściany. Najpierw trzeba oddziałać na polską wyobraźnię, która nie jest najlepiej rozwiniętym członem zbiorowej świadomości. Nie było po prostu sprzyjających warunków, żeby tę wyobraźnię szeroko wykształcić.

Miłosz w liście do rusycysty i filozofa, Andrzeja Walickiego: „Co nas przeraża jest realne. Rzeczy przerażające bywają koniecznością. Choć takie sprawy rozstrzygają się zwykle w historii bardzo powoli".

Jakie mianowicie rzeczy przerażające? Tych straszydeł nigdy u nas nie brakło, w każdym razie od końca wieku XVIII. Na pierwszym miejscu przerażającą rzeczą jest nasz patriotyzm, któremu brak hartu intelektualnego. Uogólnienia nigdy nie mają sprawdzonych podstaw, ale dużo przemawia za tym, że u nas uczucia patriotyczne były ściśnięte między ścianami zbyt jednostronnych dziejów, które zalecały najwyżej cenić gotowość do odporu, powstania, konspiracji – i tak było, co tu gadać, aż do Solidarności, z Solidarnością włącznie. Patriotyzm musiał w tych rygorach ucierpieć, jego niezbędny muskuł, wyobraźnia, uległa spłaszczeniu. Maria Dąbrowska zapisała w „Dziennikach", dziesięć lat po odzyskaniu niepodległości: „Polska nie ma żadnej wielkiej namiętności, żadnej sprawy nie porusza z dojściem aż poza granice doczesności, nie ma metafizycznego ujęcia rzeczy. Jedyną namiętnością Polski jest d z i a r s k o ś ć!"

Ironia tego spostrzeżenia jest surowym wyrokiem, rodzajem sceptycznej diagnozy. Sugeruje zawężenie diapazonu rodzimej mentalności. Nie tylko Dąbrowska odniosła to wrażenie. Gdy się słyszy hymn narodowy, słynny Mazurek, to człowiek jest wzruszony, bo jakże inaczej? Kto się wychował na „Nurcie" Berenta, ten dzieło Generała, który po polsku nawet dobrze wysłowić się nie umiał, traktuje serdecznie i żarliwie: choćby ze względu na jego antybohaterszczyznę, ze względu na jego mądrą i cierpliwą indywidualność. Tym niemniej diapazon naszego hymnu wydaje się żenująco dziarski – bez zadumy i powagi. Dlatego właśnie, że dzieje polskie sprasowały nas do wymiaru dziarskości, bez szans na bogatszy rozwój. Świadomą rolę odegrała tu Rosja. Udawanie, że się o tym nie pamięta – nie sprzyja, wbrew pozorom, reperacji wzajemnych stosunków. W artykule, gdzie o taką reperację właśnie chodzi, nie ma sensu udawać, że się o tym nie pamięta. Do tego interesu (chodzi przecież o interes, i to obustronny) można przystępować tylko z czystą hipoteką, po obu stronach.

Do czego dochodzi jeszcze świadomość głębokich różnic kulturowych, więc to cały węzeł. Ale nie do przecięcia, tylko do rozsupływania, bez względu na czas i trudności. Nie jest to sytuacja nierozwiązywalna. Nie wierzę, żeby takie sytuacje w ogóle istniały *de facto*, choć rodzą się one w niepełnosprawnej wyobraźni. Conrad, tak bliski mi Conrad, ustanowił

diagnozę, że między światem rosyjskim a polskim rządzi *incompatibility of temper*. Ale za prawdę definitywną przyjąć tego nie można, bez względu na autorytet Conrada, bo znaczyłoby to samouwięzienie i to nie tyle w idei, co raczej w formule. Tę formułę znakomicie, bo praktycznie, rozwinęli bezprzykładnie głupi rządcy PRL-u. Ten kult „Bratniego Narodu Radzieckiego"! Można się wahać w opinii, czy okres PRL-u nie stwarzał – mimo wszystko – okazji do wzajemnego ograniczonego rozpoznania Polaków i Rosjan. Ale zasiano mowę-trawę, która zawsze znakomicie obrodzi – i szanse na takie rozpoznanie zostały zlikwidowane, wystąpiono z *nota bene* niepoważnym programem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, który oczywiście miał skutki odwrotne.

Na gruncie ignorancji wyrosły błyskawicznie rozmaite fobie, ciąg dalszy poprzednich historycznych fobii. Głęboka nieufność, która u Polaków miała charakter obronny, u Rosjan agresywny. Zapomniano o leczniczym wątku *katharsis* – kierującym ku lepszym rozwiązaniom... Wiedza o przeszłości? Nie jest to nigdy wiedza ścisła, to ciągi faktów aranżowane i reinterpretowane. Nie ma sensu wciąż czerpać energię (o wątpliwych zaletach) z wypchanych stereotypami kieszeni historii. Tego zdania jest Giedroyc, gdy komentuje poprzednią wersję mego brulionu: „Należy spojrzeć na Rosjan po nowemu. Nie można się odwoływać do historycznych *clichées*, powtarzać Herzena utwierdzając nasze polskie kompleksy."

To słuszne. Ale ten Herzen jest bezprzykładną postacią w zapuszczonej, rozkopanej strefie między Polską a Rosją. „Jasnowidzący i najbardziej rozdarty z liberałów rosyjskich, umysł nawiedzany profetycznymi pytaniami, zrażony do kraju, zawiedziony Zachodem, niezdolny do obrania sobie ojczyzny, ani do zagłębienia się na dłużej w jakimś problemie, choć tak go pociągały spekulacje na temat życia narodów..." Pisał to Cioran w „Historii i utopii", gdzie znajduje się obszerny rozdział poświęcony Rosji, „La Russie et le virus de la liberté". Herzen opowiedział się za sprawą 1863, co go kosztowało utratę czytelników *Kołakoła*. W pamiętnikach napisał: „Nie ma narodu sąsiadującego z Rosją, który by mniej znał Rosję, niż Polacy. Na Zachodzie najprościej nie znają Rosji. Ale Polacy nie znają jej z premedytacją"

(podkreślenie Herzena). To już nie *clichée*, tylko fundamentalna uwaga, dobre odbicie do tych refleksji.

Orzeszkowa! Jej premedytacja przyniosła owoce pierwszorzędnego gatunku. Orzeszkowa jest przykładem, jak rozwiązać etyczny problem patriotyzmu. W zasadzie patriotyzm jest stanem emocji i wartościujących przekonań, które uchodzą za samo przez się zrozumiałe, bo są niewinne jak sama natura. Toteż patriotyzm odznacza się okrucieństwem natury. Z założenia jest nietolerancyjny, obcych dyskredytuje, na ołtarze wynosi wszystko, co swoje. Na linii jego rozwoju znajduje się megalomania. Powieści Orzeszkowej czytywałem niechętnie, bojąc się zakalcowatego języka. Za to umysł jej szybował ponad zdolności i środki artystyczne jej powieściopisarstwa. Wiedziała o tym, to był jej dramat. „Gdyby z moją umysłowością połączyć talent Sienkiewicza, byłby szyk-pisarz!" – zwierzała się w liście. Hipolit Korwin-Milewski we wspomnieniach: „Mieszkała wówczas w Grodnie pani Eliza Orzeszkowa, ogólnie uznana kapłanka jednocześnie patriotyzmu i płaczliwej demokracji". Daj nam Boże jak najwięcej tego rodzaju demokratycznej płaczliwości! Wchodzi w poufały kontakt z miejscowym żywiołem białoruskim, pomaga, edukuje: wie, że to nie folklor, tylko sól tej ziemi. Z Żydami przyjaźni się w całym znaczeniu słowa. Odwiedza ich w domach. Proszę zauważyć, że „Meir Ezofowicz" jest wyjątkiem w polskiej literaturze. Starzejąca się pisarka bierze lekcje litewskiego! Ani w głowie jej nie postało, że w sprawie polsko-rosyjskiej klamka zapadła na zawsze. W Rosji chciwie czytają jej powieści, więc korzysta z tej osobistej koniunktury. Koresponduje z Rosjanami, głównie z twórcami *Russkiej Mysli*, Ławrowem i Golcewem. Gotowość, wyczekiwanie, wymacywanie szczelin w betonie obustronnej obcości. Wiara (którą podzielam, w swojej skali) w nadzwyczajną skuteczność osobistych kontaktów – z osobami wybitnymi, ponad głowami polityków. Warto temu się przyjrzeć w całym zespole okoliczności. Zakisłe w niezrównanym prowincjonalizmie Grodno (zwie je Ongrodem: „miasto prześladowane przez fatalizm, za jednego Batorego, który tu umarł, żyją w nim dziesiątki tysięcy głupców"). Bolesne odczucie swojej ojczyzny konfrontuje z analogicznymi, bez

porównania mniej skomplikowanymi sentymentami Rosjan. Humanizm rozumie jako pracę duchową, jako podróż poza zastany świat własny. Przekonany jestem, że nie istnieje znakomitsza forma patriotyzmu.

Polacy w Petersburgu. Byłoby absurdalne, gdyby w tym okresie zalążkowego rosyjskiego parlamentaryzmu zabrakło Polaków. Więc świetnie, bo we Francji, wykształcony Korwin-Milewski, który w Orzeszkowej nic poza płaczliwością nie dostrzegł. Dmowski, tzw. Kadeci, z Aleksandrem Lednickim na czele. Słynny adwokat, z rozmachem uprawiający działalność polityczną w polskim interesie. Syn Wacław, filolog, zostawił niezrównane „Pamiętniki", źródło wiedzy o Rosjanach (matka jest Rosjanką) i lekcja wymownie uzasadnionej do nich sympatii. Skandalem jest, że dwa tomy tych wspomnień dotąd nie zostały przyswojone czytelnikowi w kraju. Pionier rusycystyki Włodzimierz Spasowicz, założyciel petersburskiego *Kraju,* ważnego organu, którego rola zdaje się do dziś nie jest naświetlona. Inni rusycyści: Józef Tretiak, Jan Łoś, Stanisław Ptaszycki, Aleksander Jabłonowski. Brückner – wielostronny i niestrudzony! Jego „Historia literatury rosyjskiej" (wydanie niemieckie już w 1905!) pozostaje o ile wiem do dziś niezastąpione. Marian Zdziechowski, uczony o temperamencie moralisty, filozoficznie bliski Sołowiewowi. Pisał o nim Wacław Lednicki: „Rosja wabiła Zdziechowskiego potężnie... Pióro jego rozpłomieniało się blaskiem szczególnym, gdy dotykało migotliwej powierzchni spekulacji rosyjskich intelektualistów. Sofistyczna ambiwalencja rosyjska fosforyzowała jego mózg... Aż – wskutek szoku doświadczeń wojny – odwrócił się od nowej bolszewickiej Rosji z przerażeniem i wstrętem"...

Wzajemne związanie jest długie i różnorodne, z tym, że Polacy zawsze mieli pozycję moralnie bardziej komfortową. Mickiewicz pisze z żarem nekrolog Puszkina w *Globe*. Jakie to musiało mieć echa, jeżeli w Rosji krążyła wtedy uporczywa legenda, że polski poeta wyzwał na pojedynek d'Antèsa, zabójcę Puszkina. W literaturze naszej nie brak Rosjan ukazanych z wyraźną sympatią. Major Płut i kapitan Rykow w „Panu Tadeuszu". Major Waldemar Hawryłowicz w „Fantazym". W 1948, w Teatrze Polskim oglądałem w tej roli dość

już wiekowego Zelwerowicza. Cisza zapadła na widowni, gdy leżący na deskach, z ręką na sercu, Major deklamował połamaną w tym miejscu kwestię: „Ha! Ot i z Janem moim moja Dania / Na wieki... więcej nie mogę!... W pigułce / Tej pistoletnej sto ognistych mieczy... / Dania – Jan – poszukaj w szkatułce / Chce się do niebios już..."

Tylko głupcom może się wydawać, że tego rodzaju bezinteresowne uczuciowe komunikowanie się między narodami za pośrednictwem poezji – a pod prąd utrwalonym resentymentom – nie ma znaczenia.

Atrybutem, głównym atutem dziejów, jest fakt ich trwania, ich ciąg dalszy – niewyczerpany potencjał. A. Rogalski, autor książki „Rosja a Europa" wydanej w 1960, wtedy bezcennej, bo wielki rozdział polsko-rosyjski został tam prawdomównie naświetlony, wypowiada zdanie nie tyle odkrywcze, co stale obowiązujące: „Naród powinien być panem swojej historii, a nie jej niewolnikiem". Nie wiem, jak to u innych wygląda, niżej podpisany czuje się ze swojej strony doskonale nieprzemakalny na fatalizm i jego gusła. Historii nie uda się zamknąć żadną definitywną formułą, bo to zjawisko w ruchu. Nie da się zatrzasnąć jej żadnym *incompatibility of temper* jak niefortunnie zakonkludował wielki Conrad.

Każdy naród ma swoją własną manierę postrzegania i wartościowania, o skutkach deformujących, z czym mu dobrze, bo buduje dlań jego dom wraz z otoczeniem. Tam jak drzewa wyrastają jego własne prawdy. Choć to irytuje (nieobiektywizm tego układu jest rażący) ale w sumie składa się na rozmaity pejzaż historyczny. Nie można oceniać narodu bez jego tradycyjnych skłonności i fobii, które o odmienności stanowią. Największym nieszczęściem tego co eufemistycznie zwie się współżyciem narodów jest najeżenie się, obwarowanie kolczastym drutem subiektywnych i wykluczających się wzajemnie ocen. Może kiedyś nauczymy się patrzeć na sąsiada z innej perspektywy, niż wyznacza własna zagroda!

Co właściwie znaczy tzw. szeroka dusza rosyjska? Urodzona w Szczecinie Niemka, Katarzyna II, zakochuje się w Rosji. Drugiej Niemce, młodziutkiej narzeczonej Wielkiego Księcia, będzie tłumaczyć: jak step na horyzoncie miesza się z nieboskłonem, podobnie bezgraniczna jest natura rosyjska,

nieruchoma, uśpiona, czasami targana bezrozumnym wichrem. I taki jest rosyjski język, fleksyjny, pojemny i chwytliwy. Lud, przeniknięty prawosławiem, tak w dobrym jak i w złym nie zna umiaru. Nie brakło Katarzynie inteligencji: czyż można lepiej scharakteryzować te fenomeny nie mieszczące się w zachodnich normach? Przykładem, kwintesencją ich – kniaź Potiomkin, faworyt carycy. Jak nabab bogaty, uzdolniony nadzwyczajnie, czuły, wzniosły – i ni stąd ni zowąd ponury, dziki, rozlazły. Genialność jest u niego chorobą: powoduje cykliczne prostracje. Kniaź zamyka się, tłucze kosztowną porcelanę, żywi się chlebem i cebulą zapijanymi kwasem. Damy dworu i ambasadorów przyjmuje w szlafroku, bez koszuli i bez gaci pod spodem. Z generałami gada o Bogu, o wojnie z dostojnikami cerkwi. Cyklop Grisza Potiomkin – lustrzane odbicie Rosji, figura z Dostojewskiego *avant la lettre*. Hrabia de Ségur i książę de Ligne z podziwem i konsternacją rozwodzą się o tym w swoich raportach.

Karykaturalna dziwaczność rosyjska nie bierze się z niczego. Bieg historii, bardziej zagmatwany i brutalny, niż gdzie indziej, narastający w splotach i węzłach – składa się na tę odrębność, dla której ścisłej nazwy nie ma. Oto główne motywy tego zjawiska: dwa wieki wykluczenia z własnych dziejów, pod jugiem tatarskim; przymusowa osmoza z Azją, która wtedy miała wysoką cywilizację: chrześcijaństwo z Bizancjum, więc dodatkowy asumpt do odwrócenia się od Zachodu. Moskwa jako drugi Rzym. Brak cywilizującej lekcji Renesansu. Josif Brodski, w pięknym eseju „Ucieczka z Bizancjum":

„Ruś otrzymała lub wzięła z Bizancjum wszystko: nie tylko liturgię chrześcijańską, ale także chrześcijańsko-turecki system zarządzania państwem (stopniowo coraz bardziej sturczały, coraz mniej wrażliwy, coraz bardziej ideologiczny militarnie) (...) Jedyną rzeczą jaką Bizancjum porzuciło w drodze na Północ były jego godne uwagi herezje (...) Czysto fizyczna siła Wysokiej Porty hipnotyzowała Północ w daleko większej mierze niż teologiczne polemiki wymierających scholastyków. (...) Co dziś odróżnia sekretarza generalnego od padyszacha – lub, w rzeczy samej, od cesarza? I kto powołuje patriarchę, wielkiego wezyra, muftiego, kalifa? Co różni Biuro Polityczne od Wielkiego Dywanu? (...) Czyż mój kraj rodzinny nie jest obecnie Imperium Otomańskim – z uwagi

na rozmiar, na potęgę militarną, na zagrożenie świata zachodniego? (...) Na podstawie chyba niezbyt dostatecznych powodów uważamy siebie za Europejczyków. Z tego samego powodu uważałem mieszkańców Konstantynopola za Azjatów. Z tych dwóch założeń tylko pierwsze okazało się sporne..."

Mniejsza, co z tego eseju, pisanego w 1972, daje się w sposób bezpośredni zastosować do dzisiejszej Rosji. Sam klimat zagadnienia, jeżeli tak można powiedzieć, jest chyba wciąż aktualny: te rozważania w istocie beznadziejne, u Brodskiego naszkicowane z dyskrecją, czym jest Rosja, czy w ogóle pozwala się określić...

Jeden z najinteligentniejszych ludzi wieku XIX, P.A. Wiazemski, robił zapiski niekiedy skondensowane jak kalambur. Za życia Puszkina odnotował: „Wiele rzeczy z naszej przeszłości wyjaśnia fakt, że jeden Rosjanin, mianowicie Piotr Wielki, wszystko robił aby nas przefasować na Niemców, a jedna Niemka, mianowicie Katarzyna Wielka, chciała z nas zrobić Rosjan."

Charakter tego narodu ugruntował się w kombinacji z niezmiennością ziemi. Na przełomie wieku w Sankt Petersburgu działali świetni prawnicy. Polak Leon Petrażycki swoją filozofią prawa wywarł wielki wpływ na prawników petersburskich.

Ale wydaje się, że w Rosji zawsze było najistotniejsze jedno prawo: prawo ziemi, to znaczy przestrzeni. „W pamiętniku jednego z oficerów niemieckich – pisze Juliusz Mieroszewski – natknąłem się na określenie, że Rosja jest krajem bez horyzontu, gdy się do niego dotrze, znowu pola, wzgórza i rzeki, bez końca. Przestrzeń rosyjska w najtwardszym człowieku budzi uczucie bezsilności."

Jeżeli bezhoryzontalność rosyjska (nie mieszcząca się w żadnych kategoriach poznawczych) ma aż taką siłę fascynacji w stosunku do zewnętrznych obserwatorów – to byłoby absurdem przypuszczać, że pozostała bez wpływu na psychikę i charakter samych Rosjan. Oczywiście jest to siła deformująca, która bezsilność, jak to ostrożnie nazwał Mieroszewski, przemieniła w bezwład i fatalność. Staram się tutaj cały czas nie dać się uwieść efektownym uogólnieniom, nie poddać się temu, co Rosjanie zwą *nabor słow*. Nie zapominam, że posługuję się stereotypami tzw. szerokiej duszy rosyjskiej. Ale

co jest ciekawe, nie można oprzeć się wrażeniu, że w danym przypadku stereotyp nie wydaje się zbyt oddalony od istoty rzeczy.

W końcu niczego to nie wnosi w ten artykuł, nawet go może hamuje. Uważałem, że jednak należy to odnotować. Jerzy Giedroyc przestrzegał: „Na Rosjan trzeba spojrzeć po nowemu, bo to, co się teraz w Rosji dzieje, nie ma analogii w historii". Na pewno nie ma analogii. Zmiany dokonują się na dwóch płaszczyznach, państwowej i na drugim poziomie, znacznie trudniej dostrzegalnym, bo w r o z r z u c i e społecznym, w wielu punktach niezmiennej i rozmaitej płaszczyzny. Analitycy z warszawskiego Ośrodka Studiów Wschodnich (cytuję za wicedyrektorem O.S.W., Bartłomiejem Sienkiewiczem) konstatują: państwo rosyjskie zanika w swoich strukturach, bo jeden z najważniejszych spójników, pieniądz, przestaje organizować życie społeczne i gospodarcze; skala załamania cywilizacyjnego nie da się we współczesnej Rosji ocenić, choćby z tego powodu, że w stosunku do tych zjawisk straciły wartość normatywne terminy. Równocześnie – decentralizacja władzy powoduje doniosłe zmiany, nabierają znaczenia władze lokalne, które muszą się liczyć z miejscowymi ludźmi. Te przeobrażenia idą niewątpliwie w kierunku demokratyzacji, choć pojęcie to należy stosować z najwyższą ostrożnością. Opinia publiczna stała się nareszcie jawna, funkcjonuje mianowicie konkurencyjny rynek coraz liczniejszych źródeł informacji. Po kilkuset latach samodzierżawia i 75-ciu latach bezsensownego ustroju sowieckiego, uznać to trzeba za fenomen bez ceny, i takim jest rzeczywiście. Mimo głębokiego, w wielu przekrojach, zamętu, Rosjanie mają absolutne poczucie swojej odrębności, domagającej się formy państwowej.

Obchodzi nas przede wszystkim kwestia: czy będzie to państwo obywatelskie, rozbudowane pionowo, w głąb świadomości cywilnej, czy po staremu wyłoni się z zamętu jakaś mniej czy bardziej jawna powtórka państwa o ambicjach imperialnych, opartego na zasadzie wewnętrznej przemocy? I Mieroszewski i Cioran, niezależnie od siebie, podkreślali ów nieobliczalny, samonakręcający się czynnik bezmiernego obszaru. Cioran, w szkicu o Rosji pt. „L'histoire et l'utopie" zaczął od słów: „Rosjanie są wielkim narodem". Po czym

zaproponował zadziwiający aksjomat: „Swoje zamiary ekspansji Rosja będzie musiała usprawiedliwić tylko w jeden możliwy sposób: – Jeżeli mam tej przestrzeni aż tyle, to dlaczego nie miałabym jej mieć aż zanadto? – Taki p a r a d o k s jest zawarty w jej proklamacjach i w jej przemilczeniach". Cioran pisał to trzydzieści lat temu, kiedy nikt nie mógł sobie wyobrazić destrukcji państwa sowieckiego. Nie można było wtedy przewidzieć w Rosji konkurencyjnego rynku medialnego, który uniemożliwi i dawne zagadkowe proklamacje, i jeszcze bardziej zagadkowe przemilczenia.

Wspólne mianowniki. Bieg rzeczy nigdy nie ustaje, dotyczy to nie tylko jednostek, ale w równym stopniu, choć inaczej, zbiorowości. Analogie do sytuacji poprzednich zawsze były złudzeniem, tym bardziej teraz, gdy tempo zmian dudni za oknami jak pociąg. Te założenia, w istocie minimalne, mogą się okazać minimum zaskakująco dynamicznym. Wspaniały podróżnik i pisarz, Ryszard Kapuściński, trzy lata temu odbierał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego. Wygłosił wtedy przemówienie, którego trzonem było naszkicowanie odmiennego niż kiedyś odczuwania ludzkiej rzeczywistości. Zmierza ono, mówił Kapuściński, ku konsolidowaniu się świadomości g l o b a l n e j.

„Bardzo trudno zdać sobie sprawę, że nie jesteśmy sami na świecie. W myśleniu ignorującym fakt istnienia innych brakuje czegoś istotnego: perspektywy planetarnej. Trudność mówienia o naszej planecie bierze się choćby i z tego, że świat z każdego miejsca wygląda inaczej, a liczba punktów obserwacji jest ogromna. Musimy więc szukać wspólnych mianowników. Jednym z nich – i to rzuca się w oczy w czasie podróży przez planetę – jest widoczny wszędzie niespotykany dawniej wzrost wszelkich inicjatyw, pobudzenie i ożywienie, krzątanina, podwyższenie energii ludzkiej świata. Jest wszędzie więcej działań, myśli, woli, ambicji i starań. Planów i marzeń. Przyczyniła się do tego likwidacja krępujących ruchy imperiów, koniec terroru ideologicznego, długoletni pokój, dążenie do demokracji. Gwałtowny rozwój środków komunikacji międzyludzkiej. Ludzkość zaczyna się organizować według nowych, trudnych jeszcze do zdefiniowania struktur i ideałów. Ale jeżeli przyjrzeć się temu uważniej, jedno staje się widoczne: wszędzie jest więcej społeczeństwa a mniej państwa. I wszędzie, jak napisał wybitny fizyk amerykański,

Freeman Dyson, w książce pod takim właśnie tytułem, 'nieskończoność postępuje we wszystkich kierunkach'".

Leningrad, w końcu czerwca 1963. Upały. W notesie mam adres nieznajomego malarza i telefon. Biorę taksówkę, która mnie przerzuca gdzieś w pobliże Wyspy Wasilewskiej. Powiedziano mi przez telefon, że taksówkarz powinien skręcić za ulicą Kołomenskaja. Duży, kiedyś pewnie okazały budynek, ale dziś schody brudne i nieoświetlone. Mieszkanie na drugim piętrze, na pewno tzw. ścieśnione, bo są tam jakieś przepierzenia zastawione szafami, zza których dochodzą odgłosy życia innych lokatorów. Cała noc upłynie w mroku i w niezmiernym gadaniu, w gronie nieznanych mi intelektualistów leningradzkich, architektów, ale głównie malarzy obojga płci. Nic nie szkodzi, że nie znam nikogo, noc i ta ograniczona przestrzeń mają jakieś swoje środki szybkiego pośredniczenia, jakby dotykowe i już po godzinie jesteśmy w zażyłości. Jemy pierożki z kapustą, choć nie pamiętam żadnego stołu. Pijemy wódkę, dużo-dużo wódki. Jednak nie ona, zaręczam, inspiruje rozmowy z całym ich falowaniem. Ręce się myje na klatce schodowej, ciemnej i oślizgłej, z kranu ledwie kapie. Mogłaby tu mieszkać stara lichwiarka, którą zamordował Raskolnikow. Dokładnie w tymże czasie, w południe, na odległym lotnisku w Moskwie ląduje samolot Fidela Castro, obłapuje gościa Chruszczow krótkimi rączkami. A my tymczasem – jak zaklęci – w gwarze wielkiego gadania. O czym jest ten *bolszoj razgowor*? Trudno określić, leci to kaskadowo. Oni mnie – o niesamowitych scenach oblężenia ich miasta. Na Wyspie Wasilewskiej, na przykład, rozebrano wtedy na opał drewniane zabudowania. Ja im – o Powstaniu w Warszawie... Skazany na swój *volapük,* ostrużyny wyniesionej z dzieciństwa białoruszczyzny, plus dziesiątek wyrazów rosyjsko-podobnych. Otóż z porozumieniem się, tak jak z zażyłością, nie ma żadnych kłopotów. Jeżeli zdarza się kłopot, to tylko rozśmiesza, co dodaje rozmowie wymiaru. Oni, wreszcie – o nowoczesności w malarstwie, zaintrygowani tym ponad miarę, bo ja przecież z tej Polszy, gdzie nowoczesnym żadnych wstrętów się nie robi. Wyciągają swoje abstrakcyjne płótna: ach, jakie niedobre, aż zęby bolą! Ale w ich spojrzeniach tyle bolesnego wyczekiwania, że mam gdzieś

prawdomówność i kiwam głową, że mi się podoba. W roku poprzednim, 1962, Nikita w moskiewskim Manežu, na górnym piętrze niedostępnym dla zwykłych obywateli, obejrzał prace najwybitniejszego rosyjskiego rzeźbiarza, Nieizwiestnego. Przeraził się i bluznął najordynarniejszymi przekleństwami, których w rosyjskim nie brakuje. No a w 1975, w parku Izmaiłowskim, gdzie dwudziestu paru malarzy nieoficjalnych wystawi swoje prace, wjadą buldożery, o czym będzie głośno w świecie... Rozmowa sama z siebie się rozpędza, skręca, cichnie, buczy jak rój trzmieli. Aż do możliwych granic otwartości. Czy aż tak daleko? O Sołżenicynie i „Iwanie Denisowiczu", który w listopadzie poprzedniego roku wszystkich oszołomił wynurzywszy się dosłownie znikąd – jednak ani słowa. Nie zauważam tego. Naczynie nocy przelewa się przez brzegi. Schodząc nad ranem po brudnych schodach nie mam wątpliwości, że niosę w sobie to, co się nazywa wielkim wzruszeniem. Na czym ono polega? Jestem jeszcze względnie młody i skłonny do wzruszeń. A jednak dopiero teraz, oglądając się do tyłu, zdaję sobie sprawę, że wtedy dane mi było odczuć p r z y j a ź ń. Rzecz w normalnych warunkach nieskomplikowaną, ale nie w stosunkach między Polakiem a Rosjanami. Zwłaszcza w tamtym czasie, kiedy w PRL robiono wszystko, aby tego uczucia oduczyć. Do tego stopnia było to dziwne, że wówczas w Leningradzie nie miałem pojęcia jak to należałoby nazwać.

Zmierzam do tego, że rozmowy z ludźmi są najważniejsze. Bez względu na katastrofy państwowe. Inicjatywę trzeba brać na siebie i już. Zresztą, jakież to ryzyko? W przypadku falstartu zaczynać raz jeszcze – i znowu... Czas pili, siedzi na karku. Tam u nich rodzi się coś nowego, w nieopisanym zamieszaniu i konwulsjach. Może to najwłaściwszy moment. Wbrew pozorom, właśnie w chaosie ludziom szczególnie potrzeba wzajemnych rozmów. Nie byłoby publicystyki, nie byłoby kultury, gdyby ludzie, mimo wszystko, nie wierzyli w emocjonalne i perswazyjne właściwości słowa. W możliwościach tego pokolenia leży wytworzenie przynajmniej stanu gotowości, po obu stronach. Do nas być może należy, jak się w urbanistyce mówi: uzbrojenie terenu. „Myślę, że akurat struktura świata jest r o z u m n a". To Miłosz w liście do Walickiego. Jakże nie zawierzyć intuicji poety.

W półmroku tego brulionu, w jego *camera obscura,* nawiedza mnie duch Józefa Czapskiego. Los tyle razy wpychał go w tryby gwałtownej polityki, zawsze umiał tę zębatość spiłować spontaniczną naiwnością człowieka przekonanego, że sens świata bardziej zależy od różniących i zbliżających ludzi niuansów, niż od technik politycznych. Był całe życie pewien, że wszystko da się rozstrzygnąć za pośrednictwem muzyki, książek, malarstwa: tak jak w słynnej kapistowskiej metodzie „r o z s t r z y g n i ę c i a obrazu przy pomocy koloru", o czym nieraz pisał. Ludzi i sprawy poznawał po kolorach, których inni nie widzą.

Czapski miał wszystkie chłonne i komunikacyjne właściwości medium. O spisek takich żywych mediów teraz chodzi. Ale gdy szukamy nazwisk, to nasuwają się tylko nazwiska umarłych. Cwietajewa, Achmatowa, Mandelsztam, Sacharow, Bułat Okudżawa... Nawet Josif Brodski już się wyniósł. Po naszej stronie też braknie tych zarażonych rosyjskimi przyjaźniami, jak Drawicz, czy Woroszylski. Ledwie dwa lata temu parę słów zdołałem zamienić z Woroszylskim o zamierzonym artykule. Ostatni wywiad Wiktora nosi tytuł: „Ja w Rosji, Rosja we mnie". „Byłem niewątpliwie ofiarą literatury rosyjskiej (pisze), gdy przeczytałem Szczedrina, to co mnie otaczało przestałem odbierać tylko naturalistycznie, znalazłem się wewnątrz pewnej metafory, jaką skonstruował bezlitosny Szczedrin". Wywiad ten ilustrują dwie fotografie, Woroszylskiego z Lwem Kopielowem i druga, symboliczna, bo na moście w Trokach, z 1971, z Tomaszem Venclową i Josifem Brodskim.

Cioran: „Umieć dostrzec w każdej rzeczy tę jej część, która przynależy do nierzeczywistości, to bezpośrednia oznaka, że się zbliżamy do rzeczywistości". Czyż ten aforyzm nie określa, pośrednio, istoty kultury? Dwa lata temu, w numerze sierpniowym, M. Broński omówił pamiętniki filozofa i teoretyka idei, J.-F. Revela. Cytował jego uwagę: „Nie ma czegoś takiego, jak kultura, są tylko kulturalni ludzie. Nie istnieje kultura w oderwaniu od jednostek, podobnie jak nie ma muzyki fortepianowej, gdy brak pianistów." Świetne! Wyszukujmy w tłumie pianistów.

Jesień 1997-1999

Zbigniew FLORCZAK (PELIKAN)

„Rozbierz się i dokazuj"

Z opinii ich filozofa, Saulskauskisa: „My Litwini reprezentujemy naród, który nigdy nie był takim jakim mógłby być". W tym jest sens, jeśli się trochę pozna ich historię, ale właśnie w takich narodach – z poczuciem krzywdy i poczuciem wartości – narasta szczególna potrzeba samoafirmacji.

Orzeł to mocny ptak, za długo i w zbyt dużym cieniu orła pozostawała Pogoń. Pamięć historyczna robi swoje – mówi Polak, Zygmunt Mackiewicz, konserwatysta, poseł z wileńskiego Sejmasu i dopowiada – pamięć o nielojalnych zachowaniach mniejszości polskiej też nie zaginęła... Litwini, owszem, nadal są uczuleni na polonizację, baliby się jej, ale tylko jako kulturowego zagrożenia. Militarne już zupełnie nie jest brane pod uwagę.

W swojej „Polsce i małych ojczyznach Polaków" Roman Wapiński stwierdza: „Litwini musieli (...) udowodnić sobie samym, że są narodem".

Litwinów drażni odwoływanie się do zaszłości, do tej czy innej, do jakiejkolwiek wspólnoty z większą i silniejszą Polską. A my ciągle z waszecia, z jagiellońska. My po kontuszowemu. Chociaż lepiej nie przyglądać się pod światło, co ze słuckiego pasa zostawiły mole.

Rocznicę odzyskania niepodległości obchodzą z ogromną atencją. Przeczytałam w prasie polskiej na Wileńszczyźnie:

„...przedstawicielka dalekiej Islandii była witana owacyjnymi oklaskami w podziękowaniu jej krajowi, który pierwszy uznał suwerenny rząd litewski". A myślałby kto, że Warszawa leży bliżej Wilna niż Reykjavik.

Stało się, i komu tu dzisiaj kłaść do głowy, jak logicznym

konsekwentnym, a zarazem ekspiacyjnym gestem byłoby nasze – właśnie nasze – pierwszeństwo w uznaniu państwa Litwinów. Nareszcie ich własnego, wolnego od nas i zaprzyjaźnionego z nami państwa. Bo Litwa chce bliskości Polski: Litwa nie chce polskiej supremacji.

Czytam dalej: „W imieniu Polaków litewskich przemawiał redaktor (mniejsza o nazwisko – A.S.), który powiedział do tysięcy zebranych, że Litwa wywalczyła wolność za przykładem Polski, a Moskwa uzyskała wolność za przykładem Litwy". Koniec cytatu. Boże, czy my nigdy nie staniemy się dorośli?

Z tej mało poważnej okazji przypomnę opinię Irlandczyka Behana: „to co dla innych jest narodowością, dla Żydów i Irlandczyków jest psychozą". Litwin Tomas Venclova uzupełnił, że do Żydów oraz Irlandczyków można by dorzucić jeszcze dwa narody: Polaków i Litwinów.

Można by się spierać, kogo w większym stopniu obciąża odpowiedzialność za slawizację Litwy: nas czy Rosję. Biorąc pod uwagę stulecia, które mieliśmy do dyspozycji, i nieporównywalność metod — wolno uznać, iż nasza dominacja na Litwie z pewnością korzystnie różniła się od realizowanej na południowym wschodzie Rzeczypospolitej. To nie my, to dopiero Rosjanie wyeliminowali ze styku dwu narodów, dwu kultur, elementy partnerstwa i dobrowolności. A jednak?

W opracowaniach wileńskiego Instytutu Filozofii i Socjologii, ciekawe spostrzeżenie: „My Litwini stosunek do Rosjan mamy racjonalny, do Polaków – irracjonalny...".

Co prawda, znaleziony zaraz potem termin „opolaczony Litowiec" przypomina, czym kończą się irracjonalizmy.

Socjologowie sporo piszą o izolacji języka, do którego – wśród żywych – zbliżony jest już tylko łotewski. Przepisuję z pierwszego tomu studiów socjologicznych pod tytułem „Codzienne życie w krajach bałtyckich" w 1997 wydanego w Wilnie: „Współcześni Litwini należą do małej i słabnącej (prawdopodobnie historycznie zanikającej) grupy narodów. Litwini i Łotysze...".

Coś jest w ich własnej opinii, że państwowość litewską formują lingwiści. Z czasem to zacznie Litwie szkodzić, jak każda przesada. Śmieszy brak polskich napisów w Druskienikach, masowo odwiedzanych przez Polaków, którzy cenią

sobie uzdrowisko i chętnie zostawiają w nim pieniądze, a podobno to się dzisiaj liczy.

Druskienniki żyją ze swoich sanatoriów, tymczasem nasi kuracjusze dostają po łapach za to, że nie znają litewskiego. Bo menu w jadalniach – po litewsku. Informacje w gabinetach zabiegowych, w windach – po litewsku. Bez obrazy, ale to są odruchy nadąsanych dzieci.

Ustawę, że polski napis nie może przerastać litewskiego i na szyldach czy tablicach należy go umieszczać w drugiej kolejności, zostawiłabym w spokoju. U siebie też chcemy zachować ten porządek. Do zakwestionowania nadaje się komiczny przecież warunek, że liternictwo w tekście polskim ma być mniejsze o dwa centymetry. To dopiero świadczy o zakompleksieniu.

Wokół Wilna – sto tysięcy Polaków, wokół Sołecznik – czterdzieści tysięcy. Na Wileńszczyźnie Polacy stanowią sześćdziesiąt trzy procent mieszkańców, Litwini – dwadzieścia jeden. Istotnie, „tu wielkie posiedzenie Polaków jest" jak powiadają miejscowi.

Latem 98 wileńska *Nasza Gazeta* notowała, że na Litwie średni wskaźnik zwrotów ziemi z rozwiązanych kołchozów już przekroczył pięćdziesiąt procent, tylko na Wileńszczyźnie utrzymuje się w granicach trzynastu.

Na Wileńszczyźnie dzierżawa, to arenda. Wczorajsi kołchoźnicy dostali w arendę po trzy hektary. Mało kto zamiast hektarów wziął gotówkę, ale też mało kto upomina się o resztę ziemi.

Powody, dla których powrót wileńskich i sołecznikowskich rolników na ojcowiznę odbywa się jak na zwolnionym filmie, nie są bezdyskusyjne. Tutejsi Polacy nie mają dokumentów, potwierdzających własność. Zaginęły, z ogniem poszły. W Polsce nikt się tym nie przejmował, nie były potrzebne. Dopiero teraz administracja domaga się papierka z carskich czasów, sprzed stu kilkudziesięciu lat.

Brak dokumentów, niezbędnych (jak chcą urzędnicy, co prawda, chcą głównie od Polaków) do zwrotu ziemi, bierze się i stąd, że na międzywojennej Wileńszczyźnie nie doszło do reformy rolnej. Rdzenna Litwa nie zna tych kłopotów.

Robi swoje strach przed podatkami. Na domiar złego krąży plotka, że gospodarze utracą prawa do emerytury. Pogłoska o odbieraniu emerytur rozeszła się tylko między Pola-

kami. Tak czy inaczej proces odzyskiwania ziemi na Wileńszczyźnie ślimaczy się, trwa kilkakrotnie dłużej, niż w innych województwach, i to wzmaga w tutejszych poczucie nie tylko krzywdy, ale zagrożenia. Ze swojej strony Litwini też mają powody, żeby się dystansować od współobywateli, traktujących swoje – bo jednak: swoje – państwo jako zło konieczne, i po upadku Związku Sowieckiego niezainteresowanych niepodległością Litwy, wręcz przeciwnie. Oczywiście, tu trzeba spytać, co sprawiło, że Polacy posunęli się do takiej nielojalności wobec Litwy? Błędne koło.

Jakby nie patrzyć, faktem pozostaje, iż podczas gdy w całym państwie litewska większość już odzyskała ziemię, to w tej akurat części kraju – doszło swego nie więcej niż pięć do dziesięciu procent petentów. Poseł Mackiewicz potwierdza, że etniczni Litwini jednak dostawali parcele, które formalnie jeszcze nie były sprywatyzowane.

Polakom się nie spieszy. Duże gospodarstwo wymaga albo liczniejszych rąk do pracy, co dzisiaj w grę nie wchodzi, albo maszyn rolniczych, nieosiągalnych dla tutejszej biedoty. Cały stan posiadania to koń, pług i brona. Możliwe, że „gdzie duch jest tam i ciało będzie", jak się ich pociesza, ale chłopi żyją z ziemi i po ziemi chodzą.

Odzyskać ziemię... A co dalej? Czy opłaci się gospodarka na dwu-trzech hektarach? A przede wszystkim – czy krajowe rolnictwo wytrzyma konkurencję z tanią żywnością, płynącą z zagranicy?

W warunkach faworyzowanej własności prywatnej Litwini przypomną sobie o dobrych tradycjach swojego rolnictwa, przetwórstwa, które – sądząc po ówczesnej jakości produktów, i za sowchozowo-kołchozowych czasów bywało nie najgorsze, i szybko dołączą do rodziny europejskich farmerów. A co z tymi od sochy i brony?

Tutejsza opinia o wsi, z pańszczyzny gwałtownie przerzuconej w kapitalizm, niestety w głównej mierze dotyczy wsi polskiej. Z mieszanymi reakcjami spotkało się transportowanie na Wileńszczyznę narzędzi rolniczych, u nas już nieużywanych, albo prawie nie. Na bezrybiu i rak ryba, dla tutejszych niemało znaczy i taka darowizna, niemniej najczęściej obserwowana, bo najłatwiejsza do zorganizowania, zwłaszcza w ulubionej przez nas formie doraźnych zrzutek, akcji, pomoc materialna, choć

bezwzględnie potrzebna, nie powinna przesłaniać innych trudniejszych do spełnienia potrzeb. Oprócz sprzętu Wileńszczyzna potrzebuje orientacji w prawie własności. I w nieuniknionych stratach. Jeśli rolnictwo w szeroko rozumianych okolicach Wilna nie ma szans (a nie ma ich w dzisiejszej Europie przy żadnej ze stolic) trzeba w porę zastanowić się, co dalej. Bierzemy w zamian ziemię w głębi Litwy czy wtapiamy się w miasto? I czego mogą dla siebie oczekiwać Polacy z Wileńszczyzny, odchodząc z rolnictwa?

Znają się tylko na rolnictwie, to był ich jedyny fach i chleb, od niepamięci.

Wiem, że weszłam na grunt podminowany, to są sprawy trudne, ale z chowania głowy w piasek nic dobrego jeszcze nie wynikło, i trzeba sobie wreszcie uzmysłowić rzecz, której na Litwie Polacy absolutnie nie biorą pod uwagę: rolnictwo w krajach rozwiniętych absorbuje nieporównywalnie mniej ludzi do prac nie wymagających głównie siły fizycznej.

Co robi „Wspólnota", co zrobiły organizacje Polaków litewskich, żeby zacząć oswajać Wileńszczyznę z dokonaną już gdzie indziej zamianą tego tradycyjnego, przez stulecia opornego na nowinki chłopa w farmera-dyrygenta pracy zmechanizowanej i uprzemysłowionej?

Inspiratorem zmian, organizatorem rozwoju społeczeństwa jest inteligencja. O wielu niekorzystnych obecnych sytuacjach wśród Polaków zamieszkujących nasze dawne ziemie, przesądził brak przewodniej warstwy. Inteligencja, której nie wybito, czy nie wywieziono, po wojnie repatriowała się do Polski. Na Wileńszczyźnie przetrwali prawie wyłącznie ludzie zabezpieczeni swoim statusem społecznym. Robotnicy. Małorolni chłopi.

Nie można mówić, że żyją na walizkach, bo jak nie byli tak nie są zainteresowani imigracją do Polski. Jeżeli już – to czekają, że Polska wróci do nich. O tym się nie mówi, to się nosi w sobie.

O rozmiarach wyjałowienia środowiska polskiego świadczy na przykład to, że w 1945 wyjechało z Wilna – i to równocześnie – czterystu studentów medycyny. Na sowieckiej Litwie nie pozostał prawie nikt z inteligencji polskiej. Repatriowali się nieomal wszyscy, których nie zdążono wywieźć. Albo wybić.

Upływa kilka lat i dochodzi do osobliwości, którą jeden

z rozmówców streszcza w zdaniu „za Związku Sowieckiego musieli szukać ochrony w Moskwie".

Dzisiaj wypatruje się różnych uzasadnień. Czy istotnie Rosja – chcąc dołożyć Litwinom – osłaniała Polaków? Jeżeli nacjonalizm główny, wielkoruski, grał dwoma pomniejszymi, to pomysł świeży nie był, ale jak zwykle – skuteczny. To są niezawodne metody.

Polacy mieli na Litwie lepiej, niż w jakiejkolwiek innej republice. Mieli znośnie w porównaniu z sytuacją Polaków na Białorusi zwłaszcza. I na zachodniej Ukrainie. Ani jednej polskiej szkoły, biblioteki, ani jednej gazety w całym Związku Sowieckim, poza Litwą. Czyim by to nie było staraniem, z jakiej by to nie było intencji – skutki są ważniejsze niż intencje.

O ile w „Solidarności" ścierały się różne prądy – choć oczywiście dominował zryw niepodległościowy – to „Sajudis" pozostała monotematyczna, skoncentrowana na pierwszeństwie, na dominacji Litwinów. Tego problemu, poza incydentami, w „Solidarności" nie było. Stało się tak dlatego, że powojenna Polska nie była już obszarem mieszanym etnicznie. „Sajudis" ustawia sprawę poza wątpliwością: zryw narodowościowy, to najściślejsza sprawa wewnętrzna, sprawa rdzennej Litwy.

Na Wileńszczyźnie zaistniała sytuacja, której skutki odczuwalne są do dzisiaj. Tutejsi Polacy uznali, że Rosjanie nadal asekurują ich przed Litwinami. Szowinistyczne, bynajmniej nie zdezaktualizowane w latach osiemdziesiątych ekscesy i codzienne nieprzyjazne zachowania wobec polskiej mniejszości, miały wpływ na naszą nieobecność w kolosalnym, zwartym, żywym łańcuchu, zorganizowanym przez kilkaset tysięcy Estończyków i Bałtów między Tallinem i Wilnem. Ani tam na nas nie czekano, ani nam się nie spieszyło do cudzej solidarności.

W kilka lat później, gdy przesądzała się niepodległość Litwy, z dziesięciu polskich posłów w Wilnie, sześciu wstrzymało się od głosu. Żałosna głupota. Na kim to miało zrobić wrażenie? Na nieboszczykach z Jałty? I kto to w ogóle zauważył, poza Litwinami? A ci zapamiętali i sztandary polskie na ulicach, i napisy „Wilno nasze". Nie dopomógł nam też koncept, by wyprosić w jeszcze wtedy sowieckiej Moskwie dodatkową republikę, sklejoną z byłych polskich kresów... Autor tej zwalającej z nóg idei, doktor filozofii (...)

Jan Ciechanowski spokojnie przeprowadził się do Polski, ale swąd pozostał. A jeżeli prawdą byłoby że studenci którejś z wyższych szkół pedagogicznych słuchają wykładów filozofa...

Najpierw, jak radzi pan Mackiewicz, trzeba się rozebrać, potem dokazywać. Czyli warto by wreszcie, fakt po fakcie – ustalić, o co idzie i jednym, i drugim, jakie (słuszne czy niesłuszne) mają żale, i dopiero dogadywać się – bez wodolejstwa, w oparciu o konkrety. Czas robi swoje, te tradycyjne, nagłośnione pretensje już zdążyły przygasnąć. W czym dzisiejszy problem Polaków z Polakami?

Litwinom brak przekonania może nie tyle o ich lojalności – to byłoby za dużo powiedziane, i niesprawiedliwie – ile o ich potrzebie konsolidacji z litewską większością.

Litwini muszą nabrać przekonania, że kilkusettysięczna obecność Polaków w ich państwie coś temu państwu gwarantuje poza kłopotami. Żeby nie było nieporozumień: w żadnym wypadku nie idzie mi o zgodę na asymilację równoznaczną z wyrzeczeniem się polskości. Co zresztą nie zagraża. Wileńszczyzna jest bogobojna, ale nie do tego stopnia, by uznać się za Litwinów polskiego pochodzenia.

Na Wileńszczyźnie istnieje (działa, to byłoby za dużo powiedziane) ponad czterdzieści polskich organizacji, ale senat (tutaj Wspólnotę Polską identyfikuje się z senatem) dba przede wszystkim o jedną, o Związek Polaków. Takie jest ogólne przekonanie. Pół biedy z Polakami, gorsze, że tak myślą Litwini.

Poseł Mackiewicz, uchowaj Boże, nie sprzyja lewicy, o polityczną antypatię do sił konserwatywnych posądzić go nie sposób, ale to on właśnie wyraził zdziwienie, że tak otwarcie popieramy na Litwie polskich ekstremistów. Pani marszałek senatu najczęściej podkreśla, że Wspólnota jest realizatorem działań, które finansuje senat, a to już jednoznaczny akcent polityczny. Tak stawiając sprawę, przerzuca się na państwo odpowiedzialność za wszystkie przedsięwzięcia i te, czy inne niezręczności Wspólnoty.

Bardzo oporny na pokusy integracji (nie uładziła sytuacji spektakularność tej samoobrony, czy – najogólniej mówiąc – zachowawczość, często i przestarzałość formuły opozycji) Związek Polaków Litwy już nie ogranicza się do manifestowania politycznych postaw, stawia na gospodarczą aktywizację Wileńszczyzny – tyle, że Wileńszczyzny wciąż zbyt pol-

skiej, jak na gust Litwinów. Pani ambasador Rzeczypospolitej prof. Eugenia Tejchman po dwuletniej obserwacji zauważa „wyraźne złagodzenie retoryki politycznej i chęć współpracy". Zdaniem prof. Tejchman zjazd Związku Polaków Litwy w kwietniu 1998 pokazał, że ta organizacja zaszufladkowana jako antypaństwowa, zasługuje na łagodniejszy osąd i jakby już poszukiwała uwspółcześnionego modelu bycia i działania dla naszej mniejszości. Ani polska ani litewska prasa jakoś tego nie zauważyły – dodaje ambasador.

Coś się zmienia? Oby. Bo w getcie może się udać, na krótko, ruch oporu, ale równouprawnienia nie osiąga się z pozycji getta.

Jak nie usprawiedliwiać by powodów – skutki są, jakie są: Vilnius nie dowierza Wileńszczyźnie. Z dwojga złego – woli miejscowych Rosjan, nie ma z nimi kłopotów.

Mój kolejny rozmówca, prawnik, biznesmen, właściciel „Radia znad Wilii", Czesław Okińczyc nie wybiela sytuacji, ale uważa, że jest jak jest, ponieważ Rosjanie dysponują większym potencjałem intelektualnym. Środowisko ruchliwsze od polskiego. „Mniej narzekają, szybciej robią pieniądze".

My wydajemy kilka czasopism, oni – kilkadziesiąt.

Gotowość litewskich Polaków do zaaklimatyzowania się w nowych warunkach socjalnych i ekonomicznych jest znikoma. Zacznijmy od wykształcenia uniwersyteckiego. W roku 1987 na tysiąc obywateli posiadało je stu dziewięciu Litwinów, stu siedemdziesięciu dwu Rosjan, stu osiemnastu Białorusinów, dwustu siedmiu (!) Ukraińców, trzystu osiemdziesięciu pięciu Żydów i... pięćdziesięciu Polaków. A jak wiadomo jest nas na Litwie trzysta tysięcy z hakiem. Ilościowo zajmujemy trzecią pozycję po Litwinach i Rosjanach. Mimo to, wśród inżynierów, techników, prawników, lekarzy, najmniej było Polaków.

Jeśli idzie o szkołę podstawową – w tym samym okresie z tysiąca obywateli poprzestawało na niej dziewięćdziesięciu pięciu Ukraińców i dwustu sześćdziesięciu czterech Polaków. Odczuwalna różnica.

Już o tym pisałam w *Kulturze*: nasze kontakty z rodakami zamieszkującymi byłe polskie ziemie są iluzoryczne, wszystkie te towarzystwa, związki, kluby przyjaciół, miłośników lepiej sprawdzają się w służbie pamięci, niż perspektyw.

Z publikowanej relacji wysokiego urzędnika państwowego:

„Jest początek lat dziewięćdziesiątych. Razem z ambasadorem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej w Wilnie... przekazujemy buty, specjalnie uszyte na miarę w jednym z warszawskich teatrów. Obuwamy – niemal dosłownie – zespół artystyczny na Wileńszczyźnie. Rodaczki są wzruszone, rodacy nie kryją radości, my obaj – ekscelencja i ja, wiceminister... – mamy świadomość, że uczestniczymy w czymś dobrym. Ale przecież ważnym: przywozimy konkretny dowód zainteresowania Polski rodakami...".

Jak lekko nie pląsałoby się w sprezentowanych pantofelkach, za mało tego dobrego na bajkę o Kopciuszku. Tydzień dłuższy jest od święta i też warto go przetrwać bez odcisków.

Z ulgą słucham dyrektora Instytutu Polskiego w Wilnie p. Ryszarda Badonia, który zapewnia, że na dobre odszedł od koncepcji ludyczno-festynowej. „Tego mamy aż nadto". Zatem wystawy, koncerty, teatry na gościnnych występach.

Do 1958 w szkołach polskich nie obowiązywała nauka litewskiego. Sprytnie pomyślane.

Uczyli się rosyjskiego, ponieważ był łatwiejszy, dawał szansę porozumienia nawet przy słabej znajomości. Litewski, prócz tego, że nielubiany, ma dwa poważniejsze defekty: nie jest językiem międzynarodowym i jest bardzo trudny.

Posyłać dzieci do litewskiej szkoły, znaczyło: przywiązywać je do Litwy. Odgrodzić nie tyle od Polski – ta klamka już zapadła – ile od świata, wtedy dostępnego w granicach państwa. Na jednej szóstej globu.

Litewski? A kto by się uczył litewskiego. „To mały język".

Przy okazji: dwujęzyczność Litwinów to już mit, młodzież nie interesuje się polskim, pociąga ją angielski, niemniej kilkaset tysięcy ludzi przynajmniej rozumie nasz język, a ten fakt przeciera ścieżki, powinien przyczynić się do zintensyfikowania polskiej, gospodarczej, kupieckiej obecności na Litwie.

Polacy jeszcze się nie przyzwyczaili, że Litwin może nie mówić po polsku. A „nawet" nie rozumieć. Profesor Kaleda, dziekan polonistyki na Uniwersytecie Wileńskim, włada polszczyzną nieomalże bezbłędną, ale wyuczoną dopiero na studiach w Krakowie. A pochodzi z Druskiennik.

Litwo, ojczyzno moja... Akurat! Powtarzam: młodzież

litewska już nie mówi po polsku. Prawie nie. Bo po co? Nasz język także nie jest międzynarodowy.

Rosyjskiego nie znoszą tak jak my, więc będziemy się porozumiewać po angielsku.

Wszechobecność polszczyzny to mit, rozpowszechniany przez wycieczki. Przyjezdni ludzie na dwa dni krążą po tych samych trasach, mijają się z takimi samymi wycieczkami, i powracają pewni swego: Wilno nadal polskie.

Byłam dłużej, nie poprzestawałam na spacerach po starym mieście. I gdzie bym się nie ruszyła, mówiono po litewsku. Rzadziej, choć często – po rosyjsku. Polskiego prawie nie słyszałam.

W samym Wilnie z pięciorga polskich dzieci do polskiej szkoły idzie troje. W rejonie (województwie) wileńskim – z siedmiorga pięcioro. W sołecznickim – z ośmiorga też pięcioro.

Gdy Litwini zakwestionowali dotychczasową możliwość zdawania matury w języku polskim, interweniował – i słusznie – nasz prezydent. Decyzja miała charakter polityczny, ale opór Wileńszczyzny nie zmienia faktu, że znajomość litewskiego wśród tamtejszych Polaków jest nikła, ludzie urodzeni i wychowani, podobnie jak ich rodzice, już poza granicami Polski, opanowali język swego państwa na tyle, żeby się nim porozumieć w sklepie albo w autobusie.

Jest coś nielogicznego – żeby nie użyć dosadniejszego określenia – w tym, że organizują kursy przygotowawcze do egzaminów w języku litewskim – dla Polaków, obywateli Litwy, na Litwie spędzających życie.

Na Litwie jest sto dwadzieścia pięć szkół umożliwiających naukę wszystkich przedmiotów po polsku. To ma swoje dobre strony, choć nie aż tak dobre, jak oceniamy z naszej nostalgicznej perspektywy.

Rok w rok zjeżdża na studia w Polsce jakieś pięćdziesiąt osób. Wraca połowa.

Skoro nie zamierzamy przesiedlić w obecne granice Polski kilkuset tysięcy wileńskich Polaków – a przecież nie zamierzamy i oni też – generalnie biorąc – już nie widzieliby dla siebie szansy w repatriacji, powinniśmy być zainteresowani poprawą struktury społecznej Wileńszczyzny, w tworzeniu warstwy inteligenckiej, której brak tak katastrofalnie zaciążył na pozycji litewskich Polaków. Jeśli idzie o wykształcenie, utknęliśmy na przedostatnim miejscu. Za nami już tylko Cyganie.

W Stanach Zjednoczonych Polacy po kilkudziesięciu latach potrafią się obywać bez znajomości angielskiego. Niewiarygodne, niestety możliwe w wielkich gettach mniejszościowych. Amerykańscy Polacy zarabiają u Polaków, kupują u Polaków, Polaka z Polką żeni polski ksiądz. We wszystkim co potrzebne – sami swoi. Wprawdzie nie po tej drodze do kariery, ale ambicje getta są niższego lotu.

Sondaż wykazał, że językiem litewskim włada piętnaście i pół procent Polaków – obywateli Litwy. W tym samym czasie do biegłej znajomości litewskiego poczuwało się pięćdziesiąt procent Rosjan, zamieszkałych na Litwie. To też musi być brane pod uwagę przy ocenie sytuacji tamtejszych Polaków, przy ustalaniu przyczyn dla których czują się obywatelami drugiej kategorii.

W bogatych Stanach getta nie mają źle, w przeciwieństwie do Litwy i gdzie poza Wileńszczyzną mało komu dobrze wiedzie się, jak dotąd. Wileńszczyzna to skansen niegdysiejszego polskiego województwa. Wsie tutejsze zamieszkiwali Polacy. Przy jakich sąsiadach człowiek wyrósł, przy tych pozostał. Po jakiemu mówił – tak i mówi. W pobliżu dużych miast los wsi jest przesądzony nie na jednej Litwie. O jakie polityczne spekulacje nie podejrzewać by Litwinów – Wileńszczyzna jako dotychczasowy etnicznie polski obszar nie przetrwa, ponieważ stolica będzie się rozrastać, co przesądza o losie gospodarstw chłopskich w promieniu już nie kilkunastu, a kilkudziesięciu kilometrów. Takie sytuacje na całym świecie są nie do zahamowania. Rozbudowa Wilna pochłonie tym większe obszary, że unikając blokowisk miasto ma się powiększać wszerz, a nie wzwyż. Żadnych drapaczy chmur. Przyszłość mieszkaniowa Wilna, to *cottage*. Rozsądnie. A że przy okazji rozproszy się zwarte, nie zamierzające rezygnować ze swej narodowości – i swoich praw mieszkaniowych – środowisko polskie...

Otóż i kolejny, jak słychać – główny powód zwłoki w rozliczeniach państwa z rolnikami. Tereny przewidziane pod takie prywatne, willowe Wilno, już nie wrócą do dawnych właścicieli. Ci, jeśli zechcą, przejmą gospodarstwa w głębi kraju, jeśli nie – to dostaną od rządu pieniądze, jakiś ułamek kwot, zawrotnych, ale dopiero od momentu, gdy miasto przejmie kasę i zacznie sprzedawać działki pod budowę.

A co z Polakami? Jeśli nie przyjmą ziemi gdzieś w głębi kraju – czym potrafią się zająć, z czego będą żyli ludzie nie nauczeni nawet języka, nie mówiąc o zawodzie?

Sukces mniejszości narodowej, dzisiaj, to pozycja profesjonalna, majątkowa, to obecność w poszukiwanych zawodach, na znaczących stanowiskach.

Zdawałoby się, że kilkusettysięczna mniejszość narodowa, w tak małym kraju, to już realna siła polityczna. A tak nie jest na Litwie. W żadnym wypadku nie lekceważąc polskich żalów, trzeba spytać czym – poza werbalnymi przepychankami na zebraniach własnych organizacji – zajmuje się, zatem na co może liczyć diaspora tak dosłowna.

Uderzająca jest polska nieobecność w życiu politycznym Litwy. Ludzie ze słusznym poczuciem krzywdy, niepewni jutra (jak rolnicy) palcem w bucie nie kiwną, żeby zaasekurować się na przykład w parlamencie. Polacy na Litwie demonstracyjnie lekceważą wybory, to trwa, nic się nie zmieniło. Wileńszczyzny nie obchodzi układ sił politycznych w „Sejmasie". Nie zabiegają nawet o własnych posłów. Najwyraźniej nie wierzą w pożytek z fatygowania się do urn. Frekwencja wyborcza na Wileńszczyźnie jest porażająco niska. A nieobecni nie mają racji i wybijmy sobie z głowy, że cokolwiek na Wileńszczyźnie trwale zmieni się na korzyść nieobecnych. Rozpędzanie chmur podczas przyjaznych spotkań prezydenckich, drobne wzajemne ustępstwa, takie dyplomatyczne „coś za coś", porównałabym z prowizorycznym opatrunkiem: pomaga na krótko.

Jeśli nawet nie tylko z ekonomicznych powodów łatwiej być Polakiem w USA, niż na Litwie, to i tutaj mnóstwo zależy od pozycji społecznej „mniejszego" i od stanu konta. Kapitaliści nie są obywatelami drugiej kategorii.

Tutejsza polska elita finansowa: Mieczysław Iwaszkiewicz, *leader* Aliansu Obywateli Litwy, niewielkiej partii skupiającej zamożnych litewskich Polaków oraz Rosjan, Janusz Łopuć, właściciel klubu piłki nożnej, Czesław Okińczyc, biznesmen o temperamencie polityka, zdecydowany pragmatyk – a to nie w polskim guście.

Okińczyc: tu się urodził, tu skończył studia. W Polsce spędza jeden do dwu dni w miesiącu. Na Wileńszczyźnie nie jest popularny wśród rodaków. Umie się dogadywać z Litwinami, umie robić pieniądze, a to spotyka się z nieufnością. Tylko wydawanie gazet mu się nie udaje. W dodatku nie jest zręczny towarzysko.

Doradca prezydenta do spraw kontaktów z Polską. Nie zaszkodzi wspomnieć, że to funkcja honorowa. Inny Polak, Stanisław Wittmann, pełni funkcję zastępcy dyrektora w biurze problemów regionalnych i mniejszości narodowych przy urzędzie premiera. Wystarczy na rezerwę ze strony Polaków.

Już zaistniało, już jest zauważalne w Wilnie polskie środowisko twórcze. Ciekawostka: wśród piszących nie widać prozaików. Sami poeci, zarazem dziennikarze, jak urodzony w 1950 Romuald Mieczkowski, syn robotniczej pary, wywodzącej się z zaściankowej szlachty, czyli herbowej biedoty, wśród której ziemię dzieliło się „na sznury". Autor kilku tylko u nas (to niestety reguła) wydanych tomików poetyckich, w tym „Snu w ogrodzie Maneta".

Wychowany w Fabianiszkach, wykształcony i zadomowiony w Wilnie. Studiował filologię polską, geografię, i jeszcze estetykę. Brat, po medycynie, jest prezesem wileńskiego Klubu Lekarza. Siostra, po pedagogice, nauczycielka w dużej (dwa tysiące trzysta dzieci) szkole polskiej imienia Jana Pawła II, do której uczęszcza trójka dzieci Mieczkowskiego.

Też we trójkę – z bardzo ciekawym poetą, Józefem Szostakowskim i absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego, Teresą Dalecką – redagują dwutygodnik *Nad Wilią*. Prowadzą galerię sztuki na Starym Mieście. Niebagatelny szczegół: mówią dobrą, literacką polszczyzną. A to już nieczęste. Wprawdzie sto dwadzieścia pięć szkół zapewnia możliwość pobierania wszystkich przedmiotów po polsku, wprawdzie – choć ma ten kij dwa końce – w szkołach polskich litewski jest tylko jednym z przedmiotów, polszczyzna przekazywana uczniom bywa biedna, zachwaszczona kalekim rosyjskim, rojąca się od błędów gramatycznych, fonetycznych – jakie tylko możliwe, jakich nie dało się uniknąć w warunkach mniejszości przez dziesięciolecia odciętej od kraju, izolowanej od żywego – i poprawnego języka.

Na sowieckim uniwersytecie wileńskim funkcjonowały trzy katedry rusycystyki. Aż trzy. Uniwersytecka polonistyka w Wilnie zaistniała dopiero po upadku Związku Sowieckiego. Dziekan pamięta, że gdy powstawał fakultet – w Wilnie zna-

lazło się dwu polonistów z doktoratami. Jak dotąd, profesor Algierdas Kaleda, rodowity Litwin, jest jedynym Litwinem polonistą nauczycielem akademickim.

Wilno ma dwie filologie polskie: uniwersytecką i znacznie od niej starszą, od lat czterdziestych czynną przy Wyższej Szkole Pedagogicznej. Ta druga przeznaczona jest dla absolwentów szkół polskich, kształci nauczycieli. Natomiast na Uniwersytecie Wileńskim studiują polonistykę nawet litewscy Rosjanie. Popularność fakultetu jest duża, utworzono go bardzo późno, dopiero w 1993, czyli w pięćdziesiąt lat po rusycystyce (trzy katedry).

Trudno sobie wyobrazić lituanistę czy historyka „obok" języka polskiego. Oddajmy Litwinom sprawiedliwość: niedawno otworzyli szkołę średnią z polskim jako językiem obcym, przydatnym w kontaktach naszych państw, w biznesie. Od roku można studiować polonistykę również w Kownie, a zatem w dominująco litewskim środowisku.

Wracając do naszych rodaków: nauka języka jest łatwiejsza od naprawy języka. Lektoraty i lektury nie zastąpią kontaktów z żywym językiem. Najwięcej daje pobyt u jego źródeł. Organizowanie dla tutejszej młodzieży nieodpłatnych czy przynajmniej bardzo tanich wakacji w polskich domach byłoby mniej efektowne i bardziej pracochłonne niż zwózka gorsetów i cholewek, ale korzystniejsze dla podopiecznych „Wspólnoty". Jak na razie, organizowane są wakacje dla uczniów. Towarzystwo „Polonia" zauważa starszą młodzież, lecz dyktuje warunki, które muszą budzić wątpliwości. Na praktyki studenckie w Polsce przyjmowani są wyłącznie kandydaci polskiego pochodzenia. A rodowodowe sprawy są splątane, jak zwykle na kresach. Język nie zawsze przesądza o narodowości. Jeden z rozmówców, Polak, na co dzień od dawna posługuje się litewskim. „Byłem nasłuchany języka polskiego z dzieciństwa, to mówię...".

Na Litwie wraca do mnie *leitmotiv* ukraiński. „Przyjeżdżajcie po wspomnienia". Pamiętających ubywa, niemniej furie, które wybuchły po serialu „Boża podszewka" zaświadczają, jak żywy jest mit.

Wilno – to wielkie przypomnienie Polski, ale w Wilnie znów obserwuję to, co przestraszyło mnie we Lwowie: nabożeństwo do bezpowrotności. Słyszę od Okińczyca:

– Tu się przyjeżdża po wspomnienie raju.

Jego zdaniem cały impet uczuciowy, więc i formy pomocy, są skierowane do biedaków. Do nieudaczników życiowych. Mocno powiedziane, ale, ale...

Potwierdza mi się – nie po raz pierwszy – wrażenie, że takie na wstecznym biegu stanowione, w zaczarowanych wspomnień świat kierowane programy kontaktów i z Polonią, i z Polakami na Ukrainie, Litwie, Białorusi, z jednej strony dają jakieś zadośćuczynienie, coś w rodzaju relaksu, uczuciowej rekompensaty pokoleniu na resztę życia związanemu z utraconym światem, z drugiej – maskują kompletny brak pomysłu na tamtejsze dzisiaj. I tym bardziej – na jutro.

Najcięższe do zaakceptowania są oczywistości. Jak powiada poseł Mackiewicz – trzeba znaleźć godne miejsce dla Polaka w litewskich warunkach. I po części – na litewskich warunkach, dodałabym od siebie.

W koncepcji polskości na Litwie góruje model dziewiętnastowieczny. Wzór Polaka „nieprzejednanego". To dotyczy i strony krajowej. Człowiek sukcesu nie mieści się w programie nastawionym na filantropię i na interwencję. Aż ze strachem – bo przecież wiem, jak to może być przyjęte w Polsce – zapisywałam opinię, że cała życzliwość „prokresowa" skierowana jest na nieudaczników. Nikt nie zajmuje się uzdolnioną młodzieżą, a trzeba sobie spokojnie powiedzieć, że chcąc się wybić, Polak musi pokonać trochę wyższy próg, wyprzedzić Litwina. – Jesteś lepszy – wygrywasz z Litwinem. Jesteś przeciętny – wezmą swojego przeciętnego.

Jeśli założymy, że polscy studenci z Litwy powinni zostać w Polsce – kształćmy ich na naszych uczelniach. Ale przecież my tego nie zakładamy, i słusznie, że nie, ponieważ o poważnych kłopotach litewskich Polaków przesądza brak środowiska sterującego oraz integrującego. Polityka ekspediowania wileńskiej młodzieży na uczelnie polskie może przynieść korzyść jednostkom, i to niezbyt licznym. Straci środowisko. Wrócą słabsi.

Na szczęście już znajduje zwolenników pogląd, iż najkorzystniejsze dla Wileńszczyzny byłyby nasze stypendia przyznawane Polakom kształcącym się u siebie: w Wilnie, Kownie czy Kłajpedzie.

Litwini mają sensowny system stypendialny. Najzdol-

niejszych kształcą na koszt państwa, ale gdy tylko prymus zniży loty, odbierają stypendium. Z kolei dobry wynik zabezpiecza absolwenta, w pewnym sensie pilotuje go do spodziewanej pracy. Warto naśladować.

Stypendialne wsparcie dla Polaków z Litwy studiujących na Litwie zapewne będzie mniej atrakcyjne dla kandydatów zainteresowanych wyjazdem, jako przygodą życiową, czy szansą na przeniesienie się do Polski, ale też oszczędza im orientacji poniewczasie, że nie za wiele zyskali. Więc bądźmy realistami, jak radzi Okińczyc.

W osłupienie wprawiła prezydenta Litwy nasza pani marszałek senatu, dziękując mu za uniwersytet polski na Litwie. Musiał poczuć się nieswojo, że nic o tym nie wie.

Na pierwszych stronach prasy polskiej w Wilnie komunikaty, że nareszcie! *Kurier Wileński* w czerwcu 1998 wielką czcionką anonsował „Uniwersytet Polski w Wilnie", znacznie mniejszą – przyznawał, że „Universitas Studiorum Polona Vilnensis" ma do tego statusu jeszcze długą drogę. Nawet zdaniem rektora (?) Romualda Brazisa dopiero „ustanowienie ram prawnych pozwoli zbudować podwaliny uczelni w pełnym tego słowa znaczeniu". Po żołniersku obeszła się z tematem wileńska *Przyjaźń*, według której „zarejestrowano wyższą polską uczelnię, ul. Subocz 5...". Dopiero w tekście lakoniczna, łatwa do przeoczenia wzmianka, że będzie to „uczelnia niepaństwowa (...) studenci i słuchacze po otrzymaniu zaświadczenia będą kontynuowali „studia na zaprzyjaźnionych uczelniach wyższych...".

W informacjach myli się – świadomie myli – magisterium z licencjatem, prywatną szkołę – bo nie uczelnię przecież! – z pełnoprawnym uniwersytetem. To nieuczciwe. Ludzie uwierzą i zainwestują w rzekomy uniwersytet czas, pieniądze, nadzieje. A to są prości ludzie, do czasu łatwowierni. Obywali się bez nauki, nie kwapili się do kształcenia dzieci – no, ale skoro ich zaprasza uniwersytet nareszcie polski... Sparzywszy się na „uczelni" Brazisa zaczną dmuchać i na lodowate. Bo „Universitas Studiorum Polona", przytulisko dla 13-osobowego senatu, forsowano w okresie, gdy kłopotliwe było skompletowanie kadry polonistów-Polaków nawet na Uniwersytecie Wileńskim – czyli na rzeczywistym – i spośród dziesięciu etatów tylko trzy zajmowali miejscowi

Polacy. Argument, że brakuje nauczycieli-polonistów, co siłą rzeczy fatalnie odbija się na poziomie szkół polskich, ale poprzeczka pójdzie w górę dzięki uniwersytetowi Brazisa, jest przykładem, jak wykorzystać prawdziwy stan rzeczy do fałszywych wniosków.

Nie należę do osób ze złym słuchem, tymczasem trudno mi zrozumieć co – i po jakiemu – opowiada rozmówca. O fatalną polszczyznę nie wolno mieć pretensji do człowieka wychowanego poza krajem, jeśli jednak ktoś taki poczuje się nauczycielem polskim, brawa bić nie można. Prorektor Wasilewski serwuje mi zbitki zdań, całe sekwencje słów jeszcze niby nie rosyjskie, ale już na tyle niepolskie, że raz po raz muszę stopować magistra prosząc o powtórkę. Na dobre nam to nie wychodzi, obydwoje peszymy się i denerwujemy. Przy reporterze, jak przy chirurgu, czasem musi zaboleć, więc zadaję przykre i konieczne pytanie:

– Pan zamierza wykładać po polsku?

– Jakżeby nie? Przecież to polska uczelnia – odpowiada zdziwiony.

„Universitas Polona" (czy nikogo nie zastanowiła ta szczególna łacina?) zaczynał się w podziemiu, co nie przeszkodziło w szerokim rozwinięciu skrzydeł. Studia medyczne, dzisiaj, są nie do pomyślenia bez laboratoriów, aparatów, dobrej bazy klinicznej; skoro jednak – po polsku – chcieć to móc, nic nie przyhamowało entuzjastów, „uniwersytet" w pierwszej, utajnionej fazie swego istnienia, wziął się za kształcenie lekarzy (!).

Obłąkany pomysł upadł, teraz mówi się już tylko o kursach przygotowawczych na studia medyczne, pielęgniarskie dla Polaków. Na razie rektor i spółka z nauk ścisłych zadowolą się fizyką, pewnie i chemią, na razie niech rozkwita sto kwiatów humanistyki.

We wszystkim logika z porzekadła „dał Bóg dzieci, da i na dzieci". Skąd brać wykładowców? „Dojeżdżaliby z Polski..." – słyszę. Czyżby? Pociągiem – jedenaście godzin w jedną stronę z Warszawy, siedem – z Białegostoku, czy samolotem – w granicach tysiąca złotych od biletu. Ciekawe, kto by za to płacił?

„Prorektor" Wasilewski idzie na kompromis: no, jeśli nie za regularnie, to od czasu do czasu profesorowie z Polski

mogliby dojeżdżać, a na codzień wystarczą miejscowi wykładowcy, oraz ci, którzy przeniosą się do Wilna z Polski. Jedna chętna pani już się znalazła, tylko czeka na emeryturę. Inny specjalista przyjedzie po uporaniu się z doktoratem. Nie święci garnki lepią... Ano nie, tylko warto pomyśleć, na czyjej głowie te garnki się rozbiją.

Dziecko by się domyśliło, co tu jest grane. I Litwini wiedzą, idzie o zaakcentowanie polskiej niepokonywalnej obecności w Wilnie. Zgadza się, taki szyld miałby wymowę propagandową, ale do momentu, w którym jak pięta z dziurawej skarpetki nie wylazłaby śmieszność sprawy. Nie wszystko da się rozstrzygnąć czy przynajmniej stłamsić za pomocą szyldów.

Montaż pseudouczelni, podjęty z niefrasobliwością, która może mniej przeszkadzałaby przy zakładaniu szkoły podstawowej, dowodzi, jak nieznośna, ciasna, zaściankowa jest koncentracja na symbolach.

Uniwersytet Polski Samozwańczy – ironizuje profesor Kaleda. – Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. To jest po prostu kurs przygotowawczy do studiów w Polsce. Jaka tam uczelnia. Wszechnica!

Moim zdaniem ma rację. Co trzeba widzieć niezależnie od faktu, że ostatnim pomysłem, któremu przyklasnęliby Litwini byłoby wskrzeszenie w Wilnie uczelni, kontynuującej wielkie tradycje Uniwersytetu im. Batorego. Nowi gospodarze Wilna z pewnością nie są zainteresowani wspomnieniami tego kalibru. (*Nota bene*, my też nie zgadzaliśmy się na uniwersytet litewski w Wilnie – dopóki mogliśmy się nie zgadzać). Uważam, że w dzisiejszych warunkach, przy całkowitym braku kadr, przy skąpym inteligenckim zapleczu, próby nawiązania do przedwojennych realiów wileńskich to nieostrożność, to pewnie nieumyślne, ale skuteczne napędzanie wody na młyn kręgom nacjonalistycznym, które chętnie przyjmą każdą polską kompromitację.

Duch w narodzie nie rdzewieje, na wieść o rzekomym uniwersytecie organizacje polonijne z Zachodu sypnęły dolarami, sprezentowały dwanaście komputerów.

Według profesora Kaledy rozkradziono je natychmiast. Wszystkie.

Anna STROŃSKA

Wiersze

Leszek SZARUGA

TRZYNASTOZGŁOSKOWIEC
DLA JAROSŁAWA MARKA RYMKIEWICZA

To trzynastozgłoskowiec stary rytm i nowy
W tym rytmie prowadzimy od wieków rozmowy

W tym rytmie się modlimy w tym rytmie mieszkamy
W tym trzynastozgłoskowcu bytu mamy ramy

W tym trzynastozgłoskowcu śmierć nasza i życie
Splatają się ze sobą kiedy wy marzycie

Formę bardziej pojemną nie ma innej formy
Jest trzynastozgłoskowiec on wyznacza normy

Odczuwania i w wiersze nam przeżycia wplata
W nim ciało uwięzione oraz myśl skrzydlata

W nim zaklęta tożsamość w nim piosnki ludowe
W nim koniec i początek nad nim łamią głowę

Dzieci gdy wspólnej mowy reguły poznają
I starcy kiedy milkną na mogiły skraju

Pierwsze słowa powtarza trzynastozgłoskowiec
Litwo ojczyzno moja ty jesteś jak zdrowie

CIAŁO KSIĘGI: ZDANIE

Księga twojego ciała, choć wciąż się otwiera,
pozostaje zamknięta, w twych oczach jedynie
mgła wszechświata się kłębi i życie zamiera,
ból osiąga swą pełnię i przepełnia naczynie

istnienia, które ginie, by znów się narodzić
z krzykiem, że śmierci nie ma, a źrenic planety
zapadają się w siebie, by w eksplozji się zbudzić,
która życie ocala w księdze ciała kobiety.

Leszek SZARUGA

Adam LIZAKOWSKI

NA ODEJŚCIE HIPPISÓW

Chciałem, aby opowiedzieli mi jak naprawdę było
z tą wolnością, seksem, marihuaną, polityką, religią
ktoś we mnie od wielu lat mówił: jesteś hippisem
nie lubisz wojny, przemocy, ludzi w garniturach.

Lecz nie spotkałem hippisów na ulicach Hight-Ashberry
czytałem poezję w księgarniach anarchistów, socjalistów
którym w nocy wybijano szyby, niszczono księgarnie
rewolucja uśpiona z jednym okiem czuwała za rogiem.

Paląc marihuanę w parku Golden Gate myślałem
o długiej drodze jaką musiałem przejść, o walizce,
o nadziei tak wątłej, że nić przy niej wydawała mi się
wielką okrętową liną, o tym że jestem argonautą.

Ktoś we mnie mówił: jesteś kosmonautą, rozmawiasz
z Bogiem z miejsca którego patrzysz w niebo jest bliżej

do gwiazd, za parkiem ziemia zapada się w ocean,
dalej jest już tylko Azja, małe wyspy japońskie.

Za plecami Góry Skaliste i dalej preria, ktoś kto
siedział we mnie powiedział: napisz co czujesz
gdy o tym ogromie przestrzeni powietrza myślisz?
odpowiedziałem: jestem zwierzęciem które nie myśli.

Wstyd mi było przyznać się, że myślę o tym samym
co tysiące przede mną: o szczęściu, pieniądzach, pracy
i wtedy zrozumiałem, że los mój jest losem zwierzęcia
które ma pragnienia, że tak nisko upadłem na ziemię.

A chciałem być wolnym hippisem nawet aniołem
czymś lepszym od zwierząt ludzkich, gardzić prochem
żywić się poezją, mieć za nic troski i zmartwienia
człowieka, trzymać w ręku fajkę z marihuaną i wiatr.

Gardzić tymi co gonią za bogactwem na koniec świata
śmiać się z ich upokorzeń, szydzić z ich strachu przed jutrem
mówić o samotności tak jak mówi się o zmarłych
szukać spokoju wśród drzew i gwiazd na łące niebieskiej.

DROBNOSTKI

Kto by o nich pamiętał, drobnostki, aby zabrać za ocean
nóż i widelec, talerz i łyżkę, listek z ogrodu lub trawkę
uśmiech matki, błysk oczów ojca, ciepło ust ukochanej
milczenie ostatniej nocy przed wyjazdem, blask księżyca.

Takie drobnostki, chłód rosy, jęk skrzypiących drzwi
głosy, ciepło domu, dym z komina, psa szczekanie
kruchość chleba, smak szmalcu, zadowolenie z kupna butów
szarpanie nerwów, serca bicie, palec w ustach, wzdychanie.

Zachód słońca nad oceanem, zmierzch, umilkły mewy
San Francisco układa się do snu, mruga wielkimi oczami

noc powoli zaciąga czarny parasol nad miastem,
lęk powoli jak wąż wystawia głowę z kieszeni rozgląda się.

Oj!!!! piękny jesteś, piękny mój lęku i tyle ciebie mam
że na całą Kalifornię wystarczy, nic mi nie zrobisz,
a tyle jest w tobie wyniosłości i zarozumiałości skąd
dlaczego jesteś taki ozdobny i dumny jak kot kanapowy.

Mieszkasz w mojej kieszeni, milczysz, ograbiono cię z mowy
a gdybyś umiał mówić olśniłbyś swymi słowami i metaforami
najgłębszych dosięgnąłbyś pokładów serca, a tak drobnostki
cię zwyciężyły o nich teraz myślę, ty dla mnie nie jesteś nowy.

Adam LIZAKOWSKI

Joanna KUROWSKA-MŁYNARCZYK

JOSEPH CONRAD

Profesorowi Donaldowi G. Marshall

Morze wycieka przez szpary w pękniętym słoju
Nic już nie kołysze zrozpaczonych żeglarzy
Żarna czasu odmieniają na żółty piasek
Ryby i modlitwy, ludzi i wodorosty.

Miłość i groza stoją po dwóch stronach lustra
Pod mostem dwojga spojrzeń przerzuconym w ciemność
Odbicie świeci tęczą niezliczonych twarzy
I jedna z nich jest twoja. Nie wiadomo, która.

Ból jest duchem ukrytym w muszelce istnienia
Postacią o boskich rysach, która otwiera drzwi
Wiodące do wnętrza dłoni i do wnętrza ziemi
Gdzie płyną po kamieniach zapomniane źródła.

Joanna KUROWSKA-MŁYNARCZYK

Archiwum polityczne

Imigracja rosyjska: trudny sukces

Cóż można zobaczyć po dziesięciu latach trwania wielkiej fali rosyjskiej imigracji, podczas których przybyło do Izraela blisko milion rosyjskich Żydów?

Oczekiwania wobec tej imigracji może niedokładnie się sprawdziły. Izrael znał już przecież rosyjską aliję: na przełomie wieków, w czasach kiedy liczyły się jeszcze kolejne alije (potem było ich już zbyt wiele), Pierwsza i Druga Alija składała się w większości z Żydów z terenów Rosji, Ukrainy i Polski. Byli to najbardziej ideowi syjoniści i socjaliści, ludzie dobrze wykształceni, pionierzy skłonni do największych poświęceń w budowaniu nowego kraju. To oni właśnie stworzyli fundamenty „izraelskości", tzn. kultury nowej, różniącej się zupełnie od kultury diaspory. Piosenki izraelskie, ważny i charakterystyczny element tej kultury, były często przeróbkami rosyjskich pieśni ludowych. Że nie wspomnimy już o długach zaciągniętych przez nową literaturę hebrajską wobec dziewiętnastowiecznej literatury rosyjskiej. Symbol zaś tej kultury, narodowy teatr „Habima", został stworzony w Moskwie, przez dwóch wybitnych ludzi teatru – Stanisławskiego i Wachtangowa.

I taki sam element spodziewali się ściągnąć działacze i politycy przez lata walczący o wypuszczenie ze Związku Sowieckiego tamtejszych Żydów. Tymczasem lata stalinowskiego i breżniewowskiego zamknięcia spowodowały szczególnie dramatyczny rozziew między oczekiwaniami a rzeczywistością. W tym czasie w Związku Sowieckim powstał żydowski ruch

narodowy, wzmacniający się w miarę rosnących represji, dość jednak elitarny. Uwolnienie z łagrów i wypuszczenie na Zachód czołówki tzw. więźniów Syjonu (sztandarowe nazwiska to Jasza Kazakow, Anatolij Szczerański i Ida Nudel) stało się początkiem nadchodzącego wielkiego exodusu. Ta elita wyważyła drzwi nieprzebranym rzeszom emigrantów, którzy ze Związku Sowieckiego chcieli przede wszystkim uciec, a Izrael był dla nich bardziej pretekstem niż celem – dalecy często nie tylko od syjonizmu, ale nawet od judaizmu i wszelkiego rodzaju żydowskości. Często dzieci rosyjskich matek, a nierzadko rdzenni Rosjanie na kupionych żydowskich papierach.

Nowi przybysze z najwyższą nieufnością traktowali wszelką ideologię, kibucu nie potrafili odróżnić od kołchozu, a poświęcać się dla budowania ojczyzny nie mieli najmniejszego zamiaru. Śmiech wzbudzała w nich jeszcze nieopierzona izraelska kultura, zaś język hebrajski obcy im był niejako podwójnie: raz zwyczajnie – jako obco brzmiący i nieznany język, a dwa – z powodu całkowitej nieznajomości Biblii i kultury na niej opartej.

Okazali się być pierwszą w dziejach Izraela aliją, która świadomie nie rezygnuje z języka kraju pochodzenia. I nie wstydzi się tego! We wszystkich miastach i miasteczkach Izraela nieśmiałe karteczki – *zdzies gawarim pa ruski*, zostały wyparte przez jawne szyldy rosyjskich księgarń, rosyjskich delikatesów, rosyjskich biur podróży. Poczęły się mnożyć gazety i czasopisma pisane cyrylicą – jest ich dzisiaj 35, czyli mniej więcej trzy razy tyle co czasopism hebrajskich. Najważniejsze z tych pism, dziennik *Wiesti*, popiera od dawna prawicę, a w obecnych wyborach nową, drugą z kolei „rosyjską" partię etniczną, założoną przez byłego szefa gabinetu Nataniahu, dość skrajnego prawicowca i kolonizatora (czyli osadnika z terenów okupowanych), Awigdora Libermana.

Nawiasem mówiąc, pierwsza „rosyjska" partia etniczna, utworzona przez byłego „więźnia Syjonu", Anatolija Szczerańskiego, który tymczasem nieco się zhebraizował i nazywa się teraz Natan Szarański, zdobyła w wyborach w 1996 r. 7 mandatów i byłaby czwartą co do wielkości partią izraelską, gdyby nie to, że uprzedzili Szarańskiego Żydzi marokańscy, tworząc swoją partię etniczną Szas, liczebnie zresztą potężniejszą. Rywalizacja tych dwóch partii, należących przecież do tej samej koalicji, doprowadziła prawdopodobnie w obecnych wyborach do upadku Nataniahu, zbyt wyraźnie opowiedział się on bowiem po stronie Szasu, zrażając sobie wielką część „rosyjskiego" elektoratu.

Izrael wprawdzie zawsze kochał imigrację, ale imigrantów nie za bardzo. Żyd, który z dowolnego miejsca na świecie przyjeżdżał do Izraela, żeby schronić się przed piętnem żydostwa, odnajdywał się tu niespodziewanie z piętnem Polaka, Rumuna, Marokańczyka czy Kurda. Każda nacja ma swój stereotyp: jedni brudni, inni kradną, jeszcze inni wynoszą się nad pozostałych. A przede wszystkim każdy nowy przybysz wydaje się być uprzywilejowany, kosztem, oczywiście, poprzednich i za to się go nie lubi. Ustaliła się też swoista hierarchia nacji, od najbardziej do najmniej pogardzanych. Być może w cywilnej społeczności nie byłoby to tak wyraźne, ale przecież w Izraelu służba wojskowa jest tak powszechna, że obejmuje również kobiety. Hierarchia ustalona w jednostkach wojskowych rozprzestrzenia się więc na całe społeczeństwo. Jeszcze 10 lat temu Amerykanie i dawni rosyjscy imigranci byli wyłączeni z powszechnej pogardy. Nowi „Rosjanie" zajęli jednak zdecydowanie ostatnie miejsce w tutejszym porządku dziobania i zostali okrzyczani „aliją mafii, prostytutek i złodziei". Miał ów stereotyp pewne oparcie w rzeczywistości: na ulice podejrzanych dzielnic wyległy masowo złotowłose prostytutki i, co może ważniejsze – jeden z głównych szefów rosyjskiej (bez cudzysłowu tym razem) mafii schwytany został właśnie w Izraelu. Jest nim Grigorij Lerner, który przybrał hebrajskie imię i nazwisko i obfitymi datkami dla partii „Israel baalija" pozyskał sobie przychylność Szarańskiego, ręczącego zań aż do chwili, kiedy Lerner, w ramach ugody sądowej przyznał się do części zarzucanych mu czynów w zamian za łagodniejszy wyrok. Do tego samego momentu był też Lerner „rosyjskim" bohaterem ludowym i symbolem dyskryminacji nowych imigrantów.

Dlatego też, z wyjątkowym niesmakiem Izraelczycy, pielęgnujący hebrajską kulturę traktują „rosyjską" autonomię kulturalną, społeczną, a zwłaszcza polityczną.

Szczególnie rozczarowała się izraelska lewicująca inteligencja. Ona zwłaszcza liczyła na wsparcie w stawianiu oporu

przeważającym demograficznie siłom orientu i ekspansji religii. Okazało się jednak, że „Rosjanie" swoją nienawiść do komunizmu przenieśli automatycznie na Partię Pracy, socjalistyczną co prawda w założeniu, ale od dawna już daleką od modelu wschodnioeuropejskiego. W większości poparli prawicę i pozakładali własne prawicowe partie, a część osiedliła się nawet na terenach okupowanych – jak np. Ida Nudel i Awigdor Liberman. A co za tym idzie nie mogli odepchnąć religii żydowskiej, bowiem nowy nacjonalizm żydowski, w odróżnieniu od syjonizmu starego stylu, jest ściśle związany z religią, często w jej najbardziej obskuranckiej formie. Tego ostatniego zaś Rosjanie raczej nie zauważają, o judaizmie pojęcie mając nikłe. Bywa, że łączą zewnętrzne oznaki kultu, jak broda, pejsy czy jarmułka z niekoszernym jedzeniem.

Rozczarowanie lewicy zaowocowało dramatyczną dyskusją w mediach. Nigdy w dziejach Palestyny ani Izraela nie było tak ogromnej liczbowo aliji, napływającej w ciągu dość krótkiego czasu, stanowiącej zarazem tak olbrzymi procent tutejszej społeczności (przeszło 20%!), a przy tym tak dalece obcej dotychczasowym założeniom tego społeczeństwa. A zwłaszcza kompletnie zdezorientowanej jeśli chodzi o wewnętrzną i zewnętrzną politykę Izraela. Czy wobec tego nie odebrać im prawa głosu, automatycznie przyznawanego każdemu żydowskiemu imigrantowi od pierwszego stąpnięcia na izraelskiej ziemi? Wszak w każdym kraju imigrant musi czekać co najmniej kilka lat (w Ameryce np. 5), zanim zostanie pełnoprawnym obywatelem, nauczyć się języka i poznać konstytucję tego kraju. Propozycja napotkała na zdecydowany sprzeciw, kolidowała bowiem z podstawowym założeniem syjonizmu: prawem powrotu każdego Żyda do ziemi praojców, do dziś jednak wspominana jest z goryczą w „rosyjskich" środowiskach.

Co nie znaczy, że obrońcy zasad syjonizmu nie potrafią rosyjskim Żydom zamienić procesu absorpcji w prawdziwą gehennę. Rabini, zorientowawszy się w nie zawsze żydowskim pochodzeniu przybyszów, podjęli działania iście inkwizytorskie. Tradycyjnie już Ministerstwo Spraw Wewnętrznych jest w rękach partii religijnych, a ostatnio sefaradyjsko-religijnych, nie dziwne więc, że to ono właśnie zabrało się do uprzykrzania im życia. Trwało to już od lat, ale skandal wybuchł dopiero, kiedy zaczęli ginąć „rosyjscy" żołnierze. Kilkakrotnie rabini uniemożliwili pochowanie ich na żydowskich cmentarzach, co wzbudziło ogromne oburzenie świeckiej społeczności, nie mówiąc już o samych „Rosjanach". Czy przelana za ten kraj krew nie wystarcza za świadectwo przynależności do narodu? – pytali.

Rabinat zabrał się również za mieszane małżeństwa, próbując nie-Żydów odsyłać do Rosji, a co gorsze, piętnować dzieci. Nadal, oczywiście we współpracy z MSW. Doprowadziło to ostatnio do takiego napięcia, że głównym hasłem wyborczym partii Szarańskiego stał się slogan: *MWD (Ministerstwo Wnutriennych Dieł) pad nasz kontroł, nie pad Szas kontroł.* To też wiedzie dotychczas zaprzedaną Nataniahu partię Szarańskiego w stronę lewicy, co może przesądzić o wynikach tegorocznych wyborów, bo przecież głos rosyjski już po raz drugi w tej dekadzie będzie decydował o politycznym obliczu Izraela.

Niedawno, wspomniana już wcześniej Ida Nudel pojawiając się w telewizji i wzywając do głosowania na Netaniahu, stwierdziła, że bycie *ole hadasz* (nowy emigrant – pierwsze hebrajskie słowa, jakie poznaje każdy przybysz do Izraela) jest najtrudniejszym zawodem na świecie. Czytelnikom *Kultury* akurat tego nie trzeba tłumaczyć. Można tylko zapewnić, że fakt iż tutejsi imigranci znaleźli się wreszcie w jak najbardziej własnym kraju, niczego nie ułatwia, a może nawet utrudnia.

Pomimo tych wszystkich trudności trzeba powiedzieć, że imigracja rosyjska jest jednak wielkim sukcesem, największym może w historii syjonizmu. O możliwościach dawania sobie rady przybyszów z prawdziwie innego świata niech świadczy niepozorny statystyczny fakt: procent bezrobocia wśród nowych imigrantów jest niższy niż w całej pozostałej społeczności. Mimo ogólnego naśmiewania się, to właśnie oni łatwiej znajdują zatrudnienie. Falę „rosyjskich" sprzątaczek zaczęły zastępować Arabki, Polki, Filipinki, profesorowie i dziennikarze myjący kiedyś podłogi w prywatnych mieszkaniach – znaleźli sobie zajęcie na uczelniach i w redakcjach lub pozakładali własne interesy. Interesy często kulturalne – orkiestry w każdym prawie miasteczku, wydawnictwa, galerie, szkoły wieczorowe, kursy dokształcające dla młodzieży

szkolnej i dorosłych. 80% nowych emigrantów ma własne mieszkanie!

Bywałam w Izraelu dość często od początku trwania tej imigracji. Widywałam swojskie scenki, wcześniej tu nie obserwowane – pijaków oblegających ławeczki w publicznych miejscach, których dialogów nie śmiałabym zacytować, widywałam uczniów rozmaitych kursów hebrajskiego, od których wszystkie inne grupy etniczne odsuwały się na najdalszy koniec klasy z powodu nieznośnego odoru niemytych ciał, Izraelczyków licytujących się u kogo myją podłogi posiadacze wyższych stopni naukowych, pejsatych chasydów, którzy nie potrafią po hebrajsku wytłumaczyć, jak trafić do najbliższej synagogi, weteranów z Afganistanu naśmiewających się z izraelskiego wojska, bywałam zaczepiana na ulicy ofertami zdumiewająco niskich cen za moje towarzystwo, które to oferty zawdzięczałam wyłącznie słowiańskim rysom i jasnym włosom. Czas mijał, a na ulicach zostawały już tylko zupełnie trzeźwe kwartety smyczkowe i nikt nie niepokoił blondynek, na wykładach z filozofii tylko studenci z rosyjskim akcentem nie dawali się zbić z tropu prostymi pytaniami z historii filozofii, na koncertach i w teatrach w antraktach przeważał język rosyjski. Izraelczycy będą się musieli pogodzić z faktem, że to właśnie „Rosjanie" będą podtrzymywać bogate niegdyś życie kulturalne ich kraju.

Klara NAWROCKA

Wywiady „Kultury"

Doktorant na przystanku

Z PROF. DR HAB. PIOTREM WĘGLEŃSKIM, BIOLOGIEM-GENETYKIEM, NOWYM REKTOREM UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO, ROZMAWIA EWA NOWAKOWSKA

Ewa NOWAKOWSKA: – *Od września będzie Pan kierował największym z polskich uniwersytetów: ponad 50 tys. studentów, kilka tysięcy nauczycieli akademickich. Czy z tej perspektywy możemy spojrzeć na problemy, z jakimi boryka się cała nasza nauka i edukacja akademicka?*

Piotr WĘGLEŃSKI: – Uniwersytet Warszawski jest nie tylko największym, ale i najlepszym polskim uniwersytetem – nie ustępuje pod wieloma względami uczelniom zachodnioeuropejskim. Mimo ciągłych kłopotów materialnych udaje nam się utrzymać wysoki poziom zarówno w badaniach, jak i w dydaktyce. Siłą uczelni są ludzie: z jednej strony do tytułów i stanowisk dochodzi się poprzez rzetelne osiągnięcia naukowe i dydaktyczne, z drugiej trafia do nas wyselekcjonowana, najzdolniejsza młodzież. Mamy liczne, twórcze powiązania z innymi instytucjami naukowymi – w kraju i za granicą.

E.N.: – *To jest witryna reprezentacyjna, przejdźmy teraz na zaplecze. Uniwersytet pęka w szwach, sale dydaktyczne przypominają tramwaje w godzinach szczytu, a najzdolniejsi absolwenci decydują się na pracę w uczelni wtedy, gdy są zamożni z domu...*

P.W.: – Proszę pamiętać, że w ciągu niespełna dekady we wszystkich uczelniach podwoiliśmy liczbę studentów. Obok

nas, nierzadko w zupełnie małych miejscowościach, powstało prawie sto czterdzieści wyższych szkół prywatnych. Obecnie kształci się powyżej matury 1,3 mln młodzieży czyli cztery razy więcej, niż na początku dekady. Władze państwowe w ogóle tego nie doceniają. A przecież młodzież, która kontynuuje naukę, nie powiększa rzeszy bezrobotnych, nie trzeba jej płacić zasiłków. Przepełnienie uczelni daje wymierne zyski budżetowi państwa. Sytuacja uniwersytetów jest szczególna, ponieważ to my wyznaczamy standardy edukacyjne. Gdybyśmy je obniżyli, obniżyłby się poziom kształcenia na niższych szczeblach. Jesteśmy czubkiem piramidy edukacyjnej i ciąży na nas ogromna odpowiedzialność. Aby nauka i szkolnictwo wyższe mogły spełniać swoją rolę cywilizacyjną, muszą być finansowane w proporcji do potrzeb. A tak nie jest.

E.N.: – *Politycy twierdzą, że środowisko akademickie afiszuje się biedą i wyciąga rękę do budżetu, zamiast ograniczyć rozrzutność i zarabiać na nauce.*

P.W.: – Trudno to traktować poważnie. Pieniądze, które w Polsce należałoby zainwestować w naukę, abyśmy nie zeszli poniżej poziomu przyzwoitości, to są ułamki kwot, topionych rokrocznie w utrzymywaniu nierentownych gałęzi przemysłu, w dopłatach do rozmaitych branż, które już nie mają przyszłości. Ale górnicy i rolnicy mogą wyjść na ulice, zablokować drogi i skomplikować doraźną sytuację polityczną. Naukowcy tego nie zrobią. Poza tym wyniki prac badawczych rzadko przynoszą zyski w perspektywie krótszej, niż kadencja parlamentu, która wyznacza horyzonty polityków. Perspektywa cywilizacyjna najwyraźniej ich nie interesuje.

E.N.: – *Z projektu ustawy „Prawo o szkolnictwie wyższym" wynika, że polityków bardzo interesuje kształcenie jeszcze większej liczby studentów, ale już wszystkich za pieniądze, które jednak nie nazywałyby się czesnym, tylko „zryczałtowaną odpłatnością za weryfikację wiedzy i certyfikację umiejętności" żeby ominąć konstytucyjny zapis o bezpłatności nauki w szkołach publicznych.*

P.W.: – Nie podobają mi się podchody wokół konstytucji. To pseudo-czesne czyli opłaty za egzaminy i różne inne czynności edukacyjne być może zrównoważy wpływy z odpłatnych studiów wieczorowych i zaocznych i pozwoli utrzymać dochody uczelni na dotychczasowym poziomie, ale cóż z tego, skoro dochody są pięć razy za małe w stosunku do potrzeb! Za palącą potrzebę chwili uważam podwojenie zarobków nauczycieli akademickich, którzy – do adiunkta włącznie – zarabiają poniżej średniej krajowej. Podnoszenie płac o 4-5 proc. rocznie jest kpiną – na początek trzeba je przynajmniej zdublować! Jest to niezbędne, żeby uniwersytety mogły normalnie funkcjonować, tzn. żeby nauczyciele akademiccy zajmowali się nauczaniem i pracą naukową, a nie chałturami poza uczelnią, które wyjaławiają intelektualnie. To studentom należy się czas ich wykładowców i opieka dydaktyczna.

E.N.: – *Doktorant na uniwersytecie zarabia 800 zł miesięcznie?*

P.W.: – Tak i jeśli jest sam, mieszka u rodziców, to może przeżyć. Gdy pobierze się dwoje doktorantów, mają dziecko i ona czasowo musi zrezygnować z pracy – przymierają głodem. Oczywiście nie stać ich na kupno ani wynajęcie mieszkania, aby zorganizować sobie samodzielne życie. To był główny powód wyjazdów młodych naukowców za granicę w ostatnich kilkunastu latach. Nie decydowały motywy polityczne, tylko czysto ekonomiczne. Ci ludzie zostali tu świetnie wykształceni i doskonale dają sobie radę w konkurencji z najlepszymi kolegami, np. biologami w USA, Australii, Francji, Niemczech. To dobrze, że odnoszą sukcesy, ale źle, że nie ma ich tutaj, nie pracują na konto sukcesów nauki w Polsce. Podejrzewam, że *exodus* uczonych będzie trwał, chociaż na mniejszą skalę.

E.N.: – *Ci, którzy twierdzą, że nauka w Polsce może wyżywić się sama, zarzucają naukowcom, że pracując w kraju, nie przemęczają się zbytnio. Po południu budynki instytutów badawczych pustoszeją...*

P.W.: – W budynku, gdzie rozmawiamy (Campus na Ochocie, siedziba Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN oraz kilku pokrewnych zakładów uniwersyteckich – przyp. E.N.) światła palą się do północy, stale ktoś tu pracuje. Nieobecni biegają po mieście, żeby zarabiać pieniądze. Wielu naszych

doktorantów w nocy sprząta dworce albo przystanki autobusowe, bo to dochodowe zajęcia. A czy nauka może wyżywić się sama? Nie, chociaż w pewnym zakresie może na siebie zarabiać, np. instytuty naukowe mogłyby czerpać zyski z wdrażania wyników swoich prac badawczych. Na Uniwersytecie Warszawskim wybudowaliśmy nowy budynek dla Wydziału Prawa wyłącznie za czesne od zaocznych i wieczorowych studentów tego kierunku. Ale nie możemy tylko kształcić – musimy pamiętać o zachowaniu proporcji pomiędzy kształceniem a prowadzeniem badań naukowych. Nie prowadząc badań – przynajmniej w mojej dziedzinie – nie moglibyśmy dobrze kształcić, ponieważ kształcenie polega na przygotowywaniu studentów do uczestnictwa w badaniach naukowych. Profesor, który sam nie jest badaczem – czyli nie stawia problemów i nie próbuje ich rozwiązywać – nie powinien być nauczycielem akademickim.

E.N.: – *Czy pieniądze, jakie w Polsce przeznacza się na naukę, można wykorzystywać lepiej? Czy naukowcy nie są – jak twierdzą obrońcy budżetu państwa – rozrzutni?*

P.W.: – W znanych mi instytutach nie widzę przejawów rozrzutności, raczej przyzwyczajeni do biedy – staramy się ograniczać. Np. moja dziedzina czyli biologia molekularna jest bardzo kosztowna. Do ogromnej większości testów biologicznych produkowane są zestawy gotowych odczynników. Ich użycie zasadniczo skraca czas pracy, ale ponieważ nas na nie nie stać, więc sami robimy odczynniki, wychodząc od elementarnych substancji i związków. Z braku pieniędzy pracujemy nad danym problemem nie pół roku, a dwa lata, ponieważ wszystko musimy robić chałupniczo. Znane mi instytuty za granicą coraz częściej zlecają wyspecjalizowanym placówkom zrobienie pewnej części najprostszych doświadczeń – nas na to nie stać. Środowiskowe spory, czy pieniądze na naukę dzielone są sprawiedliwie, czy rzeczywiście dostają je najlepsi, itp. naprawdę nie mają znaczenia! Pieniędzy jest tak mało, że z takiego lub innego dzielenia biedy nic konstruktywnego nie wynika.

E.N.: – *Wróćmy do uniwersytetu – co Pan, jako rektor, chciałby w nim zmienić?*

P.W.: – Uniwersytet Warszawski byłby w stanie – przy właściwym dotowaniu – przyjmować znacznie więcej młodzieży. Nasi studenci to w większości młodzież warszawska ze środowisk inteligenckich, po najlepszych liceach. Chciałbym kształcić także maturzystów z prowincji, z województwa mazowieckiego i ościennych. Oni do nas nie trafiają, bo jedni kończą słabe szkoły i przepadają na egzaminach wstępnych, a inni nawet nie próbują zdawać, ponieważ koszty utrzymania w Warszawie przekraczają ich możliwości. Chciałbym stworzyć taki mechanizm organizacji pracy i opłacania nauczycieli akademickich, aby jeździli do małych miast i pracowali z młodzieżą licealną, przygotowując ją do studiów uniwersyteckich. Druga droga to techniki zdalnego nauczania, które są już tak doskonałe, że umożliwiają wzajemny kontakt wykładowcy ze słuchaczem. Uruchomienie takich technik z pomocą telewizji lub internetu byłoby znacznie tańsze i efektywniejsze – jednego nauczyciela mogłoby słuchać kilkuset i więcej ludzi równocześnie. Niezależnie od kontaktu multimedialnego musi jednak istnieć bezpośrednia relacja mistrz-uczeń, dlatego niezbędne jest wybudowanie nowych sal wykładowych i akademików, żeby młodzież mogła uczestniczyć w normalnym życiu akademickim. Mimo, iż nowe budynki Biblioteki Uniwersyteckiej i Wydziału Biologii zwolnią sporo powierzchni w starej zabudowie uniwersyteckiej, potrzeba nam jeszcze kilkudziesięciu tysięcy metrów kwadratowych do rozładowania ciasnoty i tłoku.

E.N.: – *A co z odpłatnością za studia? Jak ocenia Pan inne pomysły zmian, zawarte w projekcie nowej ustawy o szkolnictwie wyższym?*

P.W.: – Uważam, że system odpłatności należy zreformować wedle jasnych zasad. Studenci, którzy najlepiej zdają egzaminy wstępne i mają najlepsze wyniki w nauce, nie powinni płacić za studia – można to regulować poprzez bezzwrotne stypendia na opłacenie czesnego. W projekcie ustawy niepokoją mnie najbardziej próby obniżenia poprzeczki przy awansach naukowych. Tendencje, które wyrażają się niewinnie brzmiącymi zapisami, aby przyznawać stopnie lub tytuły naukowe w miejscu zatrudnienia za nieokreślony bliżej „całokształt", za „doro-

bek", bez zewnętrznej kontroli, jaką obecnie sprawuje komisja ds. stopnia i tytułów naukowych, uważam za bardzo groźne. W takim małym kraju jak nasz, gdzie środowisko naukowe też jest nieduże, a w wielu dziedzinach wątłe, trzeba niesłychanie silnej kontroli, żeby profesura czyli czołówka świata nauki reprezentowała najwyższy poziom. Nawet tak silnym ośrodkom naukowym, jak największe uniwersytety, kontrola z zewnątrz jest potrzebna. Reformatorzy chcą z doktorów uczynić profesorów, a obecnych profesorów, którym to się nie podoba, przedstawiają jako beton, okopany na stanowiskach i blokujący awanse młodzieży. Są to populistyczne zabiegi, przypominające społeczne awanse za „zasługi" w początkach PRL, czyli praktyki, z których wycofano się już w poprzedniej epoce. Szczególnie przykre, że dotyczy to właśnie nauki czyli tej dziedziny ludzkiej działalności, w której powinny obowiązywać najwyższe standardy wymagań merytorycznych i etycznych.

E.N.: – *Mówi się, że nadchodzący wiek będzie wiekiem biologii, że to do niej należy przyszłość nauki i cywilizacji. W jakiej kondycji jest polska biologia? Czy mamy szanse udziału w światowej rywalizacji o największe trofea genetyki i biotechnologii?*

P.W.: – Bardzo uważnie śledzimy wszystko, co dzieje się na świecie i staramy sie w tym uczestniczyć. Dzięki internetowi mamy dostęp do naukowych baz danych, wiele informacji i materiałów przywożą nasi koledzy, którzy okresowo pracują za granicą. Jeden z polskich zespołów uczestniczył w sekwencjonowaniu genomu drożdży, które są organizmem niesłychanie ważnym dla genetyki, ale nie uczestniczyliśmy już w sekwencjonowaniu genomu ludzkiego – projekcie o kolosalnym znaczeniu poznawczym i praktycznym. Ogromna większość najbardziej spektakularnych doświadczeń genetycznych wykonywanych na użytek medycyny, odbywa się bez naszego udziału. A to one będą miały największy wpływ na ludzkie życie w nadchodzącym stuleciu.

E.N.: – *Te badania budzą niechęć i opór hierarchii kościelnej i zbliżonych do niej kręgów opiniotwórczych: uważa się je za podejrzane, bo równoznaczne z wchodzeniem człowieka w kompetencje Boskie...*

P.W.: – Fizyk Steven Hawking, który najlepiej spośród współczesnych rozumie jak powstał świat i jak się rozwija, za najważniejsze w perspektywie stulecia uznał tylko dwa sukcesy nauki: myślące komputery czyli sztuczną inteligencję oraz wprowadzenie technik inżynierii genetycznej w odniesieniu do człowieka. Przewidywał, że zwłaszcza ten drugi wynalazek spowoduje ostre konflikty społeczne. Ale jestem pewien, że w obliczu zagrożenia śmiertelną chorobą – zwłaszcza, gdy chodzi o dzieci – ludzie będą korzystali z metod terapii genowej, niezależnie od nacisku fundamentalistów, głoszących, że to niemoralne i sprzeczne z religią, przyznającą tylko Bogu podobne kompetencje. Po stronie religii znam jednak wyjątki, budzące optymizm. Gdy w Jerozolimie spotkałem rabina, który prowadził internetowe doradztwo w kwestiach religijnych, zapytałem go o opinię na temat klonowania człowieka. Odpowiedź brzmiała : „Jeżeli Bóg dał człowiekowi zdolność do stworzenia drugiego człowieka, to poradzi sobie także z następstwami tego dzieła".

E.N.: – *Jak zaawansowane są te badania w dziedzinie genetyki, które służą postępowi medycyny?*

P.W.: – Radykalny przełom w biologii nastąpił pod koniec lat 70-tych. Po zrozumieniu, czym są geny i jak funkcjonują, nauczyliśmy się nimi manipulować, zmieniać, przenosić z organizmu do organizmu. Zaczęliśmy przełamywać bariery, które ewolucja ustaliła przez 3,5 mld lat. Te badania są niesłychanie kosztowne. Dlatego rozwijają się tylko w najbogatszych krajach: USA, potem długo, długo nic i wreszcie kilka krajów europejskich. Przekuwa się tu na praktykę prace teoretyczne, jeszcze niedawno robione wyłącznie w laboratoriach, bez przekonania, że wyjdzie z tego coś użytecznego. Dziś już dysponujemy informacjami, o jakich nie marzyliśmy, np. znamy kod genetyczny niektórych organizmów. Drożdże, niektóre bakterie, robak nicień są już w pełni zsekwencjonowane, tzn. znamy układ wszystkich nukleotydów, które w DNA tworzą zapis genetyczny organizmu.

E.N.: – *Kiedy poznamy genom człowieka?*

P.W.: – To dzieło ma być skończone w roku 2003, a chodzi o poznanie sekwencji czyli układu nukleotydów, których w chromosomach człowieka są ponad trzy miliardy. Gdyby je wypisać obok siebie pismem maszynowym, ten wers ciągnąłby się z Londynu do Montrealu. To jeden z najpoważniejszych projektów naukowych w historii, jeśli chodzi o liczbę zaangażowanych osób i pieniądze, porównywalny z wyprawą Apollo na Księżyc, a cel, który jeszcze kilka lat temu wydawał się czysto teoretyczny, teraz jawi się jako niesłychanie ważny praktycznie. Poznanie genomu człowieka pozwoli na diagnozowanie całej masy chorób, uwarunkowanych genetycznie, na ustalanie indywidualnego ryzyka zapadalności na nowotwory. Będzie można stworzyć nowe metody diagnostyczne, a następnie korygować błędy genetyczne, które są przyczyną określonych chorób. Terapię genową można będzie stosować w odniesieniu do określonych komórek, narządów albo całego organizmu. Inżynieria genetyczna znajdzie zastosowanie przede wszystkim w leczeniu chorób, uważanych dotychczas za nieuleczalne. Podczas konferencji na temat biotechnologii XXI wieku, która w kwietniu odbyła się w Lyonie, podawano niemal fantastyczne przykłady technik, które już wchodzą i w najbliższym czasie będą stosowane do leczenia choroby wieńcowej i nowotworów. Polegają one na wszczepianiu genów, na takim manipulowaniu komórkami układu odpornościowego, żeby je „wyszkolić" do zwalczania komórek nowotworowych. Genetycy twierdzili, że jesteśmy na progu rewolucji, która całkowicie zmieni podejście do leczenia człowieka.

E.N.: – *Jak do tych niezwykłych perspektyw ma się sytuacja nauki i praktyki medycznej u nas?*

P.W.: – Powstaje niesłychany dysonans pomiędzy cudami światowej medycyny, które pozwalają na leczenie bardzo ciężkich chorób, przedłużanie ludzkiego życia, itd. – a tym, co dzieje się w Polsce. Nasza medycyna zawsze borykała się z ogromnymi trudnościami finansowymi, była chronicznie źle zorganizowana, ale obawiam się, że sytuacja będzie jeszcze trudniejsza, ponieważ na domiar złego zrobiono reformę. Obserwując pracę moich kolegów w branży medycznej z jednej strony, a z drugiej występując w roli pacjenta – nie widzę żadnych plusów tej reformy, tylko kosmiczny bałagan. Luksusem staje się dostęp do najprostszych usług medycznych, za które trzeba zapłacić. Ten, kogo nie stać, nie wykonuje zleconych badań. Koledzy, pracujący w zakresie genetyki człowieka, którzy robili bardzo kosztowne testy w zakresie diagnostyki prenatalnej, mają teraz bardzo mało pracy.

E.N.: – *Diagnostyka prenatalna nie weszła do zestawu świadczeń podstawowych czyli pacjentka sama musi za nią płacić. Pod koniec maja – głosami tzw. obrońców życia – Sejm dodatkowo utrudnił dostęp do tych badań (wymagać się będzie specjalnego skierowania). Wcześniej problemem było uświadomienie kobietom konieczności poddawania się testom w określonych sytuacjach. Teraz świadomość stawia je w szczególnie dramatycznej sytuacji, ponieważ – wiedzą, co im grozi!*

P.W.: – Nowoczesna praktyka medyczna – nowe metody diagnostyczne i nowe terapie – wymagają bardzo dużej wiedzy i kosztownych procedur naukowych. Tymczasem z jednej strony nauka jest w biedzie, co musi wpłynąć także na pogorszenie poziomu kształcenia lekarzy, a z drugiej praktyka medyczna ulega degeneracji na skutek reformy służby zdrowia i takich nieludzkich pomysłów legislacyjnych, o których wyżej. Te dwie patologie spotykają się, grożąc katastrofą.

E.N.: – *Jak jej uniknąć?*

P.W.: – Niektórzy przedstawiciele naszej klasy rządzącej wyrażają obawy, że po wejściu do Europy będziemy tam traktowani jako prymitywna i tania siła robocza. Podzielam te obawy, ale nie zgadzam się ani z oceną przyczyn, ani z pomysłami terapii, która miałaby polegać albo na niewstępowaniu do Unii Europejskiej albo na wniesieniu do niej wartości chrześcijańskich. Tych ostatnich nie widzę u nas w praktyce życia codziennego, natomiast aby skutecznie izolować się od Europy wystarczy kontynuacja dotychczasowej polityki w odniesieniu do edukacji, nauki, ochrony zdrowia. Uważam, że jedynym sposobem uniknięcia regresu cywilizacyjnego i marginalizacji Polski w Europie jest takie wy-

kształcenie społeczeństwa, abyśmy mogli stawać do konkurencji w każdej dziedzinie.

E.N.: – *Dziękuję Panu za rozmowę.*

Rozmawiała Ewa NOWAKOWSKA

Prof. dr hab. Piotr Węgleński (ur. 1939 r.) kieruje zakładem genetyki Uniwersytetu Warszawskiego. Całą swoją drogę naukową – od studiów na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi do profesury – związał z tą uczelnią. Specjalizuje się w dziedzinie biologii molekularnej. W latach 70-tych wprowadził do polskiej nauki metody inżynierii genetycznej. Jest autorem kilkudziesięciu prac naukowych i współautorem kilku książek, m.in. podręcznika „Genetyka molekularna". Kierował też projektami o znaczeniu praktycznym, takimi jak konstruowanie szczepów bakterii do produkcji ludzkiej insuliny i hormonu wzrostu. Pracował naukowo za granicą, w tym dwa lata jako *visiting professor* w Masachussets Institute of Technology w USA. Przez trzy kadencje był prorektorem, a 12 kwietnia 1999 r. został wybrany rektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Nie należał do żadnych partii politycznych, działał społecznie, a najmilej wspomina funkcję kapitana uniwersyteckiej drużyny siatkówki, którą pełnił przez kilka lat na początku kariery akademickiej.

Ewa Nowakowska jest socjologiem, publicystką *Polityki*.

UNESCO – klub dialogu odmiennych kultur

ROZMOWA Z WOJCIECHEM FAŁKOWSKIM, SEKRETARZEM GENERALNYM POLSKIEGO KOMITETU DO SPRAW UNESCO

Adam GAŁKOWSKI: – *Czym jest dzisiaj UNESCO? Jak Pan ocenia możliwości tej organizacji w skali globalnej, w sytuacji antagonizmów powodowanych sprzecznymi interesami wielkich i małych tego świata, w atmosferze raz po raz wybuchających regionalnych konfliktów?*

Wojciech FAŁKOWSKI: – UNESCO jest organizacją powołaną do obrony kultury, nauki i edukacji przed światem polityki, który ma niejako naturalną skłonność do dominacji nad innymi sferami ludzkiej działalności, do spychania ich na dalszy plan. U podłoża UNESCO legło przekonanie, że sprawy szeroko pojętej kultury są zbyt ważne, by pozostawić je w rękach wyłącznie polityków. Od dłuższego czasu wokół tej organizacji rozwija się pewien konflikt. Po pierwsze, uważa się, że taka organizacja jak UNESCO, powinna mieć dokładnie zdefiniowany program działania i sposób gospodarowania swymi pieniędzmi, podobnie jak czyni to np. Bank Światowy, Światowa Organizacja Zdrowia, czy też Urząd Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców. I do pewnego stopnia jest to słuszne. Każda organizacja winna być podporządkowana pewnej dyscyplinie intelektualnej, polegającej na odpowiednim doborze tematów i programów, sposobach ich realizacji, a następnie określonemu rygorowi finansowemu. Innymi słowy, właściwej formie rozliczania efektów tej działalności i sposobów wydatkowania środków. Ale z drugiej strony, w jaki sposób konkretnie określić, jak precyzyjnie zdefiniować problemy tej szeroko pojętej kultury, których natura jest przecież nieco odmienna od potrzeb medycznych, od inwestycji w krajach Trzeciego Świata, lub też pomocy uchodźcom politycznym. Oczywiście, konkretne programy naukowe i edukacyjne się tworzy – i słusznie! – ale pewna zasada generalna działania tej organizacji chyba powinna pozostać nie do końca określona. I sprawa druga, to konflikt między biednymi i bogatymi tego świata, między żyjącym w niedostatku Południem i bogatą Północą. Na ten konflikt nakłada się dodatkowo konflikt cywilizacji, odmiennych kultur, różnych filozofii życia w skali globalnej między poszczególnymi kontynentami, ale również wewnątrz każdego kontynentu z osobna. To jest rywalizacja kultur, ich spotkanie na różnych piętrach i płaszczyznach. UNESCO jest terenem, na którym te zetknięcia się odbywają, przybierając także formę sporów – przyznajmy – często jałowych. Czasami wydaje się nawet, że mamy do czynienia z marnowaniem środków, ale czy można tego całkowicie uniknąć?

UNESCO jest takim miejscem, w którym można wypracowywać pewne recepty kulturowe i edukacyjne dla różnych regionów świata, a na pewno można przedstawiać odmienne racje...

A.G.: – *...czyli jest także swego rodzaju szkołą współżycia różnych kultur?*

W.F. – To miejsce, w którym poszczególne cywilizacje powinny wypracowywać *consensus* w sprawach zarówno generalnych, jak i drobnych. Jest to również swoisty klub, który pozwala poznawać zdanie innych i razem rozwiązywać wspólne problemy. Jest to także miejsce, w którym nie trzeba się tłumaczyć z bycia innym. Odmienność jest tu walorem szczególnie cenionym i chronionym, co trzeba podkreślić w obecnej dobie, pełnej wezwań do generalnych unormowań i dążeń do uniwersalizacji, żeby nie powiedzieć dosadniej – uniformizacji.

A.G.: – *Przejdźmy na nasze podwórko. Proszę coś powiedzieć o Polskim Komitecie do Spraw UNESCO. Jakie ma zadania, jakie jest jego miejsce w strukturze tej światowej organizacji i jakie „umocowanie" formalno-prawne w Polsce?*

W.F. – Komitety UNESCO działają prawie w każdym kraju. Zajmują się oczywiście pilnowaniem interesów narodowych i stałą analizą ich pozycji na forum tej światowej organizacji. Z drugiej strony, komitety pełnią rolę pasa transmisyjnego spraw ogólnych na terytorium własnych państw. Polega to na wdrażaniu u siebie konkretnych sugestii czy programów płynących „z góry", na wymianie ekspertów, dystrybucji materiałów roboczych związanych z realizacją konkretnych przedsięwzięć, a ponadto dbałości o właściwą reprezentację – w sensie osobowym i merytorycznym na forum ogólnym. Wszystko to odnosi się w równym stopniu do Polskiego Komitetu, który formalnie jest instytucją autonomiczną w stosunku do MSZ, posiadającą własny budżet, chociaż otrzymywany za pośrednictwem tego resortu.

A.G.: – *Jaką rolę Polski Komitet może pełnić (i jaką faktycznie pełni) w dziedzinie kształtowania wizerunku i pozycji naszego kraju w układzie międzynarodowym?*

W.F. – Na pewno reprezentacyjną, a zatem nie pozostającą bez wpływu na wizerunek Polski na tym forum – tak przez samą swoją obecność, jak również programy, które lansuje i wdraża w ramach międzynarodowej współpracy. Ale jest jeszcze

jedna sprawa. Ponieważ UNESCO jest organizacją o charakterze globalnym, jest rzeczą ważną, ażeby Polski Komitet wnosił do tego forum coś własnego, indywidualnego. Żeby uczestnictwo Polski nie ograniczało się li tylko do samej fizycznej obecności jej przedstawicieli, ekspertów i pełnomocników, lecz ponadto wnosiło do merytorycznych programów indywidualny, polski punkt widzenia, wynikający z naszej historii, z naszych doświadczeń, z naszej tożsamości narodowej. To jest zadanie, które wymaga pewnych umiejętności, ale – jak praktyka dowodzi – wykonalne.

A.G.: – *A sam Komitet?*

W.F. – Składa się z dwóch części: członków honorowych i biura wykonawczego. Komitet honorowy, to przedstawiciele instytucji rządowych, odpowiednich ministerstw, zajmujących się problematyką zbliżoną do UNESCO, zasiadających w nim *ex oficio* oraz kilkunastu wybitnych osób ze świata kultury i nauki, mianowanych do Komitetu z racji swojej osobowości, pozycji zawodowej i społecznej. Wszyscy członkowie Komitetu, będący w nim *ad personam* oraz sekretarz generalny, otrzymali nominację ministra spraw zagranicznych.

Przewodniczącym Komitetu jest prof. Jerzy Kłoczowski, historyk, człowiek pasjonujący się sprawami UNESCO jako organizacji o charakterze globalnym, zaangażowany w sprawy Europy Środkowo-Wschodniej. Jego wiedza i doświadczenie zwłaszcza w tych ostatnich – wysoko cenione przez naszych sąsiadów, skoro został doktorem honoris causa między innymi Uniwersytetu w Grodnie i Akademii Kijowsko-Mohylańskiej – pozwalają przeszczepiać na szerszy grunt, do „salonów intelektualnych" świata zachodniego, pewne unikalne – jak się wydaje – spojrzenia naszej części Europy na współczesne problemy kulturowe, społeczne, polityczne. Chodzi o doświadczenia regionu, który najdotkliwiej przeżył zarówno hitlerowskie barbarzyństwo, jak i wieloletnią sowiecką okupację.

Zastępcą przewodniczącego jest prof. Jacek Woźniakowski, historyk sztuki, założyciel Znaku, osoba umiejąca znakomicie łączyć różne sfery działania organizacji, sztukę z pracą naukową i edukacyjną pasją. Można powiedzieć nieco żartobliwie: personifikacja UNESCO przez swoje różnorakie zainteresowania i talenty (obecnie prowadzi właśnie wykłady

w katedrze kultury i języka polskiego Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie). W czasie jednego ze spotkań trzech Komitetów UNESCO z państw Trójkąta Weimarskiego w Krakowie, mówił on o sposobie kształcenia nauczycieli, o potrzebie uświadamiania przyszłym nauczycielom kontekstu kulturowego, cywilizacyjnego, religijnego i społecznego środowisk, w których przyjdzie im pracować. Jego wystąpienie zrobiło świetne wrażenie na Francuzach i Niemcach. Ale tym samym potwierdziło regułę, że połączenie formalnych możliwości działania naszej organizacji ze światem intelektualnym bywa efektywne.

Druga część Komitetu, kierowana przez sekretarza generalnego, ma charakter koncepcyjno-wykonawczy, są to ludzie realizujący generalne cele i założenia organizacji i wdrażający konkretne projekty.

A.G.: – *Wspomniał Pan wcześniej o programach UNESCO i ich roli w łączeniu interesów globalnych tej organizacji z interesami lokalnymi państw członkowskich. Porozmawiajmy o konkretach. Jest taki program, który nazywa się „Transfer"...*

W.F. – Bardzo się cieszę z tego pytania. Idea „Transferu" narodziła się w Polskim Komitecie w ubiegłym roku. To program bardzo pożyteczny i chyba trochę nietypowy. Polega on – najogólniej rzecz biorąc – na umożliwieniu środowiskom twórczym naszych sąsiadów zaistnienia w europejskich centrach kulturalnych. Jego inauguracja miała miejsce w październiku ub.r. w Stacji PAN w Paryżu, w formie recitalu fortepianowego młodego lwowianina, Jaromyra Bożenki. Otóż obie nasze instytucje zgłosiły tę formę wyróżnienia do oficjalnej puli nagród ubiegłorocznego Konkursu Młodych Pianistów im. Artura Rubinsteina w Bydgoszczy. A zatem nie mieliśmy nawet wpływu na wybór laureata, gdyż uczyniło to za nas kompetentne jury konkursu. Polski Komitet ds. UNESCO pokrył koszta podróży młodego artysty, Stacja PAN – dała przez tydzień mieszkanie i zorganizowała koncert. Znakomity poziom recitalu, jak również zgromadzenie w murach Stacji międzynarodowej publiczności (włącznie z przedstawicielami Ambasady Ukrainy w Paryżu oraz przewodniczącą Jury bydgoskiego

konkursu, p. Ewą Osińską) potwierdziło słuszność naszej inicjatywy. W grudniu 1998 r. z kolei, też do Paryża, zjechało dwóch pracowników naukowych z katedry języka polskiego Uniwersytetu Wileńskiego. Tym razem chodziło o uczestnictwo w sesji naukowej „Mickiewicz-France-Europe", jaka odbyła się w Collège de France, w ramach obchodów Roku Mickiewiczowskiego. Nasz Komitet całkowicie pokrył koszta podróży Litwinów i ich pobytu we Francji. Andriej Bazylewski z moskiewskiego Wydawnictwa „Wahazar" z kolei, mógł w ramach programu „Transfer" (otrzymał od Polskiego Komitetu stypendium), prowadzić za granicą badania nad twórczością S.I. Witkiewicza. To już było, a w sierpniu br. w Jerozolimie odbędzie się międzynarodowa konferencja filozoficzna, zorganizowana przez Komitet Izraelski, przy współpracy z naszym. My umożliwiamy uczestnictwo nie tylko trzem referentom z Polski, ale również z Litwy, Białorusi i Ukrainy (nb., przy wyborze kandydatów z tamtych państw bardzo nam pomogła prof. Barbara Skarga, członek naszego Komitetu).

Podane przykłady najlepiej świadczą o naturze „Transferu", o jego otwartości na przeróżne formy działalności twórczej. I jeżeli istnieją tu jakiekolwiek ograniczenia, to przede wszystkim natury finansowej, a nie merytorycznej.

A.G.: – *No właśnie. Skąd Komitet czerpie środki na realizację tego programu?*

W.F. – Podobnie jak w przypadku całej naszej działalności statutowej – z budżetu, jaki otrzymujemy za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jest to osobny punkt w budżecie państwa, dodajmy szczerze – bardzo mały punkt – tworzony na wniosek MSZ. Staramy się czasem, jak to bywa w przypadku konkretnych inicjatyw, o jakieś dodatkowe, niewielkie zresztą subwencje z innych źródeł i z różnym skutkiem.

A.G.: – *Czy z programem tym wiążecie jakieś szczególne nadzieje?*

W.F. – Oczywiście! „Transfer" ma tę zaletę, że świetnie oddaje ducha naszej działalności w ogóle, a z drugiej strony tworzy formułę bardzo pojemną i praktyczną. „Duch" ten zaś polega na animacji i wspieraniu współpracy z naszymi bądź

co bądź uboższymi sąsiadami oraz na znoszeniu barier cywilizacyjnych. I nie ma to nic wspólnego z jakimś polskim „imperializmem" i próbą zdominowania tychże sąsiadów. Nasz interes w tej sprawie jest jasny i ma charakter dalekosiężny. Wspierając u naszych wschodnich sąsiadów inicjatywy edukacyjne, intelektualne, artystyczne czy obywatelskie, równocześnie tworzymy podwaliny pod wzajemne stosunki partnerskie. Oferując solidną pomoc w wymienionych dziedzinach, mamy nadzieję zastępować obecne tam wciąż wobec nas nieufność i wrogie stereotypy – zaufaniem, stabilną i przyjazną współpracą. Mamy świadomość, że nasze działania mają wymiar bardziej symboliczny niż masowy. Nigdy przecież nie wyręczymy polityków i ekonomistów, którzy dysponują innymi środkami i możliwościami. Ale to też nie może oznaczać rezygnacji z jakiejkolwiek inicjatywy w dziedzinie kształtowania świadomości. UNESCO zajmuje się szeroko pojętą kulturą i edukacją i w tym zakresie uważamy za swój obowiązek realizować konkretne przedsięwzięcia, które wydają nam się rozsądne i pożyteczne. Jednocześnie tworzą one więzy z polskimi środowiskami intelektualnymi i przyzwyczajają partnerów do korzystania z naszego dorobku.

A.G.: – *Czy należy przez to rozumieć, że przed „Transferem" nie było w polskim UNESCO żadnych stosunków z Litwą, Białorusią i Ukrainą?*

W.F. – Ależ nie! Współpraca trwa od lat, tyle że w ramach innych programów, bądź przedsięwzięć jednostkowych. „Transfer" wchodzi jednak w pewną lukę. Z dotychczasowej praktyki chciałbym wymienić program stypendialny dla biochemików. Prowadzony wspólnie z Instytutem Biochemii i Biofizyki PAN, kierowanym przez prof. Włodzimierza Zagórskiego-Ostoję, członka naszego komitetu, obejmował kraje Europy Środkowo-Wschodniej i Bliskiego Wschodu. Inny program stypendiów pobytowych pozwala na 2-3 miesięczne pobyty stypendialne u nas badaczom z całego naszego regionu (a więc także z Litwy, Białorusi i Ukrainy). Częścią programu stypendialnego jest tzw. szlak „afrykański" – organizowane od 4 lat półroczne pobyty w Polsce 20-30 osób z krajów Czarnej Afryki. Dwa lata temu były to kobiety uczestniczące w semestralnym kursie socjologii, obecnie są to stypendyści zajmujący się zarządzaniem portami morskimi oraz archeolodzy. Program archeologiczny ułatwia nam później prowadzenie wykopalisk w takich krajach jak Mali czy Sudan, a archeologom afrykańskim – poznanie naszych metod pracy. Chciałbym przy okazji dodać, że jednym z naszych ważnych partnerów w organizacji pobytów stypendialnych w Polsce jest Kasa im. J. Mianowskiego, kierowana przez prof. Władysława Findeisena (również członka Polskiego Komitetu). Jest to instytucja wykonująca ogromną pracę o wielkim znaczeniu w skali całego kraju.

A.G.: – *I znowu pytanie o pieniądze. Skąd Polski Komitet miał środki na powyższe programy stypendialne?*

W.F. – Na pobyty – z naszego budżetu i subwencji Ministerstwa Edukacji Narodowej, a na przejazdy dla gości z Afryki – z centralnej kasy UNESCO.

A.G.: – *Jak wiadomo, jedną z głównych sfer działania UNESCO jest edukacja. Co Polski Komitet ma do zaoferowania młodzieży?*

W.F. – Trudno byłoby tu szczegółowo mówić o wszystkich naszych inicjatywach na tym polu, ale na pewno wypada wspomnieć o funkcjonowaniu Systemu Szkół Stowarzyszonych UNESCO, w ramach którego odbywają się warsztaty, seminaria, olimpiady przedmiotowe, konkursy, letnie obozy językowe, międzynarodowe spotkania młodzieży. Właśnie w kwietniu 1998 r. odbyło się w Paryżu takie spotkanie, zorganizowane w stulecie odkryć promieniotwórczości Marii Skłodowskiej-Curie przez Polski Komitet, z udziałem Sekretariatu UNESCO i Komitetu Francuskiego. Miało ono na celu przybliżenie młodzieży problemów pracy i kariery naukowej u progu XXI wieku. Przybyło około 200 młodych ludzi z 31 krajów, a wśród nich 15-u z Polski i po 7 osób z Białorusi, Litwy i Ukrainy. Łącznie cały autokar z Polski. Goście zwiedzali instytuty naukowe, spotykali wybitnych uczonych (w tym noblistów), uczestniczyli w specjalnych warsztatach i dyskusjach o przyszłości świata. Wszystkie sprawy organizacyjne związane z podróżą i pobytem delegacji polskiej, litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej załatwił nasz Komitet. Ta

grupa była widoczna nie tylko w barwnym tłumie młodzieży z różnych krajów, ale także została dostrzeżona przez oficjeli UNESCO. Zauważono rolę Polski, która przedstawiła nie tylko własną młodzież, ale również z krajów regionu.

A.G.: – *Z powyższych wypowiedzi widać, iż Polski Komitet dość często nie działa sam. Proszę powiedzieć coś więcej o jego partnerach.*

W.F. – Jest ich oczywiście wielu. To zależy od konkretnych projektów. W ub.r. na przykład, żeby pozostać jeszcze przy problemach edukacyjnych, w związku z przygotowywaną reformą systemu oświaty w Polsce, zostaliśmy poproszeni przez właściwą komisję sejmową o zorganizowanie seminarium pozwalającego porównać doświadczenia innego kraju (wybór padł na Wielką Brytanię). Przygotowaliśmy więc odpowiedni materiał przeznaczony nie tylko dla ekspertów, ale również dla naszych prawodawców. Zagraniczni eksperci prezentowali silne, a także słabe strony przyjętych u nich rozwiązań. Ponieważ ta forma współpracy z Sejmem się sprawdziła, w roku bieżącym ponownie zostaliśmy poproszeni – tym razem, w związku z planowaną reformą polskiego szkolnictwa wyższego – o organizację podobnego seminarium. W tym przypadku chcemy oprzeć się na przykładach Wielkiej Brytanii, Niemiec i Włoch. Seminarium odbędzie się we wrześniu br. w Sejmie.

A.G.: – *A partnerzy zagraniczni?*

W.F.: – Przede wszystkim Sekretariat organizacji oraz inne narodowe komitety UNESCO. Mamy znakomitą współpracę z komitetem francuskim i niemieckim w ramach Trójkąta Weimarskiego. Wyraźnie zarysowują się niezłe kontakty z niektórymi instytucjami białoruskimi i litewskimi – i to nie na poziomie politycznym, ale w związku z realizacją konkretnych przedsięwzięć. Z komitetami narodowymi tych krajów współpraca wygląda nieco słabiej, ale można to wytłumaczyć tzw. przyczynami obiektywnymi. Bardzo dobrze układają się nam relacje z komitetem czeskim. Jeszcze w początkach lat 1990-tych było widać, że Polska nie jest głównym kierunkiem ich zainteresowań. Obecnie sytuacja jest całkiem inna (podobnie zresztą jak w przypadku Węgrów).

A.G.: – *Jak wygląda problematyka współpracy regionalnej w Europie Środkowo-Wschodniej z pozycji Sekretarza Generalnego Polskiego Komitetu ds. UNESCO?*

W.F. – Współpraca regionalna w naszej części Europy, to temat ogromny. Stwierdzenie, że Polska powinna, we własnym dobrze pojętym interesie, sprzyjać związkom swych sąsiadów z Europą Zachodnią, jest dzisiaj banałem. Ale bywają takie banalne prawdy, które trzeba powtarzać. Tak więc, jestem absolutnie przekonany, że pomoc naszym wschodnim sąsiadom jest najlepszą formą umacniania pozycji Polski w regionie, ale również na Zachodzie, gdzie między innymi dzięki takiej polityce, jesteśmy postrzegani jako czynnik poważny i stabilizujący. Tego rodzaju polityka winna być jednym z naszych narodowych priorytetów, o których często się słyszy, lecz których nie wszyscy jesteśmy chyba świadomi.

Polski Komitet ds. UNESCO jest oczywiście tylko jednym z ośrodków, realizujących to zadanie. A płaszczyzna naszego działania – kultura i edukacja – zdaje się odgrywać w tym procesie rolę nie do przecenienia.

A.G.: – *A konkretnie?*

W.F. – O programach stypendialnych już mówiliśmy. Wspomnę więc teraz o Letniej Szkole dla konserwatorów. Po raz pierwszy miała miejsce w ub.r. w Zamościu, nb. mieście wpisanym na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Zaprosiliśmy wówczas 12-u specjalistów z Litwy, Białorusi i Ukrainy na dwa tygodnie wykładów i warsztatów roboczych w zakresie konserwacji zabytków. O powodzeniu tej inicjatywy niechaj świadczy fakt, że kiedy teraz rozesłaliśmy zaproszenia, to z samej tylko Litwy otrzymaliśmy 15 zgłoszeń, co już wypełniłoby całą pulę miejsc przewidzianych dla gości z zagranicy. Tymczasem zgłosili się jeszcze konserwatorzy z Białorusi, Ukrainy, Słowacji i Mołdawii! Tegoroczna Letnia Szkoła może przyjąć 15-u konserwatorów z wymienionych krajów oraz oczywiście specjalistów polskich.

Ta potrzeba wymiany doświadczeń i doskonalenia swoich umiejętności zawodowych u gości zagranicznych naszej Szkoły jest bardzo widoczna. I nie ma w tym nic dziwnego.

Jeśli bowiem spojrzeć na stan samej specjalności konserwacji zabytków w krajach b. ZSSR, to okazuje się że reprezentuje ona bardzo niski poziom. Konserwację zabytków kojarzono tam dosyć często ze zwyczajnym wyburzaniem, o czym najlepiej świadczy stan zabytkowych kościołów, cerkwi, arystokratycznych rezydencji. Program naszej Letniej Szkoły wyraźnie więc kładzie nacisk – obok pomocy w nawiązywaniu indywidualnych kontaktów profesjonalnych – na nauczanie klasycznych podstaw zawodu, historii i historii sztuki. Wbrew panującym stereotypom i nieufności naszych wschodnich sąsiadów wobec Polski, ten głód kontaktów jest silny. A jeśli już zostaną nawiązane, szybko przekształcają się w trwałe więzi zawodowe i osobiste. I chciałbym podkreślić, że potrzeba tych kontaktów jest szczególnie widoczna w naukach humanistycznych. Spustoszenia, jakich miniony system dokonał w zakresie nauk historycznych i społecznych w tamtych krajach są ogromne. Rola polskich środowisk naukowych wydaje się w tej sprawie nie do przecenienia. Ale oczywiście, wciąż istnieją bariery finansowe i Polski Komitet ds. UNESCO robi to na skalę, na jaką go stać.

A.G.: – *Nie mówiliśmy jeszcze o Światowym Dziedzictwie Kulturalnym. Jak na jego liście prezentują się dzisiaj obiekty polskie? Czy Polski Komitet ma na tym polu jakieś dokonania?*

W.F.: – Konwencja o Światowym Dziedzictwie Kulturalnym i Naturalnym z 1972 r. jest jednym z tych tematów UNESCO, które cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem opinii publicznej. Lista miast uznanych za szczególnie cenne w skali całego świata, liczy dziś sobie około 500 i oczywiście zawsze jest otwarta, chociaż coraz trudniej się na niej znaleźć. Obecność na Liście ma dla wybranego miasta ogromne znaczenie reklamowe, stanowi przecież zachętę dla turystów i pośrednio – inwestorów. Z drugiej strony, sprzyja ratowaniu zabytków przed zniszczeniem, ogranicza samowolę budowlaną, wymusza na władzach lokalnych przestrzeganie określonych rygorów konserwatorskich. Wprawdzie UNESCO nie finansuje żadnych tego rodzaju prac w terenie, to jednak wyróżnienie miasta wpisem na Listę, ułatwia zdobywanie środków na

konserwacje i rekonstrukcje. Nasz Komitet uczestniczy w konferencjach UNESCO w związku z przynależnością polskich obiektów do Światowego Dziedzictwa. W roku ubiegłym na Liście znalazł się zespół staromiejski Torunia i Zamek w Malborku, czemu władze lokalne nadały znaczny rozgłos. Aktywnym ośrodkiem „z Listy" jest Zamość, rokrocznie organizujący Dzień Solidarności Miast Światowego Dziedzictwa, a Kopalnia Soli w Wieliczce obchodziła 20-lecie swojej obecności. To tylko niektóre przykłady naszego uczestnictwa w realizacji paryskiej konwencji z 1972 r.

A.G.: – *Czy wśród Miast Światowego Dziedzictwa znajdują się zabytki naszych wschodnich sąsiadów?*

W.F.: – To kolejny trudny problem. Zgodnie z naszą zasadą udzielania poparcia i umacniania kulturalnej pozycji tych krajów w Europie, podjęliśmy również inicjatywy w dziedzinie Miast Światowego Dziedzictwa. I co? – Okazuje się, że w terenie nie ma zbyt wielu propozycji w stanie kwalifikującym się do tej Listy. Dewastacja obiektów jest niekiedy prawie stuprocentowa. Coś jednak udało się zrobić. Ostatnio (1998) wyróżnienie to spotkało miasto Lwów. Nasz udział w tej sprawie został nawet doceniony przez Ukraińców, od których otrzymaliśmy oficjalne, publiczne podziękowania. Kilka lat temu, również nie bez naszej akcji, Lista wzbogaciła się o Wilno.

A.G.: – *Czy działalność ochronna i promocyjna w dziedzinie światowego dziedzictwa UNESCO, to tylko zabytki architektoniczne i przyrodnicze?*

W.F.:– Trudno powiedzieć, że „tylko", gdyż wymienione przez Pana obszary są rozległe. Tymczasem UNESCO nie należy w gronie światowych organizacji do najzamożniejszych, a wiadomo, jak ogromne potrzeby kryją się za ratowaniem przed zniszczeniem zabytkowych miast, czy też szczególnie cennych obszarów przyrodniczych. Niemniej, chciałbym tu dodać, że wzorem Listy, o której mówiliśmy, tworzy się podobna – archiwów i bibliotek. Program „Pamięć świata" ma zwrócić uwagę opinii na unikalne w skali światowej archiwa i biblioteki, stworzyć kanon zabytków

piśmiennictwa w skali całego globu. Z nominacji Dyrektora Generalnego UNESCO zostałem członkiem międzynarodowego, naukowego komitetu doradczego w sprawie wpisów na listę „Pamięć Świata". Będę więc miał okazję zadbać o włączenie trzech polskich kolekcji wybranych przez polskich historyków, archiwistów i bibliotekarzy. Mam na myśli autograf dzieła Mikołaja Kopernika z Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego, pamiątki i autografy Fryderyka Chopina z Warszawy oraz archiwum getta warszawskiego[1].

A.G.: – *Jak Pan ocenia dzisiejszą kondycję Polskiego Komitetu ds. UNESCO?*

W.F.: – W ostatnich latach ilość wykonywanej pracy, zakres i waga podejmowanych zadań znacznie wzrosły przy stałej liczbie zatrudnionych. Tę opinię potwierdza nasza licząca się obecnie pozycja na tle całej organizacji UNESCO i jej narodowych komitetów. Pozycja osiągana zarówno poprzez nasze uczestnictwo w zgromadzeniach ogólnych, jak i w kontaktach bilateralnych z wybranymi krajami.

A.G.: – *Na koniec pytanie osobiste. Czy Pańskie doświadczenia z działalności podziemnej, z okresu kiedy kierował Pan wydawnictwami „Głos" i „Krąg" przydają się na tym kierowniczym stanowisku, czy może przeciwnie – przeszkadzają?*

W.F.: – Zdecydowanie pomagają. Tam też było zarządzanie zespołem ludzi (dużo większym zresztą), wchodziło w grę planowanie działań i ich efektów oraz „mierzenie sił na zamiary". W tej formule pracy Komitetu jest to sprawa zasadnicza. Do tego jeszcze doszło – to ważne, gdy pracuje się w administracji! – „tylko" (albo „aż") respektowanie pragmatyki i dyscypliny służbowej...

A.G.: – *...by nie wspomnieć o etosie służby publicznej. Dziękuję Panu za rozmowę.*

Rozmawiał Adam GAŁKOWSKI

1. Właśnie na posiedzeniu naukowego komitetu doradczego UNESCO w dniu 11 czerwca br. w Wiedniu, wspomniane wyżej polskie propozycje znalazły się na Liście „Pamięci Świata".

Kraj

Pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny

1.

Pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny była bezspornym sukcesem papieża i Kościoła. Tłumy zgromadzone na placach i wiwatujące na cześć dostojnego gościa dowodziły ponad wszelką wątpliwość, że Jan Paweł II pozostaje największym i być może jedynym autorytetem Polaków, bynajmniej nie tylko wśród wierzących. Hierarchia kościelna wykazała mistrzowskie umiejętności organizacyjne. Zadbano nie tylko o porządek, ale również o rozmieszczenie wiernych we właściwych układach i proporcjach, ze szczególnym udziałem młodzieży. Dużą rolę w jej mobilizacji odegrały – po raz pierwszy w takiej skali – stowarzyszenia świeckich. Nadmiar organizacji, zwłaszcza w sterowaniu śpiewami, okrzykami i wiwatami, mógł razić zwolenników spontaniczności, ale mimo to nic nie pozwalało wątpić, że uczucia zgromadzonych do papieża były autentyczne. Uczucia i oczekiwania. Zapewne, zresztą nie całkiem tożsame u zwykłego ludu i u dostojników, notabli i sponsorów z pierwszych rzędów „kolatorskich". Paweł Urkisz – redaktor naczelny miesięcznika *Nasz rynek kapitałowy* wyznał (w *Rzeczpospolitej* 11 czerwca), że wprawdzie „nie ma zbyt wiele czasu" ale oglądając relacje telewizyjne, zauważył iż „pod jednym względem jest inaczej niż wcześniej bywało":

„Uderza mnie nie tyle piękna, bo piękna była zawsze, ale staranna, wysmakowana oprawa kolejnych spotkań i przede wszystkim wygląd ich uczestników. Jest coś innego w tych

ludziach, którzy zbierają się by posłuchać Jana Pawła II – oprócz zwykłej radości i uniesienia, pewien szczególny spokój, dostojność, pewność siebie. A może to po prostu dostatek? Tak samo radośnie uśmiechnięci i szczęśliwi ludzie są tym razem bardziej eleganccy, umyci i pachnący, rozluźnieni..." Zofia Nałkowska zauważyła kiedyś o jednym ze swoich bohaterów: „puścił się na nim glanc od pieniędzy", ale nawet tak bystra obserwatorka nie poczułaby chyba perfum w telewizji...

Natomiast spostrzeżenia Józefa Szewczyka z *Trybuny* (14 czerwca) były odmienne: „Dziś bezgraniczna wiara w nowy system społeczny i gospodarczy jednym procentuje odsetkami bankowymi i dywidendami z akcji, innym wystawia słone rachunki na bezrobociu. Wymalowane jest to na twarzach ludzi witających papieża. Średnia polska z telewizji jest biedna, ale ona (? – KW) nadal wierzy, nadal szuka wsparcia duchowego. Może nawet bardziej niż dawniej".

Jak widać, nie tylko w życiu, ale nawet w telewizji można zobaczyć całkiem co innego patrząc na to samo... Obaj felietoniści wydali mi się dobrym przykładem wspomnianej różnicy oczekiwań.

Papież mówił o miłości i na tej nici nizał swoje homilie. Tym razem miecz Chrystusowy był schowany. Kościół nie wojował. Owszem, papież mówił o krzywdach i pokrzywdzonych, o męczennikach, biednych, chorych i bezrobotnych – ale nie wspominał krzywdzicieli. Raz pojawił się marksizm, bezosobowo, jako ideologia totalitarna, kilkakrotnie, zwłaszcza w Ełku i w Sosnowcu, mowa była o tym, że „rozwój i postęp gospodarczy nie może się dokonywać kosztem człowieka i za cenę uszczuplenia jego podstawowych wymagań", o marksizm nikt się już w Polsce nie upomni, za to liberałowie od razu się odezwali. Dominikanin Maciej Zięba, przedstawiciel tzw. katolickiego liberalizmu, pospieszył zapewnić w mediach publicznych, że słowa papieża nie są przecież „dyrektywą" polityczną czy gospodarczą. Kursu zatem nie trzeba zmieniać, trzeba jedynie „pamiętać" o biedzie i biednych, w imię przykazania miłości. Z ślad za Ziębą rozmaici pyskacze z prywatnych radiostacji usilnie rozbrajali i unieszkodliwiali te myśli papieża.

Było najpewniej nieuniknione, że w odczytaniu politycznym słowa o miłości chrześcijańskiej stawały się słowami o pojednaniu, choć samo słowo nie padło. Papież nie mówił oczywiście ani o dekomunizacji ani o lustracji, nie wdawał się w żadne wewnątrzpolskie wątki polityczne, ale dozwolone jest przypuszczenie, że owo polityczne odczytanie było jednym ze świadomie zamierzonych skutków. W słowach papieża była zawarta *implicité* dyrektywa – tak, tym razem dyrektywa – dla polskiego Kościoła, żeby nie wdawał się w żadne nienawistne kampanie wyborcze, za rok czy dwa. „Wyzwania stojące przed demokratycznym państwem – powiedział papież w Sejmie – domagają się solidarnej współpracy wszystkich ludzi dobrej woli, niezależnie od opcji politycznej czy światopoglądu..."

Politycy trzymani byli na dystans: poza spotkaniami protokolarnymi, z prezydentem i premierem, papież udzielał im tylko krótkiego posłuchania, pozwalał przyklęknąć i pocałować pierścień – celowali w tym marszałkowie Płażyński i Grześkowiak – oraz przedstawiać małżonki i dzieci. Lech Wałęsa dostał swoje 10 minut...

O ogromnym, bo nie tyle ludzkim, ile raczej instytucjonalnym dystansie pomiędzy papieżem a politykami, ustanowionym przez Jana Pawła, świadczył najdobitniej przebieg wizyty w parlamencie. Można było tylko podziwiać kunszt tego dokonania aż po rzucony na koniec, w odpowiedzi na oklaski, ironicznie żartobliwy cytat ze znakiem zapytania w głosie „Wiwat król, wiwat wszystkie stany...?" Jakoż papieżowi przygotowano spotkanie z parlamentem – i ze wszystkimi w ogóle władzami, bo i z rządem, i z sądownictwem – w sposób mówiący, że oto Rzeczpospolita wita swego suwerena. Tron papieski stał wysoko ponad salą, na prowizorycznym podium, które położono nad zdemontowaną trybuną prezydium izby.

Postulat niezależności państwa od Kościoła brzmiałby więc na tej sali śmiesznie, ponieważ świecka głowa parlamentu została po prostu ucięta. Papież przyjmował hołd, w swym przemówieniu udzielał pouczeń i ganił. „Pamięć o moralnych przesłaniach 'Solidarności' a także o naszych, jakże tragicznych doświadczeniach historycznych, winna dziś oddziaływać w większym stopniu na jakość polskiego życia zbiorowego, na styl uprawiania polityki czy jakiejkolwiek działalności publicznej, zwłaszcza takiej, która jest sprawowana na mocy

społecznego wyboru i zaufania". Cytował Piotra Skargę. Przypomniał też własną encyklikę „Veritatis splendor", gdzie była mowa o „groźbie sprzymierzenia się demokracji z relatywizmem etycznym". Kościół stoi zatem na straży moralności, demokracji, ale ponad polityką.

Papież nie chce być suwerenem Rzeczypospolitej. Jest ponad to. Jest namiestnikiem Prawdy. A wszystkie hołdy, które przyjmuje, przyjmuje dla Kościoła. Chyba nigdy jeszcze w toku żadnej z poprzednich pielgrzymek do ojczyzny, nie było to tak wyraźne. Może dlatego, że teraz pielgrzym był stary, zmęczony, zgięty wpół, bardzo ludzki, bardzo wzruszający. Wszyscy mieli wiedzieć bez słów: papieże przemijają, Kościół trwa. Kiedy jednak papież nie pojawił się na Błoniach w Krakowie, gdzie czekało na niego 1,5 miliona ludzi, i odczytano komunikat, że Ojciec Święty zachorował w nocy, a Mszę św. odprawiać będzie sekretarz stanu kard. Sodano a homilię papieską odczyta kard. Macharski, to z tłumu jakby powietrze uszło. W ulewnym deszczu, pod parasolami słuchali w milczeniu słów, które by padając z ust ich autora wywoływały okrzyki i oklaski. Święto zgasło.

Kościół to Kościół a papież to co innego – wyjaśnia mi sąsiadka, prawdziwa zelotka.

2.

Czy ten Kościół potrafi nie roztrwonić spadku po tym Papieżu? Wykorzystuję poniżej opracowanie Beaty Roguskiej.

Z badań CBOS wynika, że ocena działalności Kościoła przez ogół Polaków oscyluje od końca 1995 r. trochę poniżej 60% aprobaty i trochę powyżej 30% dezaprobaty (W 1989 r. było prawie 90% aprobaty i poniżej 10% dezaprobaty). Spadek został więc zatrzymany.

Według tego samego źródła wpływ Kościoła na to, co się dzieje w kraju był oceniany, w procentach odpowiedzi, jako

	bardzo duży	duży	ani duży ani mały	mały	bardzo mały	bez zdania
maj 1988	9	31	23	9	5	24*
luty 1999	23	45	24	5	1	2

* tu i dalej przekroczenie sumy w wierszach o 1 wynika z zaokrągleń.

Natomiast na pytanie, czy powinno się zapewnić Kościołowi większy niż dotychczas czy mniejszy wpływ na życie w kraju odpowiadano, w procentach:

	zdecydowanie większy	raczej większy	taki sam jak teraz	raczej mniejszy	zdecydowanie mniejszy	bez zdania
maj 1988	9	21	37	9	5	20
luty 1999	1	4	31	35	26	4

Kościół jest więc potęgą na polskiej ziemi, ale zdaniem Polaków – zbyt wielką.

Poglądy na temat wpływu Kościoła na życie kraju są mocno skorelowane z wiarą i jeszcze bardziej z więzią z parafią, aczkolwiek nawet wśród najbardziej religijnych i najgorliwszych parafian tych, którzy chcieliby zwiększenia jeszcze wpływu Kościoła jest niewielu (10 i 14%) natomiast 33% i odpowiednio 43% w tych grupach opowiada się za zmniejszeniem wpływu Kościoła.

Innym parametrem, który różnicuje cytowane odpowiedzi, jest nastawienie polityczne (potencjalne elektoraty). Na pytanie, czy powinno się zapewnić Kościołowi wpływ na życie kraju większy czy mniejszy niż dotychczas, odpowiedzi w potencjalnych elektoratach partii rozkładały się w lutym br. w %%:

	większy	taki sam	raczej mniejszy	zdecydowanie mniejszy	bez zdania
AWS	10	54	25	9	3
UW	8	38	28	26	1
PSL	6	21	35	36	2
SLD	3	12	42	44	0

Jak widać, jedynie AWS postuluje raczej utrzymanie *status quo*, wszystkie inne elektoraty są wyraźnie za redukcją wpływów Kościoła. Ale co to właściwie znaczy?

Okazuje się, że wśród tych, którzy postulują wzrost wpływów Kościoła, jedynie 25% umie wymienić dziedziny, o które by im chodziło, i wówczas wskazują: pomoc i opiekę społeczną, dobroczynność; wychowanie dzieci i młodzieży; (ale nie szkolnictwo); moralność, obyczajowość, wychowanie społeczeństwa. Ci, którzy są zdania, że wpływ Kościoła po-

winien ulec ograniczeniu, wskazują natomiast zdecydowanie (w 88%) na sferę polityki i dopiero na dalekim drugim miejscu (10%) na oświatę.

Interesujące wydaje się, że opinie księży, badanych w styczniu 1998 przez Instytut Spraw Publicznych, o roli i miejscu Kościoła w społeczeństwie, odbiegają w paru punktach bardzo znacznie od opinii publicznej z badania CBOS (luty 1999).

Wprawdzie obie grupy zgodnie widzą wyraźny wzrost obecności Kościoła w życiu publicznym po roku 1989, ale diametralnie różnie oceniają wpływ Kościoła na politykę państwa: aż 75% respondentów CBOS uważa, że wpływ ten się zwiększył wobec zaledwie 22% księży. Zapewne księża stosują się do formalistycznej i oficjalnej w Kościele definicji tego wpływu, z której tzw. oddziaływania nieformalne są wyłączone.

Druga dziedzina rozbieżności to wpływ Kościoła na kształtowanie opinii społeczeństwa: 48% ogółu respondentów wobec 13% księży uważa, że wpływ ten wzrósł i, odwrotnie, 19% sądzi, że zmalał wobec aż 48% księży.

Odmiennie szacowana jest sytuacja materialna Kościoła po 1989 r.: zdaniem 68% ogółu poprawiła się wobec tylko 16% księży, którzy za to w 36% boleją nad jej pogorszeniem.

Najbardziej różnią się oceny zasobności księży: wzrosła ona zdaniem 66% respondentów i tylko 8% księży, których 38% skarży się na zubożenie swej profesji. Subiektywne doznanie zubożenia jest zapewne szczere choć błędne.

3.

Tak oto doszliśmy niespodziewanie do mego konika: rosnącego rozwarstwienia społecznego.

Ekipa Leszka Balcerowicza wspierana lobbingiem tak biznesowych organizacji jak Business Centre Club, Krajowa Izba Gospodarcza i rozmaite mafie konsultingowe przepycha z mozołem swój projekt reformy podatkowej, o czym obszernie pisałem w poprzedniej *Kulturze*. Projekt ciągle jeszcze (16 czerwca) nie może się przedostać przez rząd, gdyż jest zawracany do ekspertów w celu „dopracowania szczegółów". W istocie chodzi o zasadniczą decyzję polityczną, której AWS-owska część rządu podjąć nie umie lub się boi.

Wprawdzie już przed kilku tygodniami trójka kierownicza koalicji – Balcerowicz, Buzek, Krzaklewski – podjęła taką decyzję, ale od tego czasu premier na posiedzeniach rządu zachowuje się ponoć według zasady „ani mee, ani bee, ani kukuryku", a Krzaklewski, który wie, co go czeka w Sejmie, w klubie AWS, w ogóle się nie odzywa. Opozycji rządowej przewodzi Jerzy Kropiwnicki z Centrum Studiów Strategicznych, którego Unia Wolności chce bezskutecznie wyhuśtać z gabinetu przy okazji reorganizacji, sejmowej zaś Henryk Goryszewski – przewodniczący komisji finansów publicznych. Obaj są z ZChN. Na spotkaniu z doradcami podatkowymi Goryszewski nie pozostawił na projekcie reformy podatkowej suchej nitki. Polską polityką gospodarczą – powiedział w podsumowaniu – kierują teoretycy od finansów. Tacy, którzy nie odróżniają fabryki od kościoła, bo ani tu, ani tu nigdy nie byli. Sam Goryszewski, praktykujący katolik, jest inżynierem z zawodu...

Unici tymczasem szaleją. Sekretarz generalny UW Mirosław Czech oświadczył, że umowa w sprawie podatków miała bardzo wysoką rangę równą prawie umowie koalicyjnej. „Oczekujemy, że zostanie zrealizowana. Gdyby stało się inaczej, oznaczałoby to w praktyce, że koalicjanci wypowiadają umowę, a panowie Buzek i Krzaklewski nie mają zaplecza politycznego".

Ministerstwo Finansów ogłosiło tymczasem projekt budżetu na rok 2000, przesłany Komitetowi Ekonomicznemu Rady Ministrów. Jak mówią urzędnicy Ministerstwa jest to „budżet napięty jak zwykle" , natomiast przeciwnicy twierdzą, że będzie on po prostu nie do wykonania, zwłaszcza że budżet tegoroczny jest już naruszony: dochody okażą się niższe o ok. 2 mld zł, wg Ministerstwa Finansów, a dopłaty do Funduszu Ubezpieczeń Społecznych wynikające z reformy wyższe o przynajmniej 1/2 mld zł, wedle tego samego źródła. Niewykonanie dochodów w br. będzie głównie skutkiem niższej inflacji (6,8% wobec 8,5% planowanej), co jest związane ze spadkiem koniunktury. Wzrost PKB w 1999 nie przekroczy 4% (zakładano 5,2%)

Na rok 2000 Ministerstwo przewiduje inflację 5,7% i wzrost PKB o 5,6%.

Dochody podatkowe budżetu wzrosłyby o 8,5% tj. ok. 2% realnie, przy czym w związku z planowaną reformą

podatkową, która w r. 2000 zacznie się od obniżki podatku od dochodów osób prawnych (CIT) z 34 do 28%, zmienia się ich struktura. Podatki pośrednie rosną: VAT – o 13,9% akcyza o 11,9%, podatki dochodowe od osób fizycznych (PIT) o 9,3%, a CIT maleje o 7,1%.

Według tych samych założeń realny wzrost wynagrodzeń w sektorze przedsiębiorstw miałby się ograniczyć do 2,7% (wobec oczekiwanych 4,4% w br.), a w sferze budżetowej do 1% czyli, inaczej mówiąc, do wielkości niezauważalnej. Mocno po skórze oberwą emeryci i renciści. Ministerstwo oferuje im w 2000 r. 0,3% realnej podwyżki (tzn. ponad prognozowany średnioroczny wzrost cen towarów i usług konsumpcyjnych) z jednorazową rewaloryzacją w czerwcu. Zważywszy jednak, że emerytury i renty mundurowe i aparatu sprawiedliwości pochłoną realnie o 6% więcej, „cywile" dostaną oczywiście mniej, nawet w rachunku oficjalnym. Pocieszyć ich ma rozpoczęcie wreszcie wypłat opóźnionej o kilka lat rekompensaty przysądzonej przez Trybunał wzamian za rabunek z okresu hiperinflacji.

Dla poziomu życia ludności miarodajne będą zwłaszcza dalsze dzieje reformowanych służb socjalnych. Reforma emerytalna pochłania rosnące dopłaty z budżetu. Jest to tzw. dotacja do Funduszu Ubezpieczeń Społecznych rekompensująca ubytek składek w ZUS: 4 mld w 1999 do 7 mld zł w 2000. Wiąże się to z powstaniem tzw. drugiego filaru ubezpieczeniowego. Dopłaty do FUS rekompensują to co teraz zamiast ZUS otrzymują w formie składek prywatne fundusze emerytalne i co powróci do kieszeni ubezpieczonych za kilkadziesiąt lat. Tymczasem budżet zasila formację kapitału.

Do reformy służby zdrowia natomiast dopłat już się nie przewiduje. Min. Cegielska zaleca „racjonalizację" (tj. zwłaszcza redukcję sieci placówek).

„Co można teraz zrobić, by przybyło pieniędzy, skoro nie wchodzi w grę podniesienie składki?" – pyta dziennikarka *Gazety Wyborczej* (15 czerwca).

„Jedną z możliwych dróg jest racjonalizacja wydatków i lepsza organizacja zakładu (tj. Zakładu Opieki Zdrowotnej), co najskuteczniej dałoby się osiągnąć przez prywatyzację. Drugą – współpłacenie przez pacjentów (...) Według mnie współpłacenie będzie konieczne, ale musimy uzyskać zgodę społeczną". Tyle pani minister Cegielska. Ale o tę zgodę będzie trudno.

Jądrem polityki gospodarczej Leszka Balcerowicza jest redukowanie wydatków publicznych, co chętnie nazywa on chwytliwie: redukcją fiskalizmu. Wydatki publiczne (budżety państwa, samorządów i dotacje specjalne) stanowić mają 41% w 2000, 39,9 w 2001, 38,8 w 2002.

– Nie jest to oszałamiający spadek – powiada redaktor naczelny *Rzeczypospolitej* Piotr Aleksandrowicz i na kanwie projektu budżetu 2000 r. komentuje:

„Wszystko musi rosnąć, dochody, podatki, a zwłaszcza wydatki. Balcerowicz doskonale wie, że ograniczanie wydatków może być cnotą, ale nie wierzy już, że byłoby ono możliwe (...) W sumie projekt założeń budżetu na 2000 rok stwarza wrażenie, że po porażkach z dokumentami dotyczącymi systemu podatkowego autorzy ostatecznie poddali się i uznali, że najlepiej wszystko zostawić po staremu. Od ministra finansów, zwłaszcza takiego, który śmiało głosi poglądy o nadmiernej redystrybucji, zbyt wysokim opodatkowaniu, marnotrawstwie środków, należy oczekiwać więcej..." (*Rzeczpospolita*, 12-13 czerwca)

Pozostaje mieć nadzieję, że wyznawcy małego budżetu nie porzucą jednak swego wicepremiera. Robi przecież, co może. Nie zawsze udaje się tak, jak w bajce:

„...temu dała, temu dała,
a temu,
najmniejszemu,
nic nie dała,
tylko łebek urwała
i frrrr, frrr, poleciała"

Najmniejsi też głosują, a wybory na horyzoncie i papież nie będzie ratował.

Warszawa, 16 czerwca

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Papież w Polsce. Nie ma we mnie entuzjazmu, nie ma też lekceważenia. Skala entuzjazmu ludzkich tłumów nie pozwala na lekceważenie. Ale mam chwilami wrażenie, jakby wielki lekarz, sam chory i osłabiony, przyjechał do chorego kraju, który chodzi, nawet biega, nic mu specjalnie nie dolega, a jednak jego organizm cierpi na uporczywą infekcję moralną. Kiedy tłumy nieustannie skandują „zostań z nami", słyszę w tym wołaniu ukryte poczucie bezradności wobec własnych ułomności, lęk, że jak On wyjedzie, znowu zostaniemy sami, z naszą drapieżną walką o byt, z modlitwą do pieniędzy, z różańcem przekleństw. Jednym okiem widzę rozkochane w Papieżu, uwznioślone tłumy, a drugim chamstwo i prywatę, gdy ten sam tłum rozsypuje się na codzienną ulicę. Te dwie strony jednej polskiej twarzy są tak odmienne, że to boli. Papież grzmi przeciw konsumpcyjnemu modelowi życia, a transmisje z papieskich mszy odbywają się w błękitnych ramach reklamy „Zurych – Solidarni, Otwarty Fundusz Emerytalny". Ten fundusz sponsoruje transmisje i zdaje się, że je błogosławi, czasami zamiast Funduszu pojawiają się reklamy proszku do prania.

Jestem w Sandomierzu. Coś niepokoi mnie w tym ładnym mieście, znam je, ale dzisiaj to, co widzę, jakby nie przystaje do mojej pamięci i do okolicznej Polski, jest za starannie, wszystko lśni czystością, co jest do licha.... oglądam się wokół z niepokojem. Dopiero wyjeżdżając z Sandomierza widzę nowe gigantyczne parkingi i już wiem, że będzie tu gościł Papież. Widziałem potem zdjęcia kamieniczek z Ełku, gdzie pomalowano tylko fasady, zostawiając gnijące tyły. Niedaleko mej ulicy, na ulicy Szucha, mieszkał Papież. Położono tam nowy asfalt, by Papieżowi gładko się jechało, a przecież ten asfalt był całkiem, całkiem, znam warszawskie ulice, gdzie samochód niemal mieści się w dziurach. Odremontowano domy w sąsiedztwie miejsca jego noclegu. Teraz ten fragment ulicy jest jakby wycięty z Niemiec i wstawiony do Polski.

Czyli niechluj nagle się umył, wypachnił, ubrał starannie, jakby nie mógł tego czynić codziennie. I jakby nie można było tak umyć całej Polski, a potem myć ją i remontować co jakiś czas, jak to się robi we wszystkich krajach cywilizowanych. Koszty, to przede wszystkim ludzkie dobre chęci i poczucie estetyki. Gdyby tak Papież przez cały rok mógł jeździć po Polsce, nasz kraj może nareszcie stałby się czysty. A tak dla Papieża wznosi się patiomkinowskie wioski, i przy całej miłości dla Ojca Świętego, ludzi to drażni. Nie tylko miasta i osady, też wierni, odwróceni są do ołtarza wymytym frontem, a plecy, co z naszymi plecami? Po mszy wszyscy muszą się przecież odwrócić. Aż przez cztery dni w Warszawie jest zakaz sprzedaży alkoholu. Jakiś wielki niepokój uniósł się w powietrzu, mieszkańcy robią zapasy na tygodnie. Pierwszego dnia prohibicji widzę tych co się zagapili jak z obłędem w oczach myszkują po sklepach, gdy w zasięgu ręki piętrzą się góry wódki, wina i piwa, ale nie można nic kupić. Kilka razy słyszałem pełne wściekłości głosy, „rządzili czerwoni a teraz rządzą czarni". W sklepie obok, miłe ekspedientki z minami profesorów politologii, tłumaczą zrozpaczonym: „jeszcze nie dorośliśmy do demokracji, jak dorośniemy, to nie będzie takich ograniczeń". Przy okazji widać, że Polska jest uzależniona od alkoholu jak niemowlę od cycka z mlekiem. A ten zakaz jest jednak świadectwem naszej niedojrzałości i braku zaufania. Brak zaufania, to jeden z ważniejszych duchów polskiego nowego czasu. Właściciel pobliskiego sklepu jednak mi ufa i szepce: może piwko, panie szanowny. Oto Polska właśnie.

Cenię, ale ze sceptycznym umiarem, kolejną, zapewne ostatnią wizytę Papieża w ojczyźnie. Entuzjazm tłumów, to nie tylko polska religijność, jakie ma ona mielizny i komplikacje wszyscy mniej lub bardziej wiemy. Polacy nie posiadają oprócz Papieża nikogo o formacie światowym, żadnej supergwiazdy, w sporcie, w piosence, w kinie, czy w literaturze. Papież jest więc też pretekstem do narodowej dumy. On jest z nas, a siedzi na złotym tronie w Watykanie i trzyma za rękę Pana Boga. Chociaż sam już ledwie się trzyma na nogach, każdego przytuli, a nam tak brakuje na co dzień czułości. W kraju gdzie jest tylu złych ojców, pojawił się oto ojciec dobry. Tu gdzie bywa tak brutalnie, On mówi o miłości. Zdaje się

nawet, o zgrozo, że dzisiaj Polacy czują się bardziej opuszczeni, osieroceni, niż w czasie komunizmu, gdy mogli się wesprzeć na braku wolności. Ważne słowa Papieża wypowiedziane na wybrzeżu: „Słyszałem od Was w Gdańsku: nie ma wolności bez 'Solidarności'. Dzisiaj wypada powiedzieć: 'nie ma solidarności bez miłości'". Tak, kultywowanie nienawiści w dawnej „Solidarności" jest jej chorobą. Ale gdyby jednak nasi politycy posłuchali Papieża, na czym budowaliby swoją ułomną tożsamość? Poruszony Marian Krzaklewski oświadcza: „Po tej wizycie Ojca Świętego nie będziemy już mówić 'przeciwnicy polityczni' ale 'konkurenci polityczni'". Marian Krzaklewski być może nie jest złym człowiekiem, w głowie ma jednak namieszane, mało rozumie, no i ten narcyzm. Tu nie chodzi o grę słów, aby oceniać postępowanie innych ludzi, nawet tych o paskudnej biografii, trzeźwo i bez nienawiści. Tyle tej nienawiści jest po tak zwanej prawej stronie naszej sceny politycznej. Po lewej widzę raczej zgryźliwy cynizm. Najwięcej nienawiści jest w katolickim Radiu Maryja, a też w naszej faszyzującej prasie, która tak lubi powoływać się na krzyż i chrześcijańskie wartości. Ale ostatnio nawet prymas Glemp mówił o zaniechaniu w polityce wzajemnej wrogości. Czy nie za wiele wymaga się od naszego politycznego bęcwalstwa? Głupota to jednak rzecz uniwersalna. Rabin Polski Manechem Joskowicz odgrywa w parlamencie scenę, która była słodkim snem każdego polskiego antysemity. Okrutnie żydłacząc mówi do Ojca Świętego: „Mam prośbę do Pana Papieża, aby ten ostatni krzyż ... również go z tego obozu zdjąć". Strażnika krzyży, czyli Świtonia niedawno szczęśliwie zapudłowano, detonując uprzednio ładunki dynamitu, które zgromadził, przy okazji wysiedlono kilkaset krzyży, zostawiając jedynie tak zwany papieski. Rabin Joskowicz to zupełnie wyjątkowy osioł, rozmawiałem z nim przed laty tylko przez chwilę, a potem długo nie mogłem się domyć z jego głupoty. Świtonia i Joskowicza powinno się zamknąć w jednej celi, choćby na jedną dobę, chociaż nie wiem czy to nie jest zbyt okrutna kara (rabin w tych dniach przestaje być naczelnym rabinem, a polskie gminy żydowskie odcinają się od tego grubego nietaktu, a świtoniopodobni nam się mnożą i mnożyć będą).

Papież nie imponuje głębią swoich refleksji, jest mądry

ale nic z tego co mówi nie ubogaca mnie, lecz rozumiem, że on celuje w proste serca milionów wiernych, gdy ja jestem niewierny i wierzę, że serce to tylko pompa ssąco-tłocząca. A jednak chwilami Papież mnie też ujmuje dobrocią i poczuciem humoru, chociaż znam wielu ludzi, którzy są o wiele bardziej dowcipni, ale oni nie są Papieżem. Mam jednak kilka grzesznych myśli. Czy nie za wiele w Jego kazaniach jest polskiego narodu, polski katolicyzm wydaje się być chory na narodowe odchylenie, co odciąga go od tego co jest istotą chrześcijaństwa, winno ono patrzeć w oczy człowieka a nie w zbiorowe oko narodu. I Papież powinien od kogoś się dowiedzieć, jak tak wiele pod znakiem krzyża kwitnie u nas myślenia, które pachnie faszyzmem, a tolerancja przestaje być polską cnotą. Widzę też pod papieskim tronem tyle rażących anachronizmów, choćby to znoszenie Papieżowi darów, czasami monstrualnych bohomazów, korzeń tego zwyczaju sięga darów trzech króli, ale bliższy jest czasom, gdy ojcowie święci bywali małostkowi i bawili się perłami i złotem jak dzieci klockami, a te masowe beatyfikacje, i relikwiarze z głową biskupa, ze szczątkami św. Jadwigi, coś okropnego, to jest upupianie ludzkiego rozumu. Ale co mi do tego niewierzącemu, ja tego nie rozumiem a miliony po prostu wierzą. Pozazdrościć im. Papież spotkał się intymnie z prezydentem Kwaśniewskim, potem prezydent i jego żona Papieża żegnali, jak starzy znajomi, a Ojciec Święty Papież, w finale już na lotnisku, zaprasza prezydenta i jego żonę do papamobile i jadą pod samolot razem. Taka nobilitacja, to jest straszliwy ból zębów dla demonizujących Kwaśniewskiego. Papież miał też wystąpienie w naszym parlamencie. Czy nie jest to oby przesłanie, że polski parlament powinien być katolicki? A potem mogliśmy sobie oglądać w telewizji, który z posłów i polityków Papieża całuje w rękę i kto jak to czyni, kto klęka, a kto nie? Posłowie SLD heroicznie nie klękli i nie całowali, a cała grupa osłów narodowo-katolickich rzucała się na dłoń Papieża tak żarłocznie, że doprawdy bałem się że mu ją pogryzą. Poseł Jan Łopuszański, śmiertelny wróg europejskiej unii, którą papież przecież poparł, tak gwałtownie rzucił się przed Ojcem Świętym na oba kolana, że tylko dlatego, że był pijany wiarą nie zrobił sobie krzywdy. Osobiście to już wolę oglądać i klasyfikować gatunki poselskich uklęknięć i poca-

łunków, niż słuchać ich ględzenia z sejmowej trybuny. Wszystko to działo się pod czujnym okiem świętobliwej marszałek Senatu Alicji Grześkowiak, której oczy zachodziły mroczną mgłą nienawiści, gdy do Papieża zbliżał się jakiś postkomunista. Z okazji pielgrzymki na ulice wypłynęło wiele czołobitnej głupoty wobec Papieża, jakby tworzono nowy kult jednostki, bardzo miłej co prawda jednostki. „Jesteś Mojżeszem naszych czasów" – mówi skromny napis na jednym z warszawskich pałaców. Wiele jest haseł roszczeniowych, pobłogosław, módl się itp. A nie mógłby tak milion alkoholików zadeklarować, że nie będą pić i maltretować swoich dzieci i żon, a cały naród mógłby się zobowiązać, że umyje i wymaluje swoje klatki schodowe, jak przedsionki duszy naszych domów. Przy okazji najmądrzejsi Polacy głoszą publicznie głupstwo, że bez Papieża nie byłoby naszej wolności. Stojąc na gruncie faktów, a nie naiwności, widać po czasie zupełnie wyraźnie, że nie byłoby naszej wolności bez rozpadu ZSSR, a Sowiety jednak rozpadły się bez udziału Ojca Świętego. Pytanie zasadnicze, którego nie potrafię nie powtórzyć, to pytanie o naszą moralną kondycję? Dziesiątki milionów przejętych, uduchowionych ludzi na mszach, i te same tłumy, z ponurymi zaciekłymi twarzami na co dzień, na naszych ulicach. Jak to pogodzić ze sobą? Kiedy pytam kilku zaprzyjaźnionych ze mną młodych ludzi, prosto z mostu, co myślą o Polsce, mówią, że chcą tu żyć, ale przeraża ich codzienne chamstwo, drapieżność, ponurość ludzkich twarzy. W finale pielgrzymki Ojca Świętego, po tylu wzruszeniach doprawdy trudno spojrzeć prawdzie w oczy, ona zamyka oczy i drzemie w błogostanie. Jeśli jednak podniesie się wbrew jej woli powieki, czy nie widać, że ta pielgrzymka to dalszy ciąg usypiania refleksji w polskim kościele. Refleksja zresztą usypia nie tylko w kościele, polskie media po brzegi są wypełnione serdecznym żarem miłości do Papieża, a refleksji nic, ani skrawka. Nasz naród jest więc przekonany, że Kościół na świecie jest w znakomitej sytuacji, a nasza polska religijność jest doskonała. A przecież nie jest prawdą, o czym z takim przekonaniem mówi Ojciec Święty, że nie ma sporu między nauką i wiarą. Laicyzacja podmywa też brzegi naszego Kościoła, ale czyni to podstępnie, wszystko jest ukryte pod koronkami, ozdobami, ornamentami. I czy nie jest jednak

szkodliwe dla naszej duszy, która już nie tkwi w okowach niewoli, a co czynił jednak Papież, karmienie naszej mesjanistyczno-romantycznej wiary i stereotypu Polaka-Katolika? Dla Polski pielgrzymka Papieża jest jednak spotkaniem z tym, co (może nie jest, a bywa w nas) najlepsze, a to nie znaczy, najmądrzejsze. Dla Papieża, to było chwilami bardzo osobiste spotkanie z czasem, jeziora w których pływał, miasteczka gdzie bywał, domy gdzie mieszkał, ta prywatna ścieżka spotkania z czasem, w swojej fizyce i metafizyce, wydała mi się bardzo bliska.

●

Sypnął mi się kręgosłup. Od tylu lat obcuję z tą samą wierną grupą czytelników, byłbym nielojalny, gdybym się nie poskarżył. Moja tenisowa mania okazała się szkodliwa zdrowotnie, serwując uszkodziłem sobie zaczep mięśnia w barku i kręgi szyjne. Ciekawe, że problemy z kręgosłupem stają się najbardziej powszechną chorobą naszych czasów, co ma wymiar symboliczny. Nie zmieniliśmy kręgosłupa, a zmieniliśmy sposób życia, dźwigamy coraz więcej używając pozycji siedzącej. Czy nie jest przetrącony kręgosłup naszej cywilizacji. Tak więc zgarbiło mnie i wygięło na czas jakiś, doprawdy w posturze począłem przypominać naszego Papieża, ale to kiepska pociecha. Taka przypadłość postarza człowieka o kilkanaście lat, ujawnia bolesne, zardzewiałe śruby naszej maszynerii. Zawsze wstrząsające wrażenie robiło na mnie starzenie się moich kolejnych samochodów, żywo reagowałem na ich choroby, widząc siebie w ich brutalnej zmianie i w niemych cierpieniach. Kiedy więc lekarz powiedział mi, że nieco zardzewiałem, potraktowałem to naturalnie. Mój przyjaciel, partner tenisowy i wybitny malarz, rozpacza nie mniej ode mnie, znajduje jednak w sobie miejsce na współczucie. Mówi jednak mimochodem słowa, które głęboko kaleczą moje serce. „Będę musiał znaleźć sobie młodszego partnera". Poczułem się jak kobieta zostawiana dla młodszej. Cenne, ale bolesne doświadczenie.

W strasznym stanie przygarbienia i bólu powlokłem się na zjazd SPP, jako delegat. Dwa numery *Kultury* nazad opisałem nieco ironicznie zebranie oddziału warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Nie spodziewałem się, że moje sprawozdanie sprawi komuś taki żywy, zatrważający ból. Kiedy wchodzę na ludną salę, wpada na mnie poeta P. Dopiero teraz jako żywo widzę jak trafne jest określenie, że ktoś „trzęsie się ze złości" (teraz trzęsie się kiedy te słowa czyta, a to wierny czytelnik *Kultury* więc czyta). Ja tak go serdecznie lubię, wspólnie przez lata pracowaliśmy w drugim obiegu. Grozi, że da mi w zęby, używam literackiego słownika, on użył wulgaryzmu zatrważając siedzące w pobliżu starsze pokolenie literatów. Jeśli weźmie się pod uwagę posturę P., a jak w tej sytuacji jej nie brać, była to najbardziej wzruszająca propozycja jaką kiedykolwiek otrzymałem, powiedzmy, w sferze mordobitnej. „Wal, błagam" – szepnąłem, różowiąc się ze wzruszenia. Wstrzymałem przy okazji oddech, przecież mógłbym zabić bidaka dmuchnięciem. A ja go przecież kocham. Przy okazji miałem przywilej by w tej sytuacji poczuć się przez chwilę Tysonem. Złudne, ale wspaniałe uczucie mocy, nawet z przetrąconym kręgosłupem. Trwają obrady zjazdu, a za oknami na Starówce trwa festyn, który mniej lub bardziej zagłusza mniej lub bardziej sensowne wystąpienia mniej lub bardziej pisarzy. Wszyscy literaci dąsają się na ten festyn ale przecież to wolność i lud buzuje za oknami. Jest nieuchronna porcja wzdęć godnościowych, my, literaci, sumienie narodu, nikt nas już nie kocha, nikt nas się nie boi, nikt nam nie płaci. Poetka Ptak zaproponowała, aby pisarze przybyli do stolicy z całej Polski w postaci żebraków i tak rozmiękczyli serce rządu i narodu. Świetne wystąpienie Tomasza Burka, z którym się politycznie ostatnio często nie zgadzam, równie często mu się dziwię, ale tu każde słowo było celne, trafne i trzeźwe. Kpina z propozycji, by wysłać petycje. Cała niemal moralność dawnych czasów, bunty pisarskie po roku 56 były oparte na petycjach i ten archaiczny nawyk został. Dzisiaj doprawdy to jest humorystyczne, że my pisarze solidaryzujący się z NATO, z Kosowianami, z prawdą, domagamy się sprawiedliwości, pieniędzy i czułości dla kultury. To fakt, że nowa nasza władza kulturę olewa, ale na warszawskich ulicach głodują pielęgniarki, które domagają się podwyżek, i co chwila którąś odwożą do szpitala. Spokojnie więc z publicznymi awanturami. Najpierw popatrzmy gdzie są te nasze książki, które mogłyby wstrząsnąć choćby naszym

małym prowincjonalnym światem. Tymczasem na zjazdową trybunę wbiega wzburzona moja przyjaciółka S. To z nią od początków stanu wojennego redagowałem podziemne pismo literackie. Pokazuje na mnie palcem, wypowiada mi przyjaźń i potępia, że napisałem w *Kulturze* ...„niekoleżeńskie, oburzające". Całe szczęście, że miałem przetrącony kark, a na tym karku ledwie żywą głowę, inaczej bym pewnie za mocno przyłożył. Powlokłem się na mównicę, ale w replice byłem delikatny. Stojąc zaś na tej mównicy, ujrzałem nagle dawne ale żywe duchy tej sali, ducha komunistki Jasi Broniewskiej, który to duch najwidoczniej okrutnie właśnie nawiedził S. i ducha Ważyka z lat 50-tych, który nawiedził P. Widziałem też jak zlatują się do mej głowy duchy samokrytyki, o ta sala widziała wiele samokrytyk, po jakże podobnych płomiennych upupianiach z trybuny niegrzecznych pisarzy. Ale mi ani w głowie samokrytyka, raczej myślę, oto mam temat dla *Kultury*. Patrzę więc z góry na salę osiwiałą i jakby unieważnioną przez czas i historię, zanurzoną w innym czasie, w czasie wolności, ale jakby nie do końca tego nowego czasu świadomą. Patrząc na pisarzy, poczułem, że wielu znam i lubię, ujrzałem zatrważająco liczną grupkę niedawno zmarłych. I poczułem, że gdyby teraz nagle martwi i żywi poczęli ciskać przekleństwami we mnie – niegrzecznego chłopca, który zrobił kupę na środku literackiego dywanu SSP, to do diabła, nie drgnęłaby mi nawet powieka. I wyszedłbym z tej sali tak samo samotny, jak samotny do niej wszedłem, i jak wyjdę w swój czas. Tu też jest odmienność sytuacji środowiska, które jest już tylko wiceśrodowiskiem. W czasach dawnych byliśmy w kleszczach ubecji, potem opinii zbuntowanych, mówiono nawet o terrorze liberałów. W stanie wojennym, o wielu kolegach mawialiśmy wydymając pogardliwie wargi, „kolaborant". To słowo ważyło, mogło skaleczyć, nawet zabić. Teraz dopiero widzę, jak to moralne oburzenie przeplatało się z miłością własną i jak ją karmiło. I pomyśleć, że dzisiaj wielu z taką samą pogardą mówi o prezydencie Kwaśniewskim, o ludziach z SLD, nawet tych bardziej sensownych. Rozumiem, że można być niechętnym i pamiętać przeszłość, nie rozumiem, jak można używać emocji z innej epoki. Teraz nie ma ubecji, nie ma środowiska, jest wolność. A to brutalne grzmienie megafonów za oknami to też jest wolność, oto

bawi się lud warszawski, który ma gdzieś literaturę. Wolność boli, bywa samotnością, ale też luksusem. Stojąc na trybunie, chociaż pokrzywiony wiedziałem, że w każdej chwili mogę z tej sali wyjść, wstąpić do pobliskiego pubu, wypić samotnie lub z kimś piwo, wsiąść do taksówki, pojechać na Okęcie, kupić tam bilet i pofrunąć do Paryża, by redaktorowi *Kultury* osobiście opowiedzieć jak SPP zmienia się w Klub Pickwicka. Brakuje nam tylko Dickensa, o tak, zawsze nam brakowało okrutnego realisty-ironisty, jeden Gombrowicz to mało. Nadal wielu pisarzy ma usta pełne fraz, które kiedyś grzmiały, a dzisiaj są piskiem myszy. Sumienie narodu mieszka dzisiaj gdzie indziej, zapewne w kieszeni, a ta kieszeń często jest na pośladku, lub w portfelu, który bywa ulokowany niepokojąco blisko serca. Trzeba to genialnie opisać, a nie patetycznie na to narzekać.

Ujawnił się na zjeździe, co było łatwe do przewidzenia, problem prezesa. Było oczywiste, że żaden pisarz pełną gębą, a tych gąb coraz mniej i coraz są chudsze, nie będzie chciał być prezesem. Problem, że nawet pisarze bez gęby też już nie chcą. Ale się porobiło! Ugadano wcześniej Janusza Odrowąża Pieniążka, zasłużonego kronikarza i dyrektora Muzeum Literatury. Lubię go i cenię, ale doprawdy nie znam jego literackiego dorobku. Dowcipny i bezczelny P. zgłosił wtedy moją kandydaturę na prezesa, co po niedawnych aferach i moim oświadczeniu, że stowarzyszanie uważam za niepotrzebne, było propozycją przekorną. Kto wie, gdyby nie ból karku, może zgodziłbym się? Rzeczywistość ostatnio jakby zastygła, należy ją rozognić. Gdybym został prezesem, byłby to surrealistyczny dowcip, a znając własną skłonność w angażowanie się w sprawy trudne i beznadziejne, kto wie czy nie dałbym Stowarzyszeniu zastrzyku wzmacniającego w zwiędły pośladek. Nazajutrz, gdy mnie już nie było, miała miejsce dramatyczna łapanka na członków zarządu. Czy znam choćby jedno nazwisko? Doprawdy nie wiem. Stowarzyszenie nie jest mi potrzebne, ale rozumiem że komuś może być potrzebne, więc jestem gotów płacić nań składki. Na pewno jednak SPP nie jest już miejscem spotkania, wymiany myśli, nie jest też i nie będzie środkiem nacisku na władzę, by bardziej dbała o kulturę. Autorytet pisarzy można budować już tylko poprzez dzieła. SPP jest jak tonący statek, na którym jestem gotowy

płynąć do końca, błagam jednak: nie każcie mi pracować społecznie przy wiosłach, pracowałem społecznie bodaj przez 15 lat. Nie ma też co robić heroicznej miny na tym tonącym statku, przecież i tak wiadomo, że nikt się nie utopi. Trochę kpię, ale nie zapominam, że w końcu od dziecka świadkowałem, jak to właśnie pisarze po roku 56 byli wysepką buntu na tym wielkim zgnojonym, konformistycznym morzu PRL-u. Dzisiaj jednak zbiera się tylko stare procenty z lokat finansowych, nie z moralnych.

W trakcie zjazdu, na zamku królewskim delegaci mieli się spotkać z premierem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie sądził, że premier będzie miał czas dla pisarzy. Był za to nowy minister kultury Andrzej Zakrzewski. Zdjęty dopiero co ze szpitalnego łóżka. Nie pisałbym, że jest tak bardzo ciężko chory na kilka chorób naraz, chociaż wszyscy o tym mówią, gdyby sam nie powiedział, że zgodził się być ministrem mając wysoką gorączkę i dwie kroplówki w prawej i lewej ręce. Szkoda, że taki chory, bo chociaż jest spod skrzydeł Wałęsy, był szefem jego kancelarii, to robi dobre wrażenie. W czasie gali spotkania dwóch pisarzy-aktorów recytowało wiersze z klasycznego kanonu, a B. zagrzmiał „Redutę Ordona" tak potężnie i dramatycznie, że zdawało się, że zamkowa sala jak reduta wyleci w powietrze. Był w tej recytacji jakiś element maniacki i grafomański. I był to złośliwy, acz nieświadomy komentarz do całej imprezy. Minister kultury potem do mnie podszedł i szepnął, że doprawdy nie pojmuje czemu pisarze sięgnęli w poetycką archeologię, kiedy dzień dzisiejszy pulsuje życiem. Ano właśnie? W tym całym zgiełku pisarskiego spotkania, nikt nie pisnął słowa, że w tym samym budynku jest nie mniejszy związek pisarzy, który ukradł nam nazwę, czyli ZLP, powstały w stanie wojennym, ze strasznym odium tego czasu, dlatego zwany złośliwie „zlepem". My mamy dwóch noblistów i piękną przeszłość (jeśli się zapomni o latach 40-tych i 50-tych), a oni parszywe narodziny, łączą nas dwie wspólne deski sedesowe w damskiej i męskiej toalecie i ta sama biblioteka w jednym budynku. Co poza tym dzieli i łączy, jakby wszystko czyli jakby nic. Prawdziwy problem literacki, to nie SPP. To słabość naszej literatury, która nie tworzy wielkiej sztuki, nie daje świadectwa czasu. To na każdym kroku lekceważenie kultury, nawet przez tych

naszych polityków, którym kultura była do niedawna bliska. A wokół jest codzienne wytrącanie materii duchowej z naszego życia, jakby ktoś potrząsał gwałtownie sitkiem szukając tylko bryłek złota, a wyrzucając na bok wszystko inne.

Sakralizacja samochodu w Polsce. Z każdym rokiem imponująco rośnie liczba kupowanych aut i ich klasa. Polacy często nabywają dobre samochody ponad swój stan, coraz śmielej korzystając z kredytów. Samochód nie tylko jest w jednym, setką koni i luksusowym powozem, jest widomym znakiem powodzenia i siły. Niedomyci właściciele brudnych mieszkań, mają czyste i zadbane samochody. Samochód bywa u nas jakby zamiast, choćby zamiast eleganckiego mieszkania, na które nas nie stać. A ja miałem w nosie czym jeżdżę, byle mi się nie psuło, pełna abnegacja, a przecież lubię prowadzić szybko i ostro. Mamy jednak skłonność by traktować jako dobre, na co jesteśmy „skazani" jeśli tylko wyrok wydawany jest łagodnie. A przecież rzuciła mnie kiedyś pewna niewiasta, bo nie mogła znieść mojego sypiącego się poloneza, jestem zresztą za to mojemu polonezowi serdecznie wdzięczny, to okazało się jego największą zaletą. Potem przez rok jeździłem fiatem Cinquecento, i zdawało mi się, że lubię jego czułość na dziury w naszych drogach. Pamiętam, odwiedziłem kiedyś pewnego utalentowanego pisarza młodszej generacji, niby mimochodem począł się tłumaczyć ze swego skromnego wozu, że żona go wystawiła za drzwi, utracił mieszkanie, ale nagle ujrzał mój pojazd i odetchnął z ulgą. Potem jeszcze kilka osób, które wydawały mi się odległe od jadowitego zmaterializowania, dziwiły się mojemu samochodowi, że taki ubogi, albo tłumaczyły się ze swojego, skromnego. To jednak jest kolejny znak czasu. Niech więc będzie też znakiem, że niedawno, niespodziewanie dla siebie samego, kupiłem nowego citroena Xarę, z dnia na dzień. Co za luksus takich zakupów, były jednak pewne małe komplikacje gdy już odbierałem wóz, pozbawiony był kół, a mechanik, który miał je założyć, zniknął gdzieś na dwie godziny. Pieszczono mnie i przepraszano, pojono kawą, nie zmienia to faktu, że u nas nawet w eleganckim garniturze zawsze okaże się, że jakiś guzik jest urwany. Decyzję o zakupie wozu podjąłem w

sekundę podczas telefonicznej rozmowy ze słynną w świecie psychoterapeutką M., której książki fascynowały mnie od lat. Dzięki nim zajrzałem na podwórko dawnego czasu by ujrzeć ciemne strony swego dzieciństwa, sielskiego i anielskiego. M. pochodzi z Polski, ale nie była tu pół wieku, przez telefon powiedziała mi, że chce pojechać do Kielc, w rodzinne strony. Obiecałem, że ją zawiozę, aby nagle uświadomić sobie, że mój fiat jest zbyt brutalny. Więc nazajutrz kupiłem pięknego citroena reklamowanego przez jeszcze piękniejszą Claudię Schiffer. Nie wiedziałem, że słynna uczona nawet nie wsiądzie do wozu, który przecież kupiłem z myślą o jej wygodzie. Zaczęła mnie podejrzewać, nie bez racji, że będę chciał podejrzeć jej spotkanie z czasem.

Poznański wydawca, miły amerykański pastor, który założył w Polsce wydawnictwo, załatwił dla słynnej uczonej vipowskie wejście. Dowiaduję się o tym dopiero na lotnisku. Nie ma mnie na liście osób, więc testuję polską urzędową elastyczność. W większości krajów Europy Zachodniej nie miałbym szans. Tu bez większego trudu udaje mi się przekonać kilku wojskowych aby mnie wpuścili. To jest właśnie to polskie „wszystko jakoś da się załatwić", co ułatwia i uprzyjemnia życie, ale jakże często zmienia się w korupcję.

M. ma 80 lat i jest piękną kobietą. Od razu rozpoznaję ją w tłumie schodzących po schodkach z samolotu. Witam ją i prowadzę do mikrobusu. Dziwi się co robię na płycie lotniska. Jest tu po raz pierwszy od pół wieku, pamięta Warszawę upstrzoną portretami Stalina. Nie wsiada jednak przezornie do mojego samochodu, a do taksówki przygotowanej przez wydawcę. Nie po raz pierwszy przekonuję się jak to specjaliści od cudzej duszy, mają poplątane dusze własne.

Korzystając z przedłużonego weekendu, testując nowy wóz przejechałem ponad tysiąc kilometrów, przez Sandomierz, Łańcut, dalekie Bieszczady do P. i na powrót do stolicy. Na wąskich polskich drogach, przez 10 lat wolności nie zbudowano ani jednej autostrady, jeździ po nich coraz więcej luksusowych samochodów, fatalnie prowadzonych przez naszych kierowców. Najbardziej niepokojąco wygląda koniec weekendu i powrót do Warszawy. Tabuny samobójców lub potencjalnych morderców, wyprzedzają na trzeciego, na czwartego, wszystko na granicy życia i śmierci. Takie

rzeczy widziałem tylko w Turcji. A policyjne patrole czają się w krzakach, by łapać przekraczających prędkość, większość zostanie ostrzeżona przez kolegów kierowców światłami, nieliczni pechowcy zapłacą łapówkę, gdy prawdziwe zagrożenie tworzą tańczący na linie drogi. Cywilny ruchomy patrol w czasie jednego kursu złapałby za jednym zamachem kilkunastu kierowców, którzy powinni pójść siedzieć za drogowe piractwo, ale oni wolą czaić się w krzakach. To jest jedna strona samochodowej Polski. Drugiej doświadczyłem w górach. Cofając się z bolącą szyją nie zauważyłem, że wjeżdżam na mostek, samochód zawisł jednym kołem w powietrzu, czułem jak waha się, czy przewrócić się na plecy? Jako kierowca sam nie mogłem już nic zrobić. Zatrzymało się kilka samochodów. Kierowcy i przechodnie szybko podnieśli tył samochodu i tak szczęśliwie wyszedłem z opresji. Uznajmy więc, że prawda mieszka między tym odruchowym aktem solidarności, którego doświadczyłem a powszechnym drogowym egoizmem. Prawie nic w tym kraju nie jest teraz jednoznaczne. Luksusowy hotel na terenie parku, gdzie stoi zamek w Krasiczynie, uwodzi swoim wdziękiem i elegancją, ale śniadanie jest w byle jakim pomieszczeniu, z byle jaką obsługą, jak w stodole.

Jesteśmy w mieście P., przed rokiem dokładnie zbadałem jego antropologię. Rządzi AWS i prezydent z tego ugrupowania ogromnie prawicowy, ale rządzi przy poparciu SLD. Klasyczny przykład, jak konfitury władzy czasami jednoczą nawet ugrupowania, które są w stanie wojny. Możliwość podzielenia się łupami niesie pokój. Główny problem miejscowych władz to nadawanie sobie wysokich pensji i diet, odsłanianie nowych pomników, i próby ograniczania handlu w niedzielę, zgodnie z przykazaniem. Widać jak z każdym rokiem zmniejszają się kompetencje władz miasta i więdnie ich moralność. N. która była związana z „Solidarnością" i z podziemiem, mówi mi: „nawet nie chcę patrzeć jak nasi kompromitują się i odwracam głowę". Większość moich znajomych z P, odwróciło głowy, wycofali się z aktywności społecznej. Potwierdzają, że obecna władza biega po kilka razy dziennie do kościoła, ale nie ma moralnych skrupułów, już poza kościołem. Jeśli już coś dobrego dzieje się w mieście, to nie dzięki radnym, a cudownym właściwościom kapitalizmu,

który potrafi otorbić prawie każdą głupotę i niekompetencję. Hotel miejski po kilkunastu latach stania w dybach fundamentów jest na ukończeniu i będzie pomnikiem nieudanej architektury dawnych lat. Kaleczy panoramę miasta, jedną z piękniejszych w Polsce. Gdy upada handel ze Wschodem, kiedy umarły kolejne zakłady pracy, szansą dla P. jest turystyka, to jest oczywiste dla wszystkich, tylko nie dla władz miasta, które właśnie zlikwidowało dobrze działające biuro turystyczne. W ramach reformy samorządy dostały dużą władzę i pieniądze. To wszystko jest marnotrawione w tym mieście.

Nocleg w bieszczadzkiej wsi, pod szyldem „Agroturystyka". Urocza gospodyni, która traktuje gości jak rodzinę. Szybko więc wprowadza nas w rodzinny dramat. Ksiądz nie dał synowi kartki ze zgodą aby był chrzestnym, upiera się, że za mało widywał chłopaka w kościele. „A co miał widywać, gniewa się matka, teraz młodzi zawsze stoją nie w kościele, a pod kościołem". Jedzie z synem do księdza sprawę załatwić, lecz wraca z niczym. Skarży się, „ten nowy ksiądz to wariat, nic nie da się z nim załatwić". Dom, gdzie nawet kot z psem są w przyjaźni, fajne dzieci, jest w tych ludziach bezpośrednia serdeczność, to się u nas na wsi jeszcze zdarza. Ale ich pomysłowość oraz inicjatywa są kulawe. Imponujący napis „Agroturystyka" jest zachęcający, ale okazuje się, że w rzeczywistości do domu jest o kilkaset metrów dalej niż napisano na szyldzie. Gdyby ci ludzie mieli więcej odwagi i rozumu, to z pustych już pomieszczeń gospodarczych zrobiliby hotel, a jest w okolicy zapotrzebowanie na takie miejsca. Na to już nie starcza im energii i wyobraźni. Mają sporo pieniędzy, on jest leśnikiem, kupił leśny kombajn i korzystnie go wynajmuje, ale ona nadal jeździ co rok do Włoch, gdzie pracuje jako sprzątaczka. Jest w tym sprzątaczym nałogu jakiś rys prowincjonalno-zaściankowy, a przecież w łazience jest elegancki prysznic i kosmetyki znanych światowych firm. Dowiaduję się, że w tej niewielkiej wiosce kilka osób ma odwagę nie chodzić do kościoła, o czym gospodyni wspomina z wyrozumiałością, mam wrażenie, że kościół, przerobiony z pięknej drewnianej cerkwi, jest stałym punktem krajobrazu, tyleż religijnym co towarzyskim. I oczywiście wielkim problemem jest alkohol, piją prawie wszyscy, co powoduje wiele

problemów a nawet nieszczęść, „to jest plaga" – potwierdza gospodyni. Czy ktoś w okolicy jest naprawdę biedny? Wielu ludziom powodzi się średnio, ale biedy nikt nie cierpi, kilka osób z wioski poszło za jej przykładem i jeżdżą na sprzątanie do Włoch. Tyle zwięzłego sprawozdania z małej bieszczadzkiej wsi o rozczulającej nazwie „Żłobek" .

Teraz mała refleksja architektoniczna z trasy: najbrzydsze obiekty to nowe kościoły. Najpiękniejsza dawna architektura to stare kościoły. To niesprawiedliwe, gdyż przecież nie jest tak, że dawna wiara była piękna a obecna jest brzydka. A jednak nowa szpetota nowych domów Bożych, musi być czegoś świadectwem, jest w niej jakieś niepokojące przesłanie.

Spotykam W., fachowiec w skali światowej, był ważnym doradcą na zapleczu naszej politycznej sceny. Mówi, że się wycofał, z obrzydzenia do naszych polityków. Przyznaje, że gdzie indziej w świecie jest niewiele lepiej. Ale u siebie w kraju nie potrafi znieść korupcji i głupoty ludzi, którzy nami rządzą. Używając uproszczonego języka, mówi, że poprzednio rządzili złodzieje [postkomuniści], a dzisiaj rządzą paranoicy [AWS], którzy na dodatek też stają się złodziejami. Ze wszystkich reform najbardziej niepokoi go samorządowa. Podobne głosy słyszałem od wielu kompetentnych osób. W dobrych intencjach przegapiono pewien szczegół. By władza i pieniądze mogły zejść na dół i być uczciwie oddane w ręce ludzi, konieczne jest państwo prawa i pewne nawyki uczciwości. A my żyjemy w państwie, gdzie prawo jest ledwie żywe, rok czeka się na byle jaki proces. Jest uwiąd wymiaru sprawiedliwości, co potwierdzają prawnicy, policjanci, ofiary i przestępcy. A żarłoczność i korupcja kwitną na wielką skalę, każdy kradnie gdzie może i co może, łatwo to wytłumaczyć złymi nawykami i wyposzczeniem po półwieczu komunizmu. Samorządy stają się więc narzędziem rozkradania kraju. X. maluje metaforę pszczelego ula. W dużych miastach są jeszcze plastry miodu, pszczoły mogą więc kraść miód, na prowincji jest tylko ul, więc okradają nawet siebie nawzajem. Pytam: „ale przyznasz, że mimo wszystko ten kraj idzie do przodu, to widać gołym okiem". Potwierdza i przyznaje, że codziennie budzi się w poczuciu, że trwa cud.

Prasa co jakiś czas donosi, jak płacą sobie radni warszawscy. Najbardziej skompromitowani politycy przesuwani są na stanowiska, gdzie ich nie widać, ale zarabiają nie gorzej niż poprzednio. Ponad stu warszawskich samorządowców dzieli swe funkcje z funkcjami biznesowymi. Najczęściej radni zasiadają w radach nadzorczych spółek miasta. Okazuje się, że doją Warszawę sprawiedliwie, równo i konsekwentnie przedstawiciele wszystkich partii politycznych. Obserwatorzy zgodni są w ocenie zjawiska, różna jest tylko opinia, ile pokoleń musi się nakraść aby sytość przerodziła się w praworządność. Prof. Jerzy Regulski, znany specjalista od zarządzania miastem, mówi: „Samorząd nie jest czarny. On jest taki, jaki jest naród, ani lepszy ani gorszy. Będzie lepszy gdy ludzie wyzwolą się z mentalnego dziedzictwa PRL-u." Optymiści twierdzą, że do standardów zachodnich dojdziemy za jedno pokolenie, pesymiści, że za trzy.

Spotykam S. Siedzimy w słońcu Starego Miasta, pijemy kawę. Stare Miasto, nadal podejrzanie młode i zbyt zatłoczone, ale to wyspa prawdziwego miasta, są kawiarnie, ulice, którymi można spacerować. Niedawno w samym centrum Warszawy szukałem miejsca, gdzie mógłbym usiąść, wypić herbatę, czułem się jak mucha w smole, w potrzasku miejskiego obrzydlistwa. S. jest jednym z ciekawiej myślących ludzi jakich znam, dostrzegły to ostatnio zawsze głodne media i nieustannie proszą go o komentowanie społecznych zdarzeń. Teraz komentuje swoje samopoczucie tylko dla mnie, „wiesz, po raz pierwszy czuję, że ja właściwie nie lubię tego kraju, mógłbym wyemigrować. Tak czuje bardzo wielu moich znajomych i bliskich." Co ja czuję? Zauważyłem ze zgrozą, że już nie potrafię kibicować polskim sportowym drużynom jak kiedyś na zasadzie patriotycznego odruchu.

Jestem na międzynarodowym seminarium na temat dziecka i wychowania, z udziałem sław z całego świata, gdy na salę dociera wiadomość, że polski sejm przywrócił stary przepis, zgodnie z którym badania prenatalne można przeprowadzać tylko w bardzo szczególnych sytuacjach, podejrzenia o chorobę genetyczną itp. Nie jest to więc na szczęście całkowity zakaz, do czego zresztą dąży wielu posłów radiomaryjnych. Ale nie przypadkiem w Polsce takich badań wykonuje się bardzo mało, za mało, co potwierdzają lekarze,

a ustawa może tę ilość zmniejszyć. Powstaje atmosfera grzechu wobec takich badań, które dają szansę, że nie będą się rodzić dzieci potwornie okaleczone, takie badania dają też szansę na ratowanie dzieci, które po narodzinach umrą. Polska Akademia Nauk wyraża zaniepokojenie nowelizacją ustawy. Uczeni piszą: „zapis ten nie był konsultowany ze specjalistami z dziedziny genetyki klinicznej". Po co, skoro był konsultowany z Panem Bogiem. Moja energiczna znajoma, ordynator dziecięcego szpitala trzęsie się ze złości. „Jesteśmy w rękach szaleńców". Seminarium patronuje żona prezydenta Jolanta Kwaśniewska. Ma dobre, sensowne wystąpienie, jest miła, potrafi się zachować. Kiedy pod czułym okiem ochrony, zamieniam z nią kilka słów, przypomina mi się jak przed laty rozmawiałem z żoną Lecha Wałęsy. Było to w Szwecji, opowiadałem pani Wałęsowej o tym jak wiele sensownych rzeczy zrobili Szwedzi by wyrównać szansę kobiet i mężczyzn na wszystkich poziomach życia. Pani prezydentowa wysłuchała mnie wtedy uważnie i oświadczyła: „A ja to uważam, że miejsce kobiety jest w kuchni".

W poprzednim tekście wspominałem o pewnym kłopotliwym problemie. Prezydent Aleksander Kwaśniewski robi coraz lepsze wrażenie. Wszyscy politycy spadają w rankingach badań opinii publicznej, a on rośnie. Moi dwaj znajomi, wybitni politolodzy, opowiadają o konferencji, na której występowało kilkunastu słynnych uczonych z różnych dziedzin społecznych, a prezydent Kwaśniewski wyszedł na trybunę, na kartce miał tylko kilka zapisanych punktów i miał lepsze wystąpienie niż którykolwiek z nich. Przenikliwie punktował wszystkie problemy polityczne i społeczne kraju. Jest już niemal pewne, że ponownie zostanie prezydentem, problem, że ta sama opcja polityczna będzie miała większość w sejmie i rząd. Kiepsko, bo co za wiele to niezdrowo. A nasza i tak już na wpół oszalała narodowa prawica zatruje się nienawiścią własnej klęski. Będą jednak pocieszać się łupami zgromadzonymi przez te cztery lata. Lech Wałęsa też postanawia kandydować na prezydenta. To będzie gwóźdź do wyborczej trumny prawej strony. Ostatnio Wałęsa był kilka razy przepytywany publicznie. Jego stan wyraźnie pogarsza się. Upodabnia się do własnej karykatury. Mógłby dostać filmowego Oscara za rolę pychy, zadufania i braku kultury.

Tak się nadyma, że doprawdy, można obawiać się o stan jego zdrowia. Byłby bezgranicznie śmieszny, gdyby nie nasza pamięć przeszłości, i że ośmiesza naszą pamięć, a właściwie już tylko te żałosne szczątki, które zostały z „Solidarności". Jeśli przejdzie do historii tylko heroicznie, będzie to znak, że historia nie jest świadectwem, a uzgodnioną fikcją.

Minęło 10 lat od odzyskania przez Polskę wolności, kiedy gnijący bezsens socjalizmu został zastąpiony trudnym racjonalizmem kapitalizmu. Wystarczy porównać dekadę między rokiem 70 a 80, by poczuć jak wiele waży tych ostatnich dziesięć lat. Czas, kiedy niemal wszystkie triumfy ukazały swoją niemiłą podszewkę, czas sztucznego głodu i wielkiej żarłoczności rzeczy. Kiedyś żyliśmy w świecie kłamstwa, ale jak łatwo było w tym fałszywym lesie rozpoznać prawdziwe drzewa, dzięki temu czuliśmy się prawdziwie. Dzisiaj w szklano-metalowo-plastikowym świecie, sam czuję się coraz bardziej plastikowo. „Czujesz ten plastik w ustach?" – pyta mnie od lat nie widziana znajoma.

Aby mieć optymistyczną puentę, coraz częściej na koniec odnotowuję zmiany na pobliskiej ulicy Puławskiej. Obskurny Orbis, gdzie jeszcze niedawno były kolejki i królowała przerwa obiadowa dla urzędniczek, zmienił się w luksusowy salon. Problem, że obecnie dominują tam propozycje bajecznie kolorowych wycieczek na ciepłe wyspy, mnie na to stać, ale wielu ludzi nie stać. W sąsiednim sklepie, zawsze otwartym i uparcie obskurnym, który jest wodopojem dla alkoholików, zamontowano klimatyzację. Nowa włoska restauracja w pobliżu ma dobre jedzenie i wyborną, miłą obsługę. Zapraszam tam na obiad mojego syna, gdy dzielnie obronił pracę magisterską i stał się prawnikiem. Jak zwykle po przekroczeniu jakiegoś progu pożycza ode mnie górę książek, których potem nie będzie miał czasu przeczytać. Pobliskiemu budynkowi radia na Malczewskiego dobudowano nowoczesny aneks. Podobno nie był niezbędny, a samo radio publiczne jest na granicy bankructwa. Opisywałem kiedyś z pasją marsz naszych toalet do Europy, nie spodziewałem się jednak, że zajdą aż tak daleko. Nad niebem pisuaru radiowej toalety w odpowiednim momencie rozlega się fragment utworu muzycznego, a muzyka milknie gdy speszony delikwent odchodzi od toaletowego ołtarza.

W pobliżu na terenie klubu Warszawianka otwarto piękny basen, w budowie jest jeszcze kilka innych obiektów wodnych uciech. Ten basen o wymiarach olimpijskich jest przykładem świetnej nowej architektury, krystalicznie czysty, z miłą obsługą, i jak na razie w godzinach przedpołudniowych nie ma tłoku. To kolejny kawałek nowego, lepszego świata, który budujemy. Ale ten lepszy świat ujawnia swoją drugą stronę, bilety na pływalnię są drogie, a przed basenem stoją eleganckie samochody, jest on więc dla tych lepszych. To co nowe i dobre niemal wyłącznie jest dla ludzi, którzy radzą sobie dobrze finansowo, jest nas wielu, ale nie jesteśmy w większości. Moja inteligentna, kulturalna sąsiadka, matka dwojga dzieci, pyta mnie co jest interesującego w kinach, sama do kina nie chodzi, nie stać jej na bilet.

Co jest dla mnie największym zaskoczeniem tych 10 lat? Z jednej strony ilość głupoty, wulgaryzacja i brutalizacja życia, z drugiej szybkość cywilizacyjnego rozwoju kraju i zarazem cena jaką za to tempo płacimy. Żyjąc w różnych fikcjach, w fikcji komunizmu, w fikcji dobrego społeczeństwa i kretyńskiej władzy, w iluzji opozycji, w bańce mydlanej, gdzie tyle było wymyślonych barw, sycąc się ruchomym świętem „Solidarności", w wierze stanu wojennego, nie widzieliśmy jakie jest naprawdę nasze społeczeństwo. Jakie jest naprawdę? Tu się rodzą najbardziej ryzykowne uogólnienia. Jest bardziej skomplikowane niż można się było spodziewać, nadal komplikuje się i dzieli.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Wałęsa, choć tego oficjalnie nie ogłosił, *de facto* już wystartował do prezydentury. Jego osobowość nie poddaje się logicznej analizie, więc szkoda strzępić język. Jedno wiadomo

– rozsadza go destrukcyjna energia i zazdrość o władzę. Na co liczy? Czyż nie zdaje sobie sprawy, że tym razem nikt się na niego nie nabierze, prócz grona dworaków dybiących na posady? Bezgraniczne zadufanie każe mu niszczyć swoje dobre imię zdobyte za pierwszej Solidarności.

●

Zalałam mieszkanie sąsiadów z dołu. Pękł wężyk hydrauliczny przy umywalce. (Jakość wężyków hydraulicznych jest u nas główną przyczyną awarii tego typu). Nic tak nie zbliża ludzi, jak wspólny kłopot. Nim poszkodowana sąsiadka zabrała się do usuwania zniszczeń w swoim mieszkaniu, łyknęła sobie u nas parę kielichów dla kurażu i – jak to w naszym narodzie – zaczęły się długie Polaków rozmowy. Sąsiadka jest pracownikiem cywilnym Komendy Głównej policji. Pracownikiem wzorowym. Zdarza się, że w czasie ośmiu godzin nie zdąża łyknąć kawy ani, za przeproszeniem, wyjść na siusiu. Wraz z premiami, gratyfikacjami, itp. dostaje na rękę 800 zł. Mundurowi niewiele więcej.

W toku rozmowy, pytam o Kosowo, pytam o rząd. Śmieje się: „Kosowo? A niech się jedni z drugimi pozabijają, mamy to gdzieś – tak się u nas mówi – tłumaczy. – Rząd? A niech się jedni z drugimi pozabijają, mamy to gdzieś. Prezydent? A niech będzie, jaki sobie chce, mamy to gdzieś."

Atmosfera goryczy wynikająca z niedoceniania ich pracy przez zwierzchność – głuszy szersze zainteresowania. Gorycz, która jest agresywną postacią niezadowolenia, u pracowników państwowych ważnej przecież branży nie wróży nic dobrego dla społeczeństwa i dla budowania jego poczucia obywatelskości. Lecz cóż się dziwić takiej postawie, skoro od maluczkich wymaga się zaciskania pasa, samemu temu zaciskaniu się nie poddając?

Przykład musi iść z góry.

●

Ale tak nie jest, niestety.

Spór w rodzinie, bo mąż się dziwi, że ja się dziwię z rzeczy, które już nikogo nie dziwią.

Było tak. Górnik Czesław Sobierajski, od dziewięciu lat poseł, na bezpłatnym, bezterminowym urlopie z kopalni, w obecnej kadencji reprezentujący AWS „poseł zawodowy" ze wszystkimi finansowymi konsekwencjami z tego płynącymi – wystąpił do swego macierzystego zakładu pracy o objęcie go Górniczym Pakietem Socjalnym (jest to system zachęt do odchodzenia z nierentownych kopalń, które w przyszłości mają być likwidowane) i dostał odprawę w wysokości 50 tys. zł czyli, jakby nie liczyć, ponad 12 tys. dolarów. Dostał ją w sytuacji, kiedy w tym roku z kopalń musi odejść 15,6 tys. ludzi, zaś na osłony w budżecie pieniędzy starczy tylko dla 7 tys.

– Jak pracuję 25 lat w kopalni, tak do momentu wzięcia odprawy nie wiedziałem, że poseł był naszym pracownikiem – powiedział przewodniczący branżowego związku górników tej kopalni, Henryk Hankus.

Pytany przez dziennikarzy o moralny wydźwięk tego skoku na kasę pan poseł zasłonił się racją stanu: „chciałem tylko dać przykład górnikom, którzy wahają się czy skorzystać z osłon socjalnych i odejść z kopalni".

Ta racja stanu nie była już potrzebna Jackowi Rybickiemu, bądź co bądź, przewodniczącemu Rady Politycznej RS AWS, który w popularnym programie radiowym, w „salonie politycznym Moniki Olejnik", poproszony o skomentowanie postępowania swego klubowego kolegi wyłożył kawę na ławę: „jak się należy to trzeba brać!"

Dla porządku dodajmy jeszcze, że każdorazowo decyzję o przyznaniu odprawy podpisuje podsekretarz stanu w Ministerstwie Gospodarki, Jan Szlązak.

W tej sytuacji już nie bardzo zdziwiła mnie mała notatka prasowa informująca, że w Kolbuszowej, w rejonie działania posłanki Barbary Frączek *de domo* Krzaklewskiej miejscowy szpital otrzymał imię „Doktora Krzaklewskiego". Przecież doktor nie tylko leczył ludzi w tym szpitalu, ale dodatkowo dał naszemu krajowi aż dwójkę wybitnych parlamentarzystów.

●

Zdarzyło się, że na pewnej imprezie siedziałam obok pewnego ministra i polityka. Inteligentny, łebski, i zdawało się, człowiek z kindersztubą. Powiedziałam dzień dobry i

przypomniałam mu fakt z pierwszego zjazdu Solidarności, dla niego ważny i zaszczytny. Nie zareagował. „Pan nie usłyszał?" – zapytałam. „Usłyszałem" – odpowiedział i odwrócił się w drugą stronę.

Spotykałam go na różnych spotkaniach opozycji w latach osiemdziesiątych. Był człowiekiem dobrze wychowanym. Gdy stał się osobą władzy, wychowanie wyparowało. Pal sześć, wychowanie! Chodzi o błąd taktyczny, jakim jest arogancja polityków wobec napotykanych przypadkowych ludzi. Niestety, cecha nagminna. I zgubna. Czyż władza tak dalece zatarła w nich instynkt polityczny, iż nie zdają sobie sprawy, iż w ten sposób tracą wyborców? Podczas licznych wojaży zagranicznych powinni zauważyć, iż politycy zachodniej demokracji wykorzystują każdą nadarzającą się chwilę, żeby być miłym dla człowieka z ulicy.

●

Okazuje się, że moje sąsiedztwo ze Smeczem dotyczy nie tylko tych łamów. Smecz mieszka w Warszawie dokładnie w tym samym miejscu, w którym ja mieszkałam przed ponad półwieczem. Pisze, że ze swojego okna widzi po przekątnej okno, za którym w czasie okupacji, przedarłszy się z Rumunii, mieszkał, umierał i umarł marszałek Rydz-Śmigły. Ja też patrzyłam w te okna, bawiąc się na podwórku, urzędując z dzieciakami na drewnianym trzepaku, i przechodząc przez dziurę w siatce na terytorium tamtego domu. Tyle, że nie wiedziałam, kto się w jego murach ukrywał.

●

Prywatna Wyższa Szkoła Mediów na Żoliborzu ma zwyczaj zapraszania na wykłady ludzi „z różnych szuflad". Padło i na mnie. Przy okazji dowiedziałam się trochę o szkole i jej adeptach.

Nauka trwa trzy lata i doprowadza studentów do licencjatu, stopnia naukowego o oczko niższego od magisterium. W rankingu prywatnych uczelni tego typu zajmuje czwarte miejsce. Pierwsze ma szkoła w Płocku, a drugie – w Nowym Sączu (vivat, prowincja!).

Szkoła na Żoliborzu prowadzi dwa kursy. Jeden dla młodzieży świeżo po maturze (nierzadko są to ci, którzy przepadli w egzaminach do państwowych uczelni), oraz studia zaoczne dla pracujących.

Studia kosztują niewąsko: dwa tysiące dolarów rocznie. Mimo kosztów napływ jest ogromny i młoda właścicielka uczelni, którą się tytułuje „pani prezydent", wynajmuje coraz to nowe wille na sale wykładowe.

Przypadły mi zajęcia ze studentami zaocznymi. Ludzie dojrzali, pracujący, dobrze zarabiający, w większości we własnych firmach.

Co ich przygnało na te ławki, w których spędzają każdy weekend? Spytałam o to wprost. Osoba, która pierwsza zgłosiła się do odpowiedzi, powiedziała krótko: „Wstyd. Wstyd przed moimi sekretarkami". Ma kwalifikacje znacznie wyższe od nich, ale one mają dyplomy. Ot, co.

Bez dyplomu wyższej uczelni młody Polak nie ma dziś startu życiowego. Pracodawca pyta, czy skończyłeś. Nieważne, co. Magister historii sztuki może zostać przyjęty do banku (wykazawszy się nadto odpowiednimi predyspozycjami). Dyplom wyższej uczelni pozwala stwierdzić, że kandydat nie jest leniem i że jest odpowiednio rozgarnięty.

Moja rozmówczyni jest świadoma, że gdyby przyszło jej zmienić pracę, co na polskim rynku jest regułą, będzie musiała wykazać się dyplomem.

Studentów zaocznych motywuje również dobrze postawiony w tej szkole przedmiot: integracja europejska. Dziś zarabiają nieźle w innych dziedzinach (marki ich aut zaparkowane przed uczelnią przewyższają daleko profesorskie), ale współczesne życie uczy myśleć przyszłościowo. Unia Europejska za progiem. Kto pierwszy w nią wskoczy, ten wygra.

Na studiach dziennych sytuacja przedstawia się inaczej. Tu przychodzą „dzieci". Maturzyści, za których płacą rodzice. Nie bardzo wiedzą, co chcą w życiu robić. Jeszcze mniejsza bywa ich wiedza ogólna.

Wojciech Giełżyński, rektor uczelni, który wykłada im przedmiot pod groźnym tytułem „dylematy współczesności", zabiera na wykład wielką mapę, którą wiesza na ścianie. Mapa to ich wróg numer jeden. Z pokazaniem Afryki bywają kłopoty. Ale doskonale wiedzą, gdzie jest Kosowo! Wojny oglądane przez czas dłuższy w telewizji, mają dla ich znajomości geografii zbawienny skutek. Potrafią zlokalizować je na mapie.

Wiedza humanistyczna leży. Odpowiedzi są niekiedy jakby zdarte z popularnej niegdyś rubryki w *Przekroju*: „Humor zeszytów szkolnych".

– Co było w Polsce przed drugą wojną światową? – pyta rektor.

– Zabór. – Ktoś dodaje: – pruski.

– Nie, zabór był przed pierwszą wojną światową. Ale czy tylko jeden?

Milczenie.

– No to pod jakim zaborem był Kraków?

Milczenie.

– Pod austriackim – zdradza wykładowca.

Śmiech.

– Nie, pan rektor żartuje. Kraków miałby należeć do tego małego kraju, dokąd jeździmy na narty?!

Jeżeli historia w szkole średniej nie nauczyła młodzieży o CK Austrii, to co uczniowie mogą wiedzieć o XIX wieku w Europie, nie mówiąc już o czasach wcześniejszych?

Młodzi nie wstydzą się swojej ignorancji. Gdy Giełżyński, który ich lubi, ubolewa: „co z was będzie?", są przekonani, iż chodzi mu o stronę materialną. Pocieszają: „niech się pan rektor o nas nie martwi, rodzice ustawią".

Można pocieszać się i tym, że w Ameryce bywa nie lepiej. Że zdarzają się tam uczniowie, którzy kończąc szkołę, umieją się zaledwie podpisać. Ale jakaż to pociecha?

Pociechy należy szukać gdzie indziej. Patrząc każdej wiosny na Pałac Kultury i ustawiające się przed nim wielogodzinne kolejki do kasy po bilety na Międzynarodowe Targi Książki, zapytuję sama siebie, jaki paradoksalny związek zachodzi między powszechną ignorancją humanistyczną młodych a tym tłumem kolejkującym po słowo pisane.

Powracając do żoliborskiej szkoły: tegoroczny nabór na studia dzienne okazał się rewelacyjny. Przyszła świetna, otwarta, chłonna modzież.

Więc jednak coś się przeciera.

●

„Tarczyńska – ku wyżynom!" Transparent tej treści otwierał i zamykał krótką przestrzeń na warszawskiej Ochocie, którą niegdyś biegły szyny kolejki EKD do Leśnej Podkowy.

Ulica Tarczyńska wznosi się na wyżyny już po raz czwarty. Rokrocznie, w okolicach „zimnej Zośki", czyli w połowie maja, odbywa się tu na całej przestrzeni – w bramach, w przechodnich podwórkach, na placykach pod namiotami lub wprost na trotuarze – magiczne, wciągające misterium.

Imprezie patronuje z góry poeta, Miron Białoszewski. Stąd nazwa całości – Mironalia. Tutaj, na Tarczyńskiej 11, w mieszkaniu Lecha Emfazego Stefańskiego, oryginała nie mniejszego niż Miron, odbywały się w latach pięćdziesiątych spektakle przeczące formą i treścią regułom obowiązującego socrealizmu w sztuce. Miały wymiar kameralny, bo małe mieszkanko mogło pomieścić garstkę, ale wieść o czymś niespotykanym, co się tu odprawia, rozprzestrzeniała się tak dalece, że nawet Jean-Paul Sartre, ze swoją połowicą, Simone de Beauvoir, pięli się po odrapanych schodach i grzęźli w niebywałej ciasnocie, żeby zobaczyć widowisko tak dziwne w tej części Europy.

Miron nazwał spektakle Teatrem Osobnym. Istotnie, był to teatr osobny, tak jak na tle tamtej rzeczywistości całkiem osobnym poetą był sam Miron i inni twórcy artystycznego przedsięwzięcia.

Dziś, kiedy Mirona nie ma między nami, osobność wyszła z ciasnoty mieszkania i rozlała się na całą ulicę Tarczyńską. Stało się tak dzięki grupie jego wiernych przyjaciół oraz lokalnym władzom, które dostrzegły wartość imprezy.

Rzecz nie polega na powtórce tamtych widowisk, ale na odtwarzaniu szczególnego klimatu, atmosfery, czegoś z cyrku, jarmarku, spontanicznego malarstwa i poezji. Mironalia mają w sobie coś ze sztuki, nie tej, o której głośno w mediach, ale schowanej, działającej bez poklasku i błogosławieństwa uznanych autorytetów. Jest to sztuka gawiedzi. Miron był poetą gawiedzi. Nie znosił establishmentu kulturalnego. Gdy zdarzało się, że do jego domu wkraczała jakaś znakomitość, kurczył się w sobie i udawał głupka...

Gdy teraz zaglądam do bram i zaułków na Tarczyńskiej, przed oczami staje mi moje przedwojenne podwórko, drewniany trzepak z uczepionymi dzieciakami, kataryniarze, bzyczący ostrzyciele noży i wpadająca nagle trupa linoskoczków błyskawicznie rozścielająca wyświechtany dywanik i wykonująca fikołki i piramidy ludzkie, jakich dziś nie zobaczysz.

Chyba, że tej jednej jedynej niedzieli na Tarczyńskiej. Spisuję garść widowisk z tegorocznego programu Mironaliów: los za włos. Cud-kobieta-wąż. Żongler. Jarmarczny kącik objawień...

Rozwodzę się o tym, ponieważ Mironalia przełamują nie tylko konwenans, ale powszechną opinię, że Polacy razem potrafią jedynie dwie rzeczy – bić się i pić na umór. Otóż ludzie całkiem sobie nieznani, od dzieci po starców, potrafią razem cieszyć się i tworzyć wspólnie uliczną sztukę. W strugach deszczu, po zagrzybionych bramach i podwórkach słuchają, śmieją się, kupują książki rzadko spotykane w księgarniach, rysują graffiti na specjalnie ulokowanych planszach. Owszem, spod niejednego surduta wychyla się piersiówka, by krążyć bratersko wśród gawiedzi (rozgrzewka niezbędna!), a sympatyczny barek Buggati zbiera tego dnia swoje żniwo.

Mironalia dowodzą również, że prawdziwa sztuka może obejść się bez tego, co ja w swoim prywatnym języku określam mianem *„political correctness* w świecie kultury". Innymi słowy, może obejść się bez okrzyczanych *celebrities*. Bez nietykalnych znakomitości, bez hierarchii osób i bez towarzyskich układów, *de facto* blokujących prawdziwą krytykę.

Taka otwarta ulica, gdzie dzieje się na żywo sztuka różnych gildii, gdzie nie ma równych i równiejszych, gdzie każdy może przyjść i wziąć udział – taka impreza wydaje mi się – poza wszystkim – doskonałą szkołą obywatelstwa.

Miło mi donieść, że wśród licznych organizatorów Mironaliów znalazło się również Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu.

●

Przez trzy dni Kraków żył czterdziestoleciem ZNAKU. Kogóż tam nie było?! Tadeusz Mazowiecki z biskupem Pieronkiem, Norman Davies z Leszkiem Balcerowiczem, Leszek

Kołakowski, Ryszard Kapuściński, arcybiskup Życiński – przerywam wyliczankę, żeby kogoś nie pominąć. Brak było Jerzego Turowicza, który według naszych obliczeń i życzeń powinien towarzyszyć nam wiecznie na tej ziemi.

Sami wielcy. Zresztą ZNAK nazwał imprezę „Spotkania znakomitości". Odbywały się w najbardziej reprezentatywnych miejscach miasta. W Bibliotece Jagiellońskiej, w Kapitularzu dominikanów, w Teatrze Starym, w Reducie. Panele, kabarety, piwnice, a na zakończenie krakowianie mogli sobie obejrzeć najznakomitszych, wraz z noblistami, w specjalnym tramwaju kręcącym się wokół Plant.

ZNAK niejedno ma imię. Było ongiś Koło Poselskie ZNAK, próbujące naprostowywać komunizm w Parlamencie. Należy do przeszłości. Istniał i istnieje miesięcznik ZNAK, no i wydawnictwo ZNAK, którego jubileusz obchodziliśmy. Wszystko zrodzone z jednego pnia, do którego zaliczyć należy i *Tygodnik Powszechny*. Znakowskie agendy cieszyły się zawsze dobrą sławą, bo w morzu kłamstwa mówiły prawdę. Ale biedowały. Skromność finansowa zdawała się być cechą stałą ZNAKU, w tym również i oficyny wydawniczej.

Aż tu nagle – niebywały skok. Z nędzy do pieniędzy. Firma ZNAK jest dziś potęgą wydawniczą w skali kraju. Co pozycja – to bestseller, co promocja – to wydarzenie kulturalne. Passa trwa od kilku lat i stale zwyżkuje. Zjawisko wyjątkowe, zważywszy, że ZNAK nie sięga po książkę brukową.

Wydawnictwo założył Jacek Woźniakowski, który specjalnie zjechał na te uroczystości z Jerozolimy. (Inauguruje na tamtejszym uniwersytecie otwarcie katedry polskiej cyklem wykładów.) Jest człowiekiem nie tylko dużej kultury, ale i ogromnej dynamiki, jednakże czasy, w których w ZNAKU działał, skutecznie tę dynamikę głuszyły. Dopiero syn, Henryk, który po ojcu przejął schedę, mógł rozwinąć skrzydła. W kraju był już wolny rynek. Panuje opinia, że do sukcesu przyczyniło się trio: prezes – Henryk Woźniakowski, Jerzy Illg – redaktor naczelny oraz Danuta Skóra, dyrektor i menadżer najnowszej generacji, a co rzadkie na tym stanowisku – osoba miła i skromna.

Przypadek długotrwałego sukcesu ZNAKU jest wyjątkiem. Wydawnictwa są na naszym rynku efemerydami, pojawiają się jak meteory i znikają. Czyli bankrutują, pozostawiając w płaczu i gniewie niepospłacanych autorów. Ja na przykład, wraz z wielu innymi, padłam ofiarą MARABUTA. Jego właściciel, młody człowiek z Gdańska, chcąc się uwiarygodnić, powołał nawet radę programową wydawnictwa, złożoną z fachowców, ale gdy tylko otrzymał dotację, ogłosił bankructwo a pieniądze przelał na hodowlę indyków. Niedawno zmarła Irena Szymańska, ongiś wytrawna wydawczyni i osoba dowcipna, którą też MARABUT nabrał, powiedziała: „niechby mi chociaż w indykach wypłacił".

MARABUT jest przykładem upadku kultury i przyzwoitości wydawniczej w Polsce. Natomiast ZNAK stanowi tego zaprzeczenie. Trwa, płaci i rośnie.

●

– Ręce na biodra jak do krakowiaka – rozkazała wesoło studentka medycyny. Druga zgrabnie przycisnęła mój tors do płyty roentgena. – Jeszcze bardziej jak do krakowiaka! – zademonstrowała: – O, tak, doskonale. Wciągnąć powietrze, zatrzymać...

Obecność i zachowanie młodych medyczek uprzytomniły mi, jak wiele w katordze badań i choroby zależy od nastawienia personelu. Te pogodne furkoczące dziewczyny podziałały na mnie kojąco. Odleciał gdzieś strach.

A bałam się potężnie. Zachowałam w pamięci chwilę sprzed kilkudziesięciu laty:

Zaciemniony pokój w przychodni dla studentów. My, rozebrane do pasa, przesuwamy się kolejno pod aparaturę, za którą siedzi lekarz. Tysiąc koni przepuszczamy, a jednego zatrzymamy! Padło na mnie. Gdy podsunęłam się, gdzie potrzeba, nagle – stop-klatka! „Ty dziecko, zostajesz, masz gruźlicę..." – dobiegł mnie głos zza ekranu i doktor odsunął mnie na bok. – Następna, proszę..."

Zmartwiałam. Gruźlica wykończyła wielu z mojej rodziny, a po wojnie kosiła w Polsce prawdziwe żniwo. Ludzie chorowali i prątkowali nie wiedząc o tym. Studentów wyłapywano metodą małoobrazkową, co właśnie stało się moim udziałem.

Na szczęście były już radykalne leki. Leczono mnie szwajcarskim PASS-em. Trzydzieści żółtych powlekanych pastylek

dziennie. Zbawiennych na tuberkulozę, ale rozwalających przewód pokarmowy.

W moim przypadku gruźlica miała i dobrą stronę. Przestano czepiać się mnie na uczelni. Jako niezrzeszona, byłam stale podejrzaną.

Z gruźlicy wyszłam, ale uraz do badań pozostał. Wszelkich. Przez wiele lat zachowywałam się jak ciemna baba. Żadnych mammografii, żadnych cytologii, nic. Co ma być, to będzie.

Przychodzi jednak moment, kiedy człowiek zaczyna się sypać i chcesz-nie chcesz, musisz poddać się medycynie.

Właśnie taki czas dla mnie nastał. Po pierwszym podejściu do lekarza pierwszego kontaktu zrezygnowałam z dobrodziejstw społecznej służby zdrowia. Biurokracja, jaka się po wejściu reformy rozszalała, powaliłaby najzdrowszego.

Posłużę się przykładem wziętym z Tyma, felietonisty tygodnika *Wprost*:

„Agnieszka jest zagrożona nowotworem kości. Dotychczas kontrole w Instytucie w Warszawie matka załatwiała jednym telefonem z gminnej budki... Teraz zaangażowane są w to osoby i instytucje następujące: lekarz rodzinny w ośrodku w gminie, placówka rejestrująca w Suwałkach i Podlaska Kasa Chorych. Telefony, jazdy, papiery, ankiety. Matka Agnieszki w tej sprawie przejechała samochodem 240 km. Przejedzie jeszcze z 80, nie licząc jazdy pociągiem do Warszawy..."

Mam lepiej od Agnieszki, bo mieszkam w Warszawie. Istnieją tu płatne przychodnie, tak zwane, fundacje. Jako kombatantka wybrałam fundację AK, gdzie płacę mniej. Kolejki ludzi starych, zwłaszcza do kardiologa. I czegóż dowiaduję się od młodej kardiolożki, gdy wreszcie się do niej dostaję: „ponieważ należymy do kas mundurowych, limit badań oraz ilość recept (obojętnie, że pełnopłatnych!), który wolno mi wypisać pacjentowi, jest taki, jak dla rekrutów, którzy powiedzmy, raz w roku zachorują na grypę." Bieda, że akowcy przekroczyli już nieco wiek poborowy.

Fundacja AK nie ma roentgena. Idę więc do fundacji Akademii Medycznej. Przekraczam wejście z napisem Collegium Anatomicum i staję w okienku. 45 minut z zegarkiem w ręku trwa rozstrzyganie, czy przysługuje mi ulga. Wątpliwość posiała tajemnicza pieczątka na moim skierowaniu „Refundacja". Więc dylemat. Telefony do różnych instancji Kasy Chorych. Nie wiedzą. Nikt nie wie. Płacę więc całą stawkę – ponad 50 zł.

Kasy Chorych są złowrogim zjawiskiem. Stoją mocną stopą na drodze pacjenta i lekarza, uniemożliwiając im niezbędny kontakt. Są autonomiczne. A więc chwalona przeze mnie nowa pani minister, Franciszka Cegielska – może im skoczyć, że się tak wyrażę. Szkoda energii tej bystrej kobiety.

Spuentuję Tymem z *Wprost*: „ogólna paranoja przestaje już na mnie robić wrażenie".

Myślę, że to jedyna sensowna postawa.

●

Mimo apeli co rozsądniejszych proboszczów o skromność przy Pierwszych Komuniach, nadal są one okazją do popijaw i luksusowych prezentów nie mających nic wspólnego z charakterem religijnym. Chociaż gdzieniegdzie pojawiają się już szaty liturgiczne: alba dla dziewczynek, komeżki dla chłopców, to jednak w większości kościołów panuje tego dnia swoista rewia mód. Ustrojone w koronki, falbanki, hafty, anglezy i suknie do ziemi, małe dziewczynki wyglądają jak karykatury ślubnych panien młodych. W jednej z miejscowości podwarszawskich doszło do tego, iż do miejscowej wizażystki w dniu Pierwszej Komunii od czwartej rano ustawiały się kolejki małych klientek po makijaż.

Zastaw się, a postaw się. Kto kogo przebije.

Warszawa, 25 maja 1999 r.

Ewa BERBERYUSZ

Polska w oczach Szwedów

W ostatnich miesiącach *Kultura* publikowała wypowiedzi szeregu mieszkających na Zachodzie polskich emigrantów, prezentujących swoje wrażenia z wizyt w Polsce.

Być może w ramach ankiety *Kultury* pożyteczne byłoby też przedstawienie obrazu Polski widzianej przez cudzoziemców i to nie zagranicznych korespondentów, ale zwykłych obywateli różnych krajów, widzących nasz kraj często po raz pierwszy i oceniających go *sine ire et studio*. Tak się składa, że autor niniejszego tekstu dysponuje wrażeniami grupy Szwedów, którzy niedawno odwiedzali Polskę. Fakt, iż są to akurat relacje Szwedów ma pewne znaczenie. W języku szwedzkim istnieje dość trudno przetłumaczalne słowo *hemmablind* (dosł. niewidomy we własnym domu), odnoszące się do nieuniknionej ułomności niedostrzegania tych anomalii, do których od dziecka się przyzwyczailiśmy. Różnicami kulturowymi są Szwedzi – choć ze względów głównie merkantylnych – znacznie bardziej zainteresowani niż Polacy, skłonni z różnych względów istnienie różnic tych negować. Z tego też względu są Szwedzi w postrzeganiu naszego kraju bardziej zainteresowani różnicami niż podobieństwami. Przykład konkretny – na Szwedach żadnego wrażenia nie wywarła wiadomość, że 9% dorosłych Polaków pracuje „na czarno", gdyż w ich kraju niewiele mniejszy procent zajmuje się podobnie oszukańczymi praktykami, traktowanymi jako zło konieczne, z którym trzeba wprawdzie walczyć, ale którego chyba nie uda się wyplenić. Natomiast wszyscy byli zdumieni, iż w Polsce z pirackich kopii programów komputerowych, aplikacji *businessu* etc. korzystają nie tylko indywidualni użytkownicy prywatni (co zdarza się wszędzie), ale nawet różne urzędy, organy samorządowe, znane duże firmy i agencje reklamowe.

1. Wszyscy Szwedzi podkreślali, że ich polscy rozmówcy charakteryzowali się wielką życzliwością i gościnnością,

zapraszając nawet do swoich prywatnych mieszkań (co w Szwecji jest wykluczone przy kontaktach służbowych). Przy okazji jednak zauważono, że ze szwedzkiego punktu widzenia ciasnota polskich mieszkań – i to nawet osób o wysokim statusie społecznym, np. pracowników naukowych – jest niewyobrażalna, ale Polacy nie widzą w niej niczego niezwykłego. Zauważono także przy okazji, że sytuacja mieszkaniowa w Polsce jest tragiczna, nie tylko dlatego, że nowych mieszkań buduje się bardzo mało, ale także dlatego, że dawne betonowe osiedla, liczące sobie już przynajmniej ćwierć wieku, zaczynają się rozsypywać, wymagają wszechstronnej modernizacji, na którą nie ma pieniędzy. Szwedzi problem ten znają dobrze, gdyż sami – w ramach tzw. programu „Milion" (mieszkań) – oszpecili sobie wiele suburbiów betonowymi klockami z elementów prefabrykowanych. Dziś większość tych domów została już jednak wszechstronnie zmodernizowana. Ponadto w Szwecji w tzw. mrówkowcach nie mieszkały nigdy takie masy ludzi jak w Polsce, wszak co czwarty mieszkaniec Warszawy gnieździ się w domu zbudowanym według technologii tzw. wielkiej płyty.

2. Z tragiczną sytuacją mieszkaniową, łączyli Szwedzi wręcz automatycznie sytuację polskiego rolnictwa, być może dlatego, że na problem ten ciągle uczulani są przez własne media. Skoro na polskiej wsi mieszka 25% ludności, jest zupełnie wykluczone, aby te miliony znalazły sobie pracę w miejscowościach pobliskich i nadal mogły mieszkać w swoich wiejskich zagrodach. Ponieważ nowe miejsca pracy powstają przede wszystkim w dużych miastach i wymagają pewnych kwalifikacji, potrzebne jest – szwedzkim zdaniem – uruchomienie dwóch wielkich, narodowych programów: mieszkaniowego (umożliwiającego wewnątrzkrajową migrację „za pracą") i oświatowego (choćby na wzór skandynawskich uniwersytetów ludowych). Odnosi się wrażenie, że Polacy z tzw. elit nie chcą zrozumieć ogromnego problemu polskiej wsi, sądząc że niewidzialna ręka rynku po prostu „zracjonalizuje" zbędnych rolników.

3. Polacy są niezwykle dumni z poprawy kondycji infrastruktury gastronomiczno-handlowej, a przecież każdy

ekonomista wie, że to jest zawsze najłatwiejsze. Bardzo łatwo jest odnowić w centrum miast partery domów i ulokować tam przynoszące szybki dochód restauracje, bary, luksusowe sklepy z importowanymi towarami. Jednak rzeczywiste problemy zaczynają się, gdy trzeba wyremontować resztę domów (podobno w samej Warszawie kosztowałoby to blisko 4 miliardy zł!), zadbać o drogi, rozwinąć budownictwo mieszkaniowe, podnieść poziom usług (ze służbą zdrowia włącznie) dla całej ludności i jej ogólną jakość życia.

4. Status materialny jest w Polsce znacznie ważniejszy niż w Szwecji. Także samochód nie jest środkiem lokomocji, ale kultowym fetyszem. Ponadto w Polsce nadal bardzo ważna jest tzw. pozycja towarzyska, której kryteria są dla cudzoziemców absolutnie niezrozumiałe. Mimo 45 lat komunizmu Polacy nadal tworzą społeczeństwo bardzo klasowe i bardzo konserwatywne. Być może związane jest to z faktem, że w Polsce ciągle rolę polityczną odgrywa tzw. inteligencja czyli rozprawiająca autorytatywnie na każdy temat grupa wykształconych dyletantów. Jednak rola polityczna tej warstwy będzie zanikać, gdyż wśród młodych Polaków wydaje się dominować zachodni kult ekspertów i specjalistów. Istnieją w Polsce objawy wyraźnego konfliktu między dawną inteligencją typu wschodnioeuropejskiego a młodymi *professionals*.

5. Na ogół Polacy dysponują rozległą wiedzą ogólną, ale poziom wiedzy ekonomicznej polskiego społeczeństwa jest nadal niski (uwaga ta nie dotyczy polskich ekonomistów profesjonalnych, których Szwedzi oceniają dość wysoko). Bez przesady można powiedzieć, że posiadający akcje szwedzki robotnik więcej wie o mechanizmach gospodarczych niż polski inżynier, radny, a nawet uniwersytecki uczony pozaekonomicznej specjalności. Przesadną wiarę przywiązują też Polacy do wskaźników makroekonomicznych, a zwłaszcza do wzrostu PKB. Pomijając już fakt, że nawet zdaniem życzliwych Polsce analityków Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBRD) wzrost polskiego PKB wyniesie w roku 1999 tylko 3%, a więc tyle, co wzrost szwedzki, trudno przy ocenie jakiegoś kraju abstrahować chociażby od stanu przedsiębiorstw czy poziomu przestrzegania norm prawnych.

Fakt, iż według ocen międzynarodowych Polska pod względem rozpowszechniania korupcji znalazła się na najwyższym miejscu w Europie (Rosja czy Ukraina nie były objęte tymi badaniami) ma dla ludzi Zachodu większe znaczenie niż polska 9-procentowa inflacja w roku ubiegłym.

6. Polacy zupełnie nie zdają sobie sprawy, jak bardzo zniszczony jest ich kraj. Dewastacja dotyczy nie tylko środowiska naturalnego, ale także miast, dróg etc. Pod względem zatorów komunikacyjnych i zatłoczenia samochodami Warszawa zaczyna już przypominać Bangkok (w rankingu komunikacyjnym uznawany za piekło na ziemi). Brak ścieżek rowerowych w Warszawie jest źródłem bezmiernego zdumienia każdego mieszkańca Sztokholmu, Amsterdamu czy Kopenhagi. Fakt, iż w stolicy Polski nie można – o ile nie posiada się specjalnego filtru – napić się wody kranowej nawet po przegotowaniu, jest dla każdego Szweda czymś absolutnie niezrozumiałym (gdyż w Szwecji nawet tabletki w szpitalach każe się popijać surową wodą kranową, nadającą się oczywiście do bezpośredniego spożycia). A przecież w okolicach Warszawy sytuacja też nie jest lepsza, gdyż kanalizacji brak i na piaszczystym gruncie następuje dyfuzja do wody pitnej szkodliwych związków azotowych, pochodzących z fekaliów magazynowanych w tzw. szambach. Zdewastowanie kraju nie jest nawet dostrzegane przez wielu polskich decydentów, a więc ludzi w wieku 35-50 lat, którzy w takim otoczeniu wyrośli i innego nie znają.

7. Gospodarka wolnorynkowa kojarzy się Polakom jedynie z modelem kapitalizmu *à la* USA. Amerykański indywidualizm, ze swoimi słynnymi dewizami typu „płyń lub toń" i tolerowaniem ostrych różnic socjalnych, milszy jest prawdopodobnie polskiej duszy niż jakiś *Sozialstaat, welfare state* czy *communitarian capitalism*. Polska ma oczywiście prawo swobodnego wyboru modelu społecznego, choć przez wielu polityków obecnej Unii i tak już traktowana jest trochę jako trojański koń USA. Szwedzcy obserwatorzy obawiają się jednak, że Polsce grozi nie tyle amerykanizacja, co ten przykry proces, który monachijski socjolog, Ulrich Beck nazwał brazylianizacją. W tzw. *Emerging Europe* jest Polska

krajem największym (co oznacza też największe problemy) i jednym z biedniejszych. W dodatku utraciła Polska swoją pozycję leadera przemian systemowych; dziś prymusem są Węgry, a przyznaje to nawet ostrożny w wypowiedziach (z racji swej oficjalnej funkcji w rokowaniach kandydackich) Nicolas van der Pas. Polska, biedna, rozdzierana konfliktami, tracąca dynamikę wzrostu, łatwiej niż do dzisiejszych USA upodobnić się może do Brazylii, a więc kraju, gdzie społeczny podział w proporcji 20-80 już został zrealizowany. Czy model brazylijski – ze swoimi zamkniętymi i ogrodzonymi enklawami zamożności, ochranianymi przez prywatną, uzbrojoną po zęby policję – odpowiadałby Polakom? Odpowiedzi twierdzącej mogłoby chyba jednak udzielić tylko te 7 milionów Polaków, którzy – według szwedzkich ocen – osiągnęli już zamożność grupy, nazywanej dawniej klasą średnią. Ponadto Szwedzi wątpią, aby model brazylijski pasował do Zjednoczonej Europy.

Pominąłem bardzo wiele obserwacji drobniejszych, dotyczących głównie obyczajowości. Wspomnę tylko, że ślinili się wręcz Szwedzi z zachwytem nad polskimi ciastami, a narzekali na bardzo skromny nawet w luksusowych restauracjach wybór jarzyn jako dodatków. Docenili większą dbałość Polek o elegancję i tzw. kobiecość, ale zdumiewała ich liczba otyłych pań w średnim wieku. Z podziwem odnotowali, że dobre książki z literatury pięknej kupić można nawet na dworcu, z oburzeniem – że kartą kredytową płacić można w tak niewielu miejsach.

Karol BAUMGARTNER

Sprawy i troski

Czy Polska kupi naukowe oszustwo?

W 1998 roku na konferencji w Belgii został przedstawiony projekt zatytułowany „Réintroduction de l'aurochs-reconstitué en Mazurie". Ostatnio projekt ten doczekał się nawet publikacji[1]. Jego prezentacja jak i zabiegi przygotowujące realizację wywołać muszą najwyższe zaniepokojenie.

Od kilku już lat w Zachodniej Europie sprzedawana jest rasa bydła nazywana, przez instytucje zajmujące się jej komercjalizacją „turem", „turem Hecka", „zregenerowanym turem". Jak wiadomo ostatnie tury niestety wyginęły w 1627 w Puszczy Jakotorowskiej. Jeśli tury wyginęły w siedemnastym wieku to w jakiż sposób mogą być prezentowane, „wypuszczane na wolność", a nawet sprzedawane Polsce?

W okresie międzywojennym bracia Heck, dwójka prominentnych niemieckich zoologów prowadziła w berlińskim i monachijskim ogrodzie zoologicznym doświadczenia nad regeneracją tura. Był to okres naznaczony w historii przyrodoznawstwa badaniami nad możliwością regeneracji zagrożonych i wymarłych zwierząt. Odbudowa populacji bizona w Stanach Zjednoczonych, białowieska restytucja żubra, prace profesora Vetulaniego nad konikami polskimi i tarpanem, pobudzały nadzieję i inspirowały podobne doświadczenia. W przypadku

1. „Disparition de l'aurochs en Pologne au XVII siecle et projet de 'réintroduction' de l'aurochs-reconstitué en Mazurie" Guintard C., Reversk J. w: „Animaux perdus, animaux retrouvés: réapparition ou réintroduction en Europe occidentale d'espèces disparues de leur milieu d'origine, Liege 1999.

tura sytuacja była przecież jednak diametralnie różna niż bizona czy żubra. Od nieomal trzystu lat nie istniał żaden żyjący przedstawiciel tego gatunku. W dodatku wiedza o turze oparta o stare opisy przyrodnicze i fragmentaryczne dane paleontologiczne była bardzo niekompletna. Opinie specjalistów na temat wyglądu tura i jego statusu biologicznego były nierzadko sprzeczne. Heck wybrał przedstawicieli kilku ras bydła i starał się krzyżując je między sobą otrzymać zwierzę o cechach, które dość arbitralnie uznał za „turze" lub przynajmniej prymitywne. Doświadczenie Hecka było już w jego czasach bardzo krytykowane i oczywiście nikt z poważnych specjalistów nie uznawał „krowy Hecka" za tura. W polemice z Heckiem przyrodnicy różnych specjalizacji wykazali, że otrzymany mieszaniec bardzo odbiega od tego co wiemy na temat tura, a także iż regeneracja tura jest genetycznie niemożliwa.

Doświadczenia Hecka były jednak prowadzone w bardzo specjalnym kontekście historycznym. W Niemczech do władzy doszli hitlerowcy i „tur" jako element starogermańskiej mitologii jak i ze względu na zainteresowanie „doświadczeniami nad czystością ras" stał się przedmiotem szczególnej troski władz i tak wkrótce „krowa Hecka" przekształciła się w starogermańskiego tura rodem wprost z „Opowieści o Nibelungach". Adolf Hitler honorował swoją obecnością imprezy organizowane przez Hecka. Marszałkowi rzeszy Goeringowi zawdzięczamy pierwsze wypuszczenia na wolność „odrodzonych dzięki wysiłkom Rzeszy i fürhera turów" czyli po prostu owych krów Hecka. Podobnie zresztą jak i tysiącletnia Rzesza populacja tych zwierząt nie była w stanie utrzymać się w naturze nawet przez kilka lat i to pomimo „specjalnej ochrony" jaką otaczano cały ten propagandowy cyrk.

Sam Heck nie ograniczył się do wykorzystania panującej dla niego koniunktury do kontynuowania badań czy też choćby nawet do politycznego uzasadniania tego naukowego oszustwa ale stał się wysokim urzędnikiem państwowym, jednym z najważniejszych doradców Hitlera. Związany już w okresie Republiki Weimarskiej ze skrajnie nacjonalistyczną prawicą, Heck oddawał hitlerowcom nieocenione usługi biorąc aktywny udział w „naukowym" uzasadnianiu teorii rasistowskich, a także pracując dla hitlerowskiego aparatu propagandy i „tłumacząc", że to dzięki nazistom przyroda jest właściwie chroniona. Oszustwa Hecka jak choćby propagandowy cyrk przedstawiania stada żubrobizonów i bizonów jako żubrów (tak dzięki nazistom liczba ocalałych żubrów ulegała „cudownemu" powiększeniu), jak i celowe pomijanie międzynarodowego (głównie zresztą polskiego) wysiłku akcji ratowania tego gatunku, podobnie jak „fałszywy tur", zostały zdemaskowane i ośmieszone już kilkadziesiąt lat temu.

Po agresji niemieckiej na Polskę Heck zaplanował, zorganizował i nadzorował rabunek kolekcji przyrodniczych i rezultatów badań naukowych m.in. stada doświadczalnego koników polskich profesora Tadeusza Vetulaniego z Białowieży. Niemieccy przyrodnicy uczestniczący w przestępstwach wojennych Trzeciej Rzeszy zostali potępieni przez międzynarodową społeczność naukową. W Niemczech, poddanych przymusowej denazyfikacji, również „krowa Hecka" utraciła swój „starogermański rodowód" i statut „zregenerowanego tura", a sam Heck nie zajmował już żadnych funkcji ani w administracji ani oczywiście w międzynarodowych organizacjach przyrodniczych. Wydawało się, że cała ta historia „tura Hecka" stanie się co najwyżej ciekawostką historii nauki i że nikt na serio nie będzie więcej przedstwiał owego nieszczęsnego mieszańca kilku ras bydlęcych jako tura.

Tymczasem w ostatnich latach owe hitlerowskie propagandowe oszustwo przeżywa swoją „drugą młodość". Oczywiście owa naukowa szarlataneria polegająca ne fałszowaniu statutu owego mieszańca i świadomym ukrywaniu historycznego kontekstu zatraciła swój ideologiczny wymiar, zyskując nowy, tym razem czysto komercjalny. Dzisiaj, dzięki modzie na ekologię, a także *science-fiction* rodem z filmów Spielberga, dużo łatwiej jest sprzedawać „wymarły gatunek zregenerowany dzięki wysiłkom nauki" niż jakąkolwiek z kilkuset innych ras bydlęcych.

Przedstawiony projekt „introdukcji Hecka" zasługuje także na refleksję ekologiczną. W pierwszej wersji projektu znajdowały się kardynalne błędy przyrodnicze świadczące o profesjonalnej niekompetencji jego autorów jak np. sygnalizowanie na Mazurach obecności gatunków nigdy w tym regionie nie stwierdzonych, gatunków w ogóle nieistniejących (!), przyrodnicza charakterystyka Puszczy Boreckiej przedstawiona po prostu skandalicznie, nieuwzględnienie powszechnie zna-

nych, a posiadających fundamentalne znaczenie prac polskich przyrodników, elementarne błędy z dziedziny biologii gatunku. Po krytycznym komentarzu tego projektu niektóre z tych błędów zostały częściowo skorygowane. Niemniej projekt jako taki „ostał się" i niestety nadal nam grozi jego realizacja.

Realizacja projektu jest nieodpowiedzialna z ekologicznego punktu widzenia. Nie zapominajmy iż bez względu na manipulacje lingwistyczne jak i „logiczne akrobacje" towarzyszące sprzedaży „bydła Hecka", w rzeczywistości chodzi jedynie o wypuszczenie stada krów w jednym z najwartościowszych z przyrodniczego punktu widzenia obiektów Polski. W przypadku Puszczy Boreckiej, gdzie żyje populacja żubrów i szereg innych ssaków roślinożernych nie istnieje żadne racjonalne z ekologicznego punktu widzenia uzasadnienie wypuszczenia na wolność stada bydła domowego. Skutki podobnej działalności są trudne do przewidzenia i spowodować mogą niepowetowane straty.

W pierwszej wersji projektu zadziwiał także brak udziału jakiejkolwiek polskiej instytucji naukowej. W wersji opublikowanej pojawiły się nazwy dwóch instytucji, które podobno pragną uczestniczyć w realizacji tego projektu. Nie ma wśród nich instytucji wyspecjalizowanych w badaniach fauny i flory ani instytucji związanych z problematyką ochrony przyrody tego regionu. Celowo nie podaję nazw instytucji rzekomo pragnących uczestniczyć w realizacji tego dziwnego projektu. W związku z fałszywym turem opublikowano już bardzo wiele kłamstw. Nie bardzo wierzę w to, że w Polsce znajdą się naukowcy gotowi swoim imieniem uwierzytelniać podobną historię.

Cała ta historia ma jeszcze jeden zadziwiający aspekt. Otóż normalnie tego typu akcje (ingerencje w przyrodę poprzez introdukcję zwierząt czy roślin) wymagają zgody polskiej administracji. W projekcie nie ma najmniejszego śladu konsultacji czy też pytania o zezwolenie polskich władz. Jest to szokujący przykład arogancji wobec legalnych instytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Oszustwo naukowe, rehabilitacja hitlerowskiego przestępcy wojennego, arogancja i nieliczenie się z legalnymi polskimi władzami, bezsensowny i ekologicznie niebezpieczny projekt wywołać muszą nie tylko zaniepokojenie, ale wręcz ostry sprzeciw. Nie zapominajmy także, że polska przyroda aby być prawidłowo chronioną wymaga sporych nakładów finansowych (częściowo zagranicznych) i nie wolno dopuścić aby nieuczciwe projekty wygrywały konkurencję z inicjatywami wartościowymi. Nie wolno dopuścić aby traktowano Polskę jak trzecioświatowy kraj bezprawia, gdzie aby zarobić trochę pieniędzy wszystko jest dopuszczalne.

Piotr DASZKIEWICZ

Na równi pochyłej

W *Tygodniku Polskim*, najpopularniejszym periodyku australijskiej Polonii, pojawiła się ostatnio na stronie tytułowej kolumna pt. *News in brief*. A na stronicy drobnych ogłoszeń można już znaleźć inseraty w języku angielskim.

To ma swoją poważną wymowę – że półwieczny tygodnik założony przez księdza Konrada Trzeciaka zaczyna wchodzić w nową fazę, w początek „odpadania" czytelników polskojęzycznych. Fakt uznany może ze smutkiem przez redaktora – że niektórzy prenumeratorzy domagają się tekstów w języku angielskim. A jeżeli jeszcze nie proszą o to wyraźnie i gromadnie, to widocznie redakcja ma podstawę do przypuszczenia, iż tacy czytelnicy istnieją i muszą być brani pod uwagę. I że w ten sposób można będzie przyciągnąć innych, którzy zastąpią rzednące szeregi starszych polonusów.

Oczywiście te przemiany nie nastąpią szybko, ani zbyt jaskrawo. To nie jest kwestia miesięcy – raczej lat. Lecz te pierwsze jaskółki mają swoje znaczenie – wyraźnego procesu kulturowego, ważnego dla każdego redaktora czasopisma emigracyjnego. Jeżeli poniżej będę pisał o tym problemie w pierwszym rzędzie w odniesieniu do Australii, to głównie dlatego, że znam teren dokładnie, od podszewki – jako długoletni współpracownik tutejszej polskiej prasy i jako stały obserwator.

Gdy mowa o *Tygodniku Polskim* (w dalszym ciągu określanym jako *Tygodnik*) to także przykładowo, albowiem problem „odpadania" czytelników polskojęzycznych jest istotny także poza Australią.

Tygodnik był kiedyś – i w znaczącym stopniu wciąż jest – szanowanym organem polskiej opinii publicznej na obszarach piątego kontynentu. Tu, jak i na innych kontynentach, periodyki polskie zaczęły ukazywać się po zakończeniu drugiej wojny światowej. W owych latach masowej migracji pismo w języku ojczystym było niezbędnym pokarmem duchowym każdego imigranta, gdy nagle znalazł się w obcym środowisku, w kraju którego język był dla większości nowo przybyłych niezrozumiały i niełatwy do opanowania. W tych warunkach powstanie prasy polskiej (i innojęzycznej) było naturalne i nieuniknione.

Lecz tu natykamy się na interesujący fenomen. Pomimo, że ilość imigrantów polskich można było liczyć na dziesiątki tysięcy, to jednak nakład nowo powstałych periodyków nie przekraczał kilku tysięcy. Przyczyną był fakt, którego do dziś nie są chętni uznać nasi redaktorzy: że czasopisma były wydawane prawie wyłącznie dla inteligencji – nie dla szarego ogółu. Szczupłość nakładów była najwyraźniejszym tego potwierdzeniem.

I tak jest też obecnie. Gazetki wciąż są redagowane jeżeli nie dla elity, to dla *soi-disant* pięknoduchów. A tych jest coraz mniej. Po prostu wymierają. Zaś nowe pokolenie jest w znacznym stopniu zasymilowane – ale nie wynarodowione. Więc dla nich zaczynają się pojawiać stałe kolumny i okazyjne teksty w języku niepolskim. Mamy nawet w Australii periodyk z tytułem półangielskim. Zadanie redaktorów emigracyjnych komplikuje się i nie należy do łatwych. Kurczą się nie tylko wiekowe grupy prenumeratorów, ale też współpracowników polskojęzycznych odpowiedniej klasy. Natomiast pojawiają się już ochotnicy do pisania w obcym języku dla narodowych wydawnictw. Te panie i tych panów trzeba pielęgnować, orzeźwiać ich literackie ambicje, pamiętać że to są korzonki przyszłej Polonii światowej.

Cooma, kwiecień 1999

Adam NASIELSKI

Sąsiedzi

Ukraina w opałach bałkańskiej wojny

Wojna NATO na Bałkanach uderzyła Ukrainę podwójnym rykoszetem: politycznym i materialnym. Bombardowanie Serbii wywołało polityczny protest nie tylko ze strony komunistów i pokrewnych im ugrupowań. Sięgnęło szerzej i głębiej, rozbudziło zdawałoby się uśpione nastroje przeciwko „agresywnemu sojuszowi", grożącemu „stabilizacji pokoju w Europie". Nie trzeba zapominać, że Ukraina była najeżona rakietami skierowanymi zarówno przeciwko Europie Zachodniej jak Stanom Zjednoczonym. Był to więc teren na wypadek trzeciej wojny światowej szczególnie ważny. Stąd też chodziło o psychologiczny trening społeczeństwa ukraińskiego, które w „razie razów" winno było popierać zrzucanie rakiet na wrogi obóz ale też w razie odpłatnych cięgów atomowych Zachodu z cierpliwością lub żądzą zemsty znosić straty ludzkie i zniszczenia materialne. Stąd też stopień orwelowskich ćwiczeń z ukraińskimi obiektami tumanienia był chyba najsilniejszy.

Kierownictwo NATO nie bardzo to pojęło i faktycznie nie podjęło żadnej kontrakcji wyjaśniającej czy raczej perswadującej. Zresztą sprawa ta była równie skandalicznie zaniedbana podczas bombardowań Serbii w sensie wielkiej akcji informacyjno-wyjaśniającej Serbom przyczyny interwencji militarnej. NATO posiada co prawda – jedyny zresztą na wschodzie Europy – ośrodek informacyjny w Kijowie, ale jego aktywność jest czysto fikcyjna. A w danym wypadku należało rozwinąć ogromną działalność przeciwstawienia się

fali oskarżeń i przeinaczeń faktów. Pronatowska administracja prezydenta Kuczmy nie sprostała zadaniom. Dała się zepchnąć w ślepy kąt i nikt, dosłownie nikt, z rządowej elity nie podjął się zadania wyjaśnienia przyczyn i skutków tragedii kosowskiej. Jest to jedna z najdotkliwszych klęsk ukraińskiego obozu demokracji i kursu na Amerykę i Zachód.

Dwaj politycy zdawali sobie sprawę, czym to wszystko pachnie. Przewodniczący Urzędu Bezpieczeństwa Narodowego, Horbulin, pełniący funkcję podobną do czynności Kissingera czy Brzezińskiego w USA: człowiek z szerokim horyzontem ale pozbawiony tej siły przebicia, którą mieli jego dwaj amerykańscy poprzednicy. Drugim politykiem, który od razu zrozumiał niebezpieczeństwo był minister spraw zagranicznych, Tarasiuk, który ma dobre rozeznanie w sytuacji międzynarodowej i zasadniczo zdrowe i ciekawe koncepcje, ale jeszcze mniejsze szanse przeforsowania swych planów niż wspomniany Horbulin.

Minister Tarasiuk podjął jako pierwszy rolę pośrednika w konflikcie z Belgradem i udał się do Miłoszewicza. Minusem tej misji było niedostateczne ubezpieczenie w organach NATO i ONZ. Szlachetna idea utknęła na niechęci Zachodu. Ukraina wydała się im jako zbyt słaba na takie zadania, Kijów przegrał szansę na rzecz Rosji, a głównymi grabarzami kijowskiej mediacji okazali się Niemcy.

Amerykanie też nie zrozumieli sensu ukraińskiej inicjatywy. O pomocy ze strony Anglików i Francuzów z miejsca nie było mowy. W ten sposób akcja Tarasiuka dostała w łeb. A to podnieciło obóz lewicy do zaostrzenia akcji skierowanych na sparaliżowanie prozachodniej polityki Kuczmy, Horbulina i Tarasiuka. W parlamencie doszło do dzikich scen. A w prasie podjęto akcję zniesławiania NATO. W żadnym piśmie nie ukazały się bezstronne analizy sytuacji. Nikt nie podjął się zadania zdemaskowania szowinistycznej polityki Miłoszewicza. Nikt nie przedstawił tragedii kosowskich Albańczyków, ich konsekwentnego dyskryminowania, a potem zbrodniczego mordowania.

Podnieśli głowę rzecznicy „słowiańskiego" i „prawosławnego" porozumienia. Pod protektoratem przewodniczącego parlamentu Tkaczenki odbyła się konferencja parlamentów Rosji, Ukrainy, Białorusi i Jugosławii pod hasłem integracji i

wspólnoty interesów. Był to program kontrastu wobec prezydenta Kuczmy, który zawarł porozumienie ze Wspólnotą Niezależnych Państw w Mińsku w dziedzinie współpracy ekonomicznej bez zmiany stanowiska obserwatora i zgodził się, aby ukraiński premier Pustowojtenko przyjął stanowisko przewodniczącego Rady. Jelcynowi to wystarczyło, ale nie Tkaczence w Kijowie, który postanowił utrącić akcje Kuczmy w Moskwie i wykorzystać awanturę bałkańską do ofensywy o stołek prezydenta. Postawił na umiarkowanych rosyjskich komunistów z Dumy i Senatu, Selezniowa i Strojewa, intymnych przeciwników szefa rosyjskiej komuny Zjuganowa, przewodniczącego parlamentu Białorusi Małofiejewa i szefa Skupsztiny w Belgradzie, Bożowicza. Wszyscy wypowiadali się sprytnie, że nie trzeba rezygnować z suwerenności, ale należy zacieśnić więzy gospodarcze, Zachód nas nie chce gdyż „jesteśmy słowiańskim własnym światem", „prawosławnym" – dodał gość z Belgradu.

Wtórują im eksponenci orientacji „euro-azjatyckiej". Ich zdaniem koncepcja związków Ukrainy z Zachodem, doznała klęski. „Zachód nas nie chce" – mówili panowie „Euroazjaci", nawet wybitni naukowcy, jak członek Akademii Nauk, archeolog Tołoczko. Inny rzecznik tej orientacji, oświadczył że „nie ma się z kim integrować bo dzisiejsza Rosja to Rosja kolektywnego Rasputina, a Ukraina też taka sama". Ameryka, która „wyzbyła się wszelkich wartości moralnych, sprowokowała wojnę na Bałkanach w imię neoliberalizmu – oświadczył dyrektor Instytutu Światowej Ekonomii Parachomow.

Ukraina przez wojnę bałkańską poniosła ogromne straty materialne, przede wszystkim na skutek zniszczenia żeglugi dunajskiej. Ukraina używała tej arterii wodnej dla większości eksportów do Austrii, Niemiec i Francji. Zbombardowanie mostów na Dunaju zlikwidowało ruch ukraińskiej floty dunajskiej. Straty na miarę ukraińskich potrzeb i możliwości są ogromne, ponad 4 miliardy dolarów. Kto i jak je wyrówna? Tymczasem Ukrainy nawet nie przyjęto w poczet państw objętych paktem stabilizacji na Bałkanach.

Wojnę na Bałkanach politycznie i materialnie wygrała Rosja. Mimo prowokacyjnych akcji jak zajęcie lotniska w Pristinie, nieustannej obrony reżymu Miłoszewicza, Jelcyn został przyjęty na spotkaniu Wielkiej Siódemki rozwiniętych

krajów jak dobry car i z wdzięczności za łaskawy udział w okupacji Kosowa, Rosja mimo kryzysu ekonomicznego i politycznego chaosu, została na wniosek kanclerza Niemiec, Schroedera, uznana jako równoprawny członek klubu możnych tego świata. Moskwie obiecano szeroką pomoc gospodarczą. Próby dyplomacji ukraińskiej uwzględnienia postulatów Kijowa zostały uduszone.

Kłopoty z Niemcami

Jeszcze nie tak dawno bano się – szczególnie w postendeckich kręgach polskich – flirtu niemiecko-ukraińskiego. Były to czcze strachy. Druga wojna światowa i czasy powojenne zniszczyły gruntownie dawne wzajemne ciągotki. A były przecież ongiś duże sympatie, ale raczej jednostronne, bo ukraińskie, bez należytej wzajemności. W pierwszej wojnie światowej Ukraińcy, głównie galicyjscy, postawili na kartę austriacko-niemiecką, ale otrzymali znikomą nagrodę. Szczytem owych koneksji był Układ Pokojowy w Brześciu nazywany nie bez kozery „traktatem zbożowym", bo Niemcy za cenę poparcia terytorialnych aspiracji Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR) spodziewali się dużych dostaw żywności dla Rzeszy. Dobrze układały się – ale bardzo krótko – stosunki pomiędzy Cesarzem Wilhelmem II i zalążkiem ładu monarchistycznego na Ukrainie pod przewodem hetmana Skoropadskiego. Po raz pierwszy w historii ów arystokrata ukraiński był przyjmowany w Berlinie z wszelkimi honorami. Ale prawdę mówiąc Skoropadski nie był germanofilem, jego sympatie szły w zupełnie innym kierunku: do Anglii.

Wszystko skończyło się strasznym flopem, prawie równym z klęską sojuszu polsko-ukraińskiego. Potem przyszły dziwne lata. Galicyjscy Ukraińcy przywiązali swój wóz polityczny rewanżu wobec Polaków po przegranej wojnie o Lwów do niemieckiego rydwanu rewizji granic powersalskich. Niemcy weimarskie i potem hitlerowskie traktowały Ukraińców wyłącznie instrumentalnie jak pionka w grze o zniszczenie Polski. I choć tajnie podtrzymywały wodza organizacji integralnego nacjonalizmu ukraińskiegu OUN, Konowalca, jednak pomoc dotyczyła wyłącznie akcji antypolskich. Po dziś

dzień pogrobowcy OUN nie chcą przyjąć do wiadomości, że Berlin zabronił im wywrotowej działalności na terytorium Ukrainy sowieckiej. Z tego tragicznego paradoksu ukraińska historiografia nacjonalistyczna dotychczas się nie wyzwoliła, a historiografia kijowsko-lwowska od początków niepodległości, nie może się z tym tematem uporać.

W okresie Republiki Weimarskiej stosunki niemiecko-ukraińskie rozwijały się na trzech polach. Pierwszym było jątrzenie przeciwko Polsce z celem wykorzystania czynnika ukraińskiego jako najsilniejszej mniejszości dla destabilizacji układów międzynarodowych i zapoczątkowania rozmaitych wariantów upadku niepodległości Polski. Niemcy mieli dwóch partnerów: OUN i premiera ukraińskiego rządu galicyjskiego Petruszewycza. Pierwszy był bardzo aktywnym, drugi raczej fikcyjnym. Konkurentem ich był były hetman Skoropadski, który usiłował w Berlinie rozbudować kulturę i sztukę ukraińską na emigracji jako przeciwwagę do ustroju komunistycznego. Jego plan nie został w pełni urzeczywistniony, ale powstał Ukraiński Instytut Naukowy jako placówka wolnej myśli i nauki. I był wreszcie trzeci kierunek szerokiej współpracy naukowców, pisarzy, ludzi sztuki pomiędzy ówczesną stolicą Ukrainy sowieckiej Charkowem i Berlinem, z okresu jeszcze nie „rozstrzelanego" odrodzenia.

Przyjście do władzy Hitlera i przejście Stalina do masowego terroru na Ukrainie zakończyło okres niemieckiej przyjaźni z Ukraińcami. Ale władza „austriackiego" wodza nad Niemcami, wywołała wśród naiwnych galicyjskich patriotów złudną nadzieję, że przybysz z Wiednia ukróci pruskie sympatie do sowieckiej Rosji i postawi na ukraińską kartę. Nikt z nich nie czytał ewangelii wodza „Mein Kampf" gdzie wszystko było wyłożone bez ogródek. Nic dziwnego, że kiedy jeden z nielicznych znawców polityki hitlerowców, dziennikarz Zenon Pełeński, autor broszury „Płowowłosa bestia" (chodziło o ideał „germańskiego" człowieka a nie o podobiznę raczej południowca Hitlera) w odczycie dla ukraińskiej inteligencji Lwowa w 1938 roku zapowiedział straszne prześladowania Żydów, Polaków i Ukraińców, musiał uciekać tylnym wyjściem przed oburzoną publicznością...

Wojna potwierdziła prognozę Pełeńskiego. Milion zamordowanych i zagłodzonych jeńców, dwa i pół miliona

przymusowych robotników, milion ofiar na froncie i zniszczony kraj. Był to bilans, który zniweczył kompletnie proniemieckie złudy Ukraińców, a u Niemców wywołał dwojakie odruchy. U nielicznych wstyd i wyrzuty sumienia, a u większości kompleks milczenia i zapomnienia. Taka postawa sprawiła, że w odróżnieniu od poczucia winy wobec Żydów i w pewnym sensie w stosunku do Polaków, Ukrainę wyłączono z tego programu zadośćuczynienia. Zwyciężyła koncepcja niedrażnienia Moskwy „sprawą ukraińską", bo zjednoczenie Niemiec będzie zależało w przyszłości wyłącznie od Kremla. Takie stanowisko pozostaje nadal i po zjednoczeniu, chociaż pod innymi hasłami i auspicjami.

Natomiast niepodległa Ukraina nie zdobyła się nigdy na odwagę zaprezentowania Niemcom kartoteki strat. Rezultatem tego było lekceważenie państwa ukraińskiego w porównaniu z Rosją zarówno politycznie jak i materialnie. Niemcy stosowali wobec Ukraińców swego rodzaju protekcjonalne poklepywanie po plecach lub powtarzanie do niczego nie zobowiązujących frazesów o „doniosłej roli Ukrainy" w Europie. Ale inwestycje niemieckie w porównaniu z Rosją, Polską lub Czechami były nikłe, a inicjatywy Brzezińskiego, Kissingera i Kwaśniewskiego by przyciągnąć Niemcy do współpracy z Ameryką i Polską w niesieniu pomocy i budowaniu partnerstwa z Ukrainą, nie znalazły poparcia w Bonn. Początkowo zaczęło się dość szybko rozwijać partnerstwo z Bawarią, ale obecny bawarski szef rządu Stoiber rozpoczął – dodajmy po raz pierwszy w historii – romans z Moskwą i wychwala pod niebiosa rolę tamtejszego burmistrza Łużkowa, który nie ukrywa nienawiści wobec Ukrainy.

Dawne rządy chadeckie w Bonn trzymały się z daleka od Ukrainy, dopiero w ostatnich latach ówczesny kanclerz Kohl przekonał się o potrzebie wciągania państwa ukraińskiego w procesy integracji europejskiej. Ale żaden z polityków ukraińskich nie potrafił zdobyć przyjaźni tego męża stanu, jak to umiał załatwić Borys Jelcyn. Mimo to pod koniec kadencji Kohla szanse Ukrainy na pogłębienie stosunków z Niemcami wyraźnie się polepszyły. Wprowadzono system stałych spotkań konsultacyjnych na szczycie, zapowiedziano kredyty na modernizację dwóch elektrowni atomowych w Równym i Chmielnickim (dawny Płoskirów), przystąpiono do utworzenia Niemiecko-Ukraińskiego Forum podobnego do od dawna istniejących w stosunkach z Polską i Rosją, rozpoczęto organizowanie ukraińskiej redakcji w ramach państwowej radiostacji „Deutsche Welle", która od wielu lat nadaje program dla zagranicy prawie dla wszystkich krajów, z wyjątkiem Ukrainy.

Po jesiennych wyborach w ubiegłym roku nastąpiła zmiana rządów. Z początku wydawało się, że koalicja socjaldemokratów i zielonych uwolni się od balastu jednostronnych związków z Rosją i potraktuje z większym zrozumieniem dezyderaty Kijowa. Stało się inaczej. Kanclerz Schroeder, który zrazu pojechał do Warszawy i do Moskwy, zignorował zaproszenie z Kijowa. Minister spraw zagranicznych Fischer, otwierając przygotowane przez poprzedni rząd Forum Niemiecko-Ukraińskie wypowiedział kilka zdawkowych zdań o znaczeniu Ukrainy dla Europy i na tym się skończyło. Niebawem skreślono pieniądze na audycje ukraińskie a w przededniu konferencji Wielkiej Siódemki wraz z Rosją w Kolonii większość parlamentarna jednogłośnie unieważniła kredyty na modernizację ukraińskich siłowni atomowych. Kijów został kompletnie zaszokowany. Nikt się tam nie liczył z tego rodzaju brutalną akcją. Kanclerz Schroeder pragnął nawet namówić zachodnich liderów popierających ukraińskie plany modernizacji, aby się gremialnie razem z jego rządem odżegnali od tej pomocy na rzecz Ukrainy. Na dobitek firmy niemieckie, które pod presją Żydów amerykańskich postanowiły wydzielić jakieś odszkodowania dla żyjących jeszcze byłych niewolników w gospodarce wojennej Niemiec, proponują ustalenie kwoty zasiłków według aktualnych emerytur w poszczególnych państwach. Na Ukrainie, gdzie pozostało przy życiu najwięcej, bo około 600.000 tych niewolników, oferta koncernów niemieckich wywołała rozgoryczenie i oburzenie, oznaczałoby to odszkodowania, w granicach od 50 do 70 dolarów – za cztery lata katorżniczej pracy i sterane życie.

Wszystko to mało interesuje niemiecką opinię publiczną, po części również dlatego, że Ukraina nie wykształciła silnych partii demokratycznych, które mogłyby się ubiegać o partnerstwo i stymulować niemieckich kolegów w parlamencie, jak również z powodu zupełnego braku ukraińskiego *lobby*. Moi

ziomkowie zamknęli się od początku w monachijskim getcie i nigdy z niego nie wyszli. W paradoksalny sposób po odzyskaniu niepodległości spotkały się, mimo geograficznej odległości i odmiennego ideologicznego rodowodu, dwa getta: kijowskie i emigracyjne, tak bliźniacze, że nie sposób je od siebie odróżnić. Jak na razie tylko jedna wpływowa gazeta niemiecka *Sueddeutsche Zeitung* w Monachium bije na alarm i zwraca uwagę, że taka polityka izolowania i ignorowania prozachodnich rządów ukraińskich idzie na rękę Moskwie i czyni w przyszłych wyborach prezydenckich możliwym zwycięstwo przeciwników Kuczmy, którzy razem i każdy z osobna, są przeciwko reformom i Zachodowi. Bardzo to jest przykre ale niestety prawdziwe.

20 czerwca 1999

Bohdan OSADCZUK

Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: Na wschodzie Niemiec oficjalny wskaźnik bezrobocia był w czerwcu br. niemal dwukrotnie wyższy niż w landach zachodnich, gdzie wynosił on 9%. ■ Gospodarcza odbudowa Niemiec Wschodnich jest nadal priorytetowym zadaniem rządu RFN. Z tego powodu redukcja wydatków z kasy federalnej w wysokości 30 miliardów marek w roku 2000 nie ma dotknąć nowych landów. ■ Zdaniem ekspertów Instytutu Badań Gospodarczych w Halle IWH wschodnie landy muszą nastawić się na redukcję subwencji z kasy federalnej. ■ Udział Niemiec Wschodnich w eksporcie ogólnoniemieckim wyniósł w roku ubiegłym tylko 3,7%. ■ W latach 2000-2006 Unia Europejska wyasygnuje 20 miliardów euro na wspomaganie gospodarki na terenie byłej NRD. Oznacza to wzrost z obecnie 160 na 195 euro w przeliczeniu na głowę

mieszkańca. ■ Niemiecki eksport do Polski wzrósł w roku ubiegłym o dalszych 16,7% do 24,1 miliarda marek, zaś import z Polski o 14,5% do 16,4 miliarda marek. Niemcy eksportowały głównie maszyny (4.556 milionów marek), produkty chemiczne (2.883 miliony marek), pojazdy (2.028 milionów marek); oraz tekstylia (2.011 milionów marek), sprowadzały zaś przede wszystkim odzież (2.263 milionów marek), meble, biżuterię, instrumenty muzyczne, sprzęt sportowy i zabawki (2.028 milionów marek) oraz metale i wyroby przemysłu metalurgicznego (1.499 milionów marek). ■ Jak wynika z wskazówek niemieckiego MSZ, rząd niemiecki ostrzega obywateli RFN przed możliwością utraty rzeczy osobistych, dokumentów i pieniędzy oraz samochodów podczas podróży do Polski. Zawarte w nich uwagi wskazują także na coraz częstsze przypadki kradzieży pojazdów po zastosowaniu przemocy wobec kierowców i pasażerów oraz za pomocą sfingowanych wypadków samochodowych czy też konieczności udzielenia pomocy leżącym przy drodze rzekomym ofiarom. „Wskazówki" niemieckiego MSZ brzmią wprawdzie jak ostrzeżenie przed wyjazdem do Burundi lub Czeczenii, ale w rzeczywistości potwierdzają tylko stan faktyczny i powinny zaalarmować nie tylko potencjalne ofiary, lecz przede wszystkim rząd Polski. Bez koniecznych działań przeciwko bandytom i złodziejom na polskich drogach i ulicach inwestycje na turystykę i promocję Polski za granicą to wyrzucone pieniądze. ■ Z danych niemieckiego MSW wynika, iż liczba przestępstw w Niemczech spadła w roku ubiegłym w porównaniu do roku 1997 o 2%. O około 5% wzrosła natomiast liczba przestępstw popełnionych przez dzieci i młodocianych. Procentowy udział cudzoziemców w niemieckiej statystyce kryminalnej wyniósł 27,1%, natomiast bez uwzględnienia wykroczeń „typowych dla cudzoziemców", jak np. naruszeń prawa azylowego wynosił on 21,7%. ■ Niemiecka organizacja pomocy dla głodujących na świecie *Deutsche Welthungerhilfe* zebrała w roku ubiegłym rekordową sumę 61,8 milionów marek dla potrzebujących, tj. 30% więcej niż w roku 1997. ■ Wyrokiem Sądu Administracyjnego w Münster, urzędnicy państwowi mianowani w Niemczech mają prawo kandydować z ramienia skrajnie prawicowej partii Republikanów, ponieważ partia ta nie jest zabroniona. ■ Z badań Centrum Naukowego w Berlinie WZB wynika, iż w latach 1990-1997 spadło w Niemczech poparcie dla demokracji jako formy rządzenia. Przed 9 laty w landach zachodnich uważało tak 81%, a we wschodnich 41%. W roku 1997 wskaźniki te wynosiły 69% i 23%. ■ W 9 lat od

zjednoczenia Niemiec w landach wschodnich niejasne są jeszcze kwestie roszczeń własnościowych w odniesieniu do 200.000 nieruchomości. Na wyjaśnienie czeka też 500.000 spraw o odszkodowania i rekompensaty. ■ Bundestag przeforsował ustawę zezwalającą na podwójne obywatelstwo w przypadku dzieci imigrantów urodzonych w Niemczech do czasu ukończenia przez nich 23 roku życia, kiedy muszą zdecydować się tylko na jedno obywatelstwo. ■ W roku ubiegłym liczba aborcji wzrosła w Niemczech o 0,7% do 131 795. ■ 19 kwietnia niemiecki Bundestag oficjalnie przeniósł swą siedzibę z Bonn do Berlina, gdzie będzie obradował w przebudowanym gmachu Reichstagu. ■ Z okazji 50 rocznicy powstania RFN prezydent Rosji Jelcyn w liście do prezydenta Niemiec Herzoga i kanclerza Schrödera określił stosunki rosyjsko-niemieckie mianem podstawy stabilności europejskiej, stwierdzając m.in. iż ponowne zjednoczenie Niemiec było możliwe dzięki demokratycznym przemianom w Europie Wschodniej. ■ Z badań przeprowadzonych wśród 3000 niemieckich młodocianych w wieku od 13 do 29 lat wynika, iż tylko 17% przyznaje się do wiary chrześcijańskiej. W egzystencję Boga jako osoby wierzy tylko co dziesiąty młodociany, a dla niemal co trzeciego badanego życie jest celem samym w sobie. ■ Podczas tegorocznych uroczystości z okazji „Dnia Ojczyzny", jakie odbyły się w Berlinie, przewodnicząca Związku Niemieckich Wypędzonych BdV Erika Steinbach powiedziała w swym wystąpieniu, iż tragedia w Kosowie, gdzie mają miejsce masowe wypędzenia setek tysięcy osób, każe ponownie spojrzeć na tragedię, jaką przeżyły po II wojnie światowej miliony wypędzonych Niemców. Steinbach, która podczas swego przemówienia wielokrotnie odwoływała się do sytuacji na terenie byłej Jugosławii, stwierdziła wręcz, iż za przyczyną czystek etnicznych w Kosowie, „słowo wypędzenie stało się na nowo politycznie poprawne po tym, jak przez dziesięciolecia starano się go unikać dla dobra polityki porozumienia z krajami w Europie Środkowej i Wschodniej". Ponownie zażądała też, by warunkiem przyjęcia z Polski i Czech do Unii Europejskiej było odcięcie się tych krajów od decyzji o wypędzeniu. W udzielonym mi wywiadzie Steinbach dodała, iż „należy zlikwidować niesprawiedliwość spowodowaną wypędzeniem. Ważne jest, by ludzie w nowe tysiąclecie wkroczyli pojednani. Nasz Związek chce takiego pojednania, ale Unia Europejska nie może importować dekretów o wypędzeniu, a wszystkie państwa aspirujące do członkostwa w Unii muszą je odrzucić". Obecny na uroczystości minister spraw wewnętrznych z partii SPD (uprzednio w Partii Zielonych) Otto

Schilly dokonał krytyki postawy partii lewicowych w stosunku do wypędzonych, stwierdzając m.in.: „Nie da się niestety temu zaprzeczyć, iż polityczna lewica przez pewien czas nie chciała dostrzegać przestępstw okresu wypędzenia ani milionowych cierpień, jakich doświadczyli wypędzeni, czy to z braku zainteresowania, czy też z obawy przed krytyką i posądzeniem o rewanżyzm. Albo także z błędnego przekonania, iż przez przemilczanie i wypieranie szybciej dojdzie do porozumienia z naszymi sąsiadami na Wschodzie". Słów krytyki minister Schilly nie oszczędził też partiom prawicowym, którym zarzucił m.in., iż problem wypędzenia Niemców starały się traktować w sposób wyizolowany z kontekstu historycznego. Po wkroczeniu do Polski we wrześniu 1939 roku niemieckie władze rozpoczęły masowe deportacje i wypędzenia ludności polskiej. Odbywało się to zgodnie z dewizą, iż w celu stworzenia zamkniętego obszaru niemieckiego na terenach Wielkopolski konieczne są przemieszczenia ludności na największą skalę". Jako przedstawiciel rządu federalnego minister Schilly zapewnił poparcie dla działalności organizacji wypędzonych. Liczyć na nie może także przedstawiony przez Erikę Steinbach projekt, który przewodnicząca Związku Wypędzonych przedstawiła podczas swego przemówienia, deklarując wolę porozumienia i pojednania wypędzonych z państwami, które dokonały wypędzenia: „My wypędzeni chcemy tu w Berlinie, w samym sercu Republiki utworzyć centrum przeciwko wypędzeniom. Historia, kultura i cierpienia niemieckich wypędzonych mają w nim służyć za przykład i być ostrzeżeniem. Mają zapobiegać wypędzeniom na całym świecie i uwrażliwiać wspólnotę międzynarodową. Ma to być miejsce pojednania i porozumienia między narodami". ■ Podczas swej prywatnej wizyty u ustępującego prezydenta Niemiec Romana Herzoga prezydent Aleksander Kwaśniewski podziękował mu „za współpracę i wielkie dzieło, jakie wniósł do współpracy polsko-niemieckiej, pojednania polsko-niemieckiego" i nawiązał do dwóch wydarzeń, które, jak stwierdził, zapisane są w historii polsko-niemieckiej. „Pierwsze z nich to wystąpienie prezydenta Herzoga 1 sierpnia 1994 roku z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego, które zapisało się głęboko w pamięci Polaków, drugie wydarzenie, to spotkanie z prezydentem Herzogiem na niemieckim okręcie „Lubeck", który stał w tym samym miejscu, gdzie swego czasu „Schleswig-Holstein" zaczął ostrzeliwać Westerplatte, i gdzie mówiliśmy nie tylko o historii, ale właśnie o potrzebie budowania nowej przyszłości dla naszych narodów. I niech te dwa fakty będą symbolicznym wymiarem wielkiej

pracy, wielkiego wkładu, który prezydent Herzog wniósł do stosunków polsko-niemieckich". Prezydent Herzog stwierdził, że zawsze był przekonany, iż między Niemcami i Polską muszą być zbudowane takie stosunki, jakie stworzone zostały między Niemcami i Francją za czasów ich poprzedników. Zaś współpraca i serdeczna przyjaźń, jaka powstała między nim a prezydentem Kwaśniewskim z całą pewnością wniosła sporo do tego dzieła. ■ KULTURA I POLONICA: We Frankfurcie nad Odrą z udziałem 300 przedstawicieli starszego pokolenia z Polski i Niemiec odbył się pierwszy Niemiecko-Polski Dzień Seniora. ■ W programie niemieckiego wydawnictwa ROSPO Verlag znalazły się także polskie pozycje; wśród nich w osobnych edycjach eseje Pawła Huelle, Krzysztofa Rutkowskiego, Jerzego Stempowskiego, opowiadania Nataszy Goerke, tom wierszy Leszka Szarugi oraz proza i wiersze Adama Zagajewskiego. ■ W Hanowerze odbyły się obchody 20 lat działalności tamtejszego Towarzystwa Niemiecko-Polskiego. ■ 10 lat swej działalności uroczystym koncertem uczcił działający przy berlińskim Towarzystwie Niemiecko-Polskim 60-osobowy chór niemiecko-polski „Spotkanie". ■ Nakładem wydawnictwa W. Kohlhammer Verlag Stuttgart ukazała się książka pod redakcją Martina Greschata pt. „Niemieccy i polscy chrześcijanie. Doświadczenia w dwóch dyktaturach". ■ Fundacja dla Polski oraz *Deutsche Kinder- und Jugendstiftung* w dziesiątą rocznicę upadku Muru Berlińskiego urządziły w Berlinie międzynarodowe spotkanie młodzieży pod hasłem „Europa bez granic". Uczestniczyły w niej delegacje młodzieży z 10 krajów, m.in. z Czech, Polski, Estonii, Litwy, Finlandii, Niemiec i Hiszpanii. ■ W dniach od 3 do 10 maja odbywał się w Berlinie szeroko zakrojony program imprez pod nazwą *„Polnische Woche"* – „Polski tydzień", zorganizowany przez kierownika Przedstawicielstwa Ambasady RP Jerzego Margańskiego i kierownika Polskiego Instytutu w Berlinie Sławomira Tyca. Był on największą do tej pory polską imprezą w stolicy Niemiec. Uczestniczyli w nim przedstawiciele życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego z Polski i Niemiec. Największą część programu stanowiły bardzo liczne imprezy kulturalne, stanowiące wizytówkę kultury polskiej końca XX wieku, m.in. koncerty, wystawy sztuki, dyskusje i odczyty. Wystąpił chór kameralny kościoła prawosławnego z Wrocławia oraz znani polscy jazzmani. Ekspozycje plastyczne uświetniła wystawa prac Franciszka Starowieyskiego oraz zbiorowa wystawa prac plastycznych w Polskim Instytucie Kultury w Berlinie, obejmująca malarstwo, grafikę, rysunek i rzeźbę. Kilka punktów

programu w ramach „Tygodnia polskiego" przygotowano też w Gubinie, Frankfurcie nad Odrą i Słubicach. We Frankfurcie odbędzie się m.in. trzydniowa konferencja na temat ekstremizmu skrajnie prawicowego w Polsce i Niemczech, zorganizowana przez niemiecko-polski klub dziennikarzy o wymownej nazwie „Pod stereotypami" oraz studenckie święto „Juwenalia 1999". Ważnym akcentem politycznym w ramach „Polskiego tygodnia" był wykład Tadeusza Mazowieckiego pt. „10 lat po mszy pojednania w Krzyżowej". Jak stwierdził były premier, wspólne kroki i działania podjęte w minionej dekadzie przez oba rządy stanowią trwałą podstawę rozwoju dobrosąsiedzkich stosunków. W udzielonym mi wywiadzie Tadeusz Mazowiecki podkreślił znaczenie kultury dla zbliżenia polsko-niemieckiego w tym również „Tygodnia polskiego" w stolicy Niemiec. ■ Günter Grass wystąpił w Getyndze w czasie wieczoru autorskiego z fragmentem swej jeszcze nie opublikowanej książki „Mein Jahrhundert" (Mój wiek). ■ W Międzynarodowym Teatrze we Frankfurcie nad Menem odbyły się występy Elżbiety Ryl-Górskiej, kwartetu jazzowego East West Wind oraz grupy „Świetliki". ■ W dniach od 22.03.99 do 01.04.99 na zamku Schloss Trebsen koło Lipska odbyły się kolejne praktyczne zajęcia szkoleniowego warsztatu konserwatorskiego z udziałem specjalistów z Niemiec i Polski, m.in. K. Gałka i J. Jakubca. ■ W ramach spotkań poświęconych doświadczeniom wypędzonych Polaków i Niemców w Bibliotece Publicznej w Chojnie zorganizowano wystawę pt. „I wtedy nas wywieźli. Wędrówki po obszarze pamięci. O wypędzenia Polaków i Niemców", która będzie następnie pokazywana w innych miejscowościach po obu stronach granicy polsko-niemieckiej. ■ Były prezydent Bundestagu, pani Rita Süssmuth odmówiła ostatecznie kandydowania na stanowisko rektora Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą.

Andrzej STACH

Kronika białoruska

W ramach obchodów dziesiątej rocznicy zakończenia „Okrągłego stołu" Białoruskie Kolegium oraz Instytut Polski zorganizowały seminarium, w którym wzięło udział, ze strony polskiej, czterech dziennikarzy z *Gazety Wyborczej*. W ożywionej dyskusji zabrali głos niezależni politycy białoruscy oraz dziennikarze. W spotkaniu wzięło udział ok. osiemdziesięciu osób. ■ W dniach 15-16 czerwca odbyło się otwarcie międzynarodowej konferencji naukowej, „Droga ku wzajemności", zorganizowanej przez Centrum F. Skaryny i Instytut Polski oraz katedrę filologii białoruskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Konferencja była poświęcona polsko-białoruskim związkom literackim, językowym, folklorystycznym, socjologicznym, religijnym, oświatowym i kulturalnym. W konferencji wzięło udział czterdzieści osób z Mińska, Homla, Mohylewa oraz dziesięciu gości z Polski, m.in. Basil Tychoniuk z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, prof. Aleksander Barszczewski z Uniwersytetu Warszawskiego oraz kilku profesorów z Lublina. ■ W dniach od 16 do 23 czerwca b.r. przebywał w Mińsku prof. Daniel Próchniak, który miał wykłady na Europejskim Uniwersytecie Humanistycznym o historii współczesnej sztuki polskiej. Pobyt prof. Próchniaka zakończył całoroczny cykl wykładów poświęconych polskiej sztuce. ■ 21 czerwca w Filharmonii Białoruskiej w Mińsku odbył się koncert poświęcony prezentacji muzyki współczesnej kompozytorów polskich.

Kronika kulturalna

Kontakt '99

Międzynarodowy festiwal teatralny Kontakt w Toruniu zawsze fascynował swą otwartą formułą, umożliwiającą udział bardzo różniących się od siebie teatrów z wielu stron świata. W formule tej m.in. zawsze mieścił się teatr lalkowy. Tym razem realia bieżącej polityki nie oszczędziły festiwalu. Lalki... nie dojechały. Lalki z Białorusi. Spektakl „Lipawiczki" Obwodowego Teatru Lalek z Grodna – oparta na bajce ludowej opowieść o tym jak diabełki zakłócają życie spokojnym ludziom – został już w zeszłym roku zakazany przez władze, które dopatrywały się aluzji do białoruskiej sytuacji. Miał jednak przyjechać na Kontakt, lecz w ostatniej chwili pod absurdalnym pretekstem pozwolenie cofnięto. Uczestnicy mogli natomiast obejrzeć w toruńskim teatrze Baj Pomorski, pokazany w ramach imprez towarzyszących, doskonale zrobiony spektakl „Don Kichot" według Cervantesa w reżyserii Ondreja Spišaka.

Na podstawie spektakli pokazanych w tym roku można było odnieść wrażenie, że organizatorzy zbliżyli nas (nie wiem, czy świadomie) do granic teatru i zmusili do poszerzenia samej jego definicji. Przyjechał mianowicie New T.I.D.E. – Nowy Tradycyjny Tubylczy Zespół Tańca z Sydney ze spektaklem „50. Millenium". Ale to, co zaprezentowali australijscy Aborygeni i ich biały reżyser Vitek Czernuszyn, jest raczej informacyjnym programem etnograficznym o tradycyjnych tańcach. Aborygeni wykonywali je w plenerze, narrator objaśniał ich znaczenie, była też projekcja na ekranie. Czy był to więc teatr? Szekspir napisał, że „Świat cały jest sceną", można więc powiedzieć, że wszystko jest teatrem.

Skoro tańce te zrodziły się z wierzeń, a oprócz uczestników miały i widzów... Wszak europejski teatr też wyłonił się z obrzędów religijnych...

Czy można było uważać za teatr czeski spektakl „Słodko i mądrze" zespołu Divadlo Rokoko z Pragi w reżyserii Ondřeja Pavelki? Trudno się było dopatrzyć akcji dramatycznej czy określonego wątku w tym widowisku muzycznym, rozgrywającym się w gospodzie, przez którą przewija się cała galeria postaci pijących piwo, wino i śpiewających. Protagonistą jest samo miejsce, w którym odbywa się ów kabaret. A więc i kabaret jest teatrem. Nagroda festiwalowa dla twórcy najlepszej oprawy dźwiękowej była zatem zasłużona...

Może najdalej przekroczył granicę teatralności angielski zespół Forced Entertainment z Sheffield spektaklem (?) „Quizoola!" Składa się on z 1500 pytań i odpowiedzi w wykonaniu dwojga aktorów (zamieniających się co jakiś czas „rolami") i trwa sześć godzin, bez przerwy. Nie oczekuje się jednak, że widzowie tyle odsiedzą: mogą wchodzić i wychodzić w dowolnym momencie. Po pierwszych kilku minutach pomyślałem, że wyjdę po kwadransie. Wyszedłem po dwóch godzinach i tylko dlatego, że musiałem iść na inny spektakl. Napisane pytania dotyczą wszelkich możliwych spraw i dziedzin: od banalnych, poprzez politykę, geografię, sport itd., po najbardziej osobiste i intymne. Odpowiedzi na te pytania – ankietę, wywiad, przesłuchanie? – są najwyraźniej spontaniczne i szczere; pytający przeważnie przechodzi do następnego tematu, ale czasem drąży jeden, gdy wyczuwa, że nie otrzymał prawdziwej odpowiedzi. Ta najprostsza forma (teatru?) wciąga, choć nie jest sztuką dramatyczną. Miałem ogromne wątpliwości, gdy dowiedziałem się, że coś takiego przyjeżdża na festiwal. Sprawdziło się. Zresztą tak wygląda dialog w angielskich sztukach: jest tak przekonywający i naturalny. O, Anglicy to potrafią. Istotnie – wszystko może być teatrem. Docenili to widzowie i jurorzy. „Quizoola!" otrzymała drugą nagrodę festiwalu.

Jak ogień z wodą mieszały się na tym festiwalu konwencje i style zwłaszcza w obrębie klasyki. Wystawiając ją, reżyserzy uważają, że w erze postmodernizmu muszą ją za wszelką cenę unowocześnić. Tego się zresztą oczekuje, a utalentowanym reżyserom to się nawet udaje. I tak, główną nagrodę

festiwalu oraz nagrodę dla najlepszego reżysera otrzymał litewski twórca Eimuntas Nekrošius za spektakl Szekspirowskiego „Makbeta", zrealizowany w jego studiu Meno Fortas w Wilnie. Nekrošius jest już od dawna idolem Kontaktu i tym razem też nie zawiódł oczekiwań, dając spektakl intrygujący, oszałamiający niesamowitą wyobraźnią, nie zawsze jasną symboliką, rozbudowanymi działaniami scenicznymi, zbyt powolnym tempem. „Makbet" jest najkrótszą z tragedii Szekspira – pełny tekst grany tradycyjnie dałby spektakl na dwie i pół godziny. Przedstawienie Nekrošiusa trwa – ponad cztery, mimo znacznego okrojenia tekstu. Sztuka jednak na tym nie ucierpiała, bo jej najgłębsze znaczenia reżyser wydobył poprzez wizualny ekwiwalent. Nieortodoksyjne ekspresjonistyczne podejście dało w efekcie utwór bardzo współczesny. Nekrošius odrzucił cały sztafaż rycerski królewskiego dworu, w istocie – wszelką dosłowność. Postacie w czarnych kapotach toczą w ponurym świecie walkę o władzę, która jest iluzją. Makbet (przejmująca kreacja Kostasa Smoriginasa) to zagubiony człowiek, pogrążony w fantazjach wiedźm – rozchichotanych dziewcząt, które właściwie sam wymyślił. „Makbet" Nekrošiusa jest może najbardziej idiosynkratyczną wizją tej sztuki, jaką widziałem, ale takiej należało się spodziewać po jednym z największych indywidualistów w teatrze europejskim, który parę lat temu pokazał równie „własnego" – „Hamleta".

Nie zrobiła natomiast większego wrażenia druga pozycja litewska „Hedda Gabler" w wykonaniu Akademickiego Teatru Dramatycznego z Kowna. Jej reżyser Gintaras Varnas chciał pokazać, że Ibsena można wyciągnąć z salonu i konwencjonalnych dekoracji, a tekst grać lekko, jak sztukę współczesną. Terenem akcji był długi wąski chodnik z jasnymi ekranami w tle. Nie pomogły jednak efekty sceniczne, spektakl był za długi, nieco ślamazarny, jakby aktorom brakowało energii.

Jako ambitną klęskę należy określić „Katerinę Iwanowną" Leonida Andrejewa w reżyserii Swietłany Wragowej, zaprezentowaną przez Teatr Modern z Moskwy. Postczechowowska sztuka zapomnianego dziś (poza Rosją) dramaturga modernizmu została zagrana z werwą i swoistą perfekcją, tyle że był to styl aktorstwa dość już przebrzmiały. Ponadto bogata

„wystawa" – najpierw secesyjna, a może biedermeierowska, potem kiczowato orientalna – byłaby nawet śmieszna, gdyby nie to, że z powodu konieczności zmian tych naturalistycznych dekoracji antrakty były równie długie jak poszczególne akty. Chyba po raz pierwszy na Kontakcie spektakl rosyjski sprawił zawód.

Istniejący od sześciu lat teatr mniejszości węgierskiej w Beregowie na Ukrainie Zakarpackiej był już na Kontakcie w r. 1997 z „Mordem w katedrze" Eliota. Tym razem obejrzeliśmy „Tragedię człowieka" Imre Madàcha (1823-1864). Reżyser Attila Vidnyanszky zrealizował ów faustowski dramat, w którym Lucyfer i Adam zmagają się o duszę człowieka (a przy okazji przechodzą przez „skrócony kurs" historii świata) prostymi środkami scenicznymi (w odróżnieniu od Rosjan tylko pusta przestrzeń i funkcjonalne rusztowanie). Młody zespół grał swego klasyka z zapałem i pełnym przekonaniem, ale spektakl nieco przytłoczył widzów. (Nie inaczej reagowałoby cudzoziemskie audytorium na „Dziady" oglądane w upalne popołudnie w dusznej sali.) Myślę jednak, że warto zapraszać na Kontakt tych młodych Węgrów z Ukrainy, kształconych częściowo w specjalnie utworzonym węgierskim wydziale aktorskim Instytutu Teatralnego w Kijowie, a częściowo w Instytucie Teatralnym w Budapeszcie, co jest rzadkim przykładem współpracy dwóch krajów na rzecz mniejszości etnicznej.

Zdania były podzielone w ocenie spektaklu „Morderczyni" według powieści Alexandrosa Papadiamantisa z 1903 r., wykonanego przez Theatro Politeia z Aten (reżyser Sotiris Hadzakis). „Teatr z myszką" – to tytuł jednej z recenzji, „Medea 1999" – to tytuł innej. Przychylam się raczej do pierwszej opinii. Współczesna opowieść o wieśniaczce – zabójczyni dziewczynek, stylizowana na tragedię antyczną, została podana jako statyczny teatr o tematyce socjalnej (bohaterka zabija te dzieci, by oszczędzić im życia w nędzy), ale są też elementy obrzędowości. Przedstawienie to ratują walory poetyckie i prostota. Nasuwają się analogie do „Klątwy" Wyspiańskiego. Mnie stylistyka ta przypomniała, że za moich studenckich czasów w Anglii tak właśnie wystawialiśmy poetyckie sztuki irlandzkie – Yeatsa czy Synge'a. Jednak od tej pory upłynęło pół wieku...

Dziwnym trafem podobnej tematyki, choć zupełnie inaczej potraktowanej, dotyczył jeden z wielkich sukcesów festiwalu (pominięty przez jury, ale obdarzony nagrodą dziennikarzy i nagrodą Uniwersytetu M. Kopernika) spektakl „Ślad węża na skale" Estońskiego Teatru Dramatycznego z Tallina. Akcja sztuki Torgny Lindgrena, opartej na szwedzkiej powieści, toczy się w ubogiej wiejskiej rodzinie. Wcześnie owdowiała kobieta „dziedziczy" długi męża. Zadłużenie rośnie, a wynikiem zależności od wierzycieli są płodzone z nimi jej dzieci. Opowieść, która podana realistycznie byłaby może nie do zniesienia, reżyser Priit Pedajas i jego aktorzy przekazali w sposób skrótowy, metaforyczny, aktorsko perfekcyjny. W efekcie otrzymaliśmy spektakl wzruszający i nacechowany humanizmem.

Od klasyki, ocierającej się o współczesność, przejść trzeba do festiwalowej awangardy. Nie doceniono licznych, moim zdaniem, zalet „Tendencji" Rafała Benedeka, w wykonaniu szwedzkiego Teatru Replica. Spektakl, wyreżyserowany przez polskiego twórcę Jurka Sawkę, od r. 1970 zamieszkałego w Sztokholmie, miał charakter w większości pantomimiczny, odznaczał się imponującą precyzją i tempem. Szczególnie frapujące było zakomunikowanie widzowi jak człowiek używa i nadużywa swego ciała. Ćwiczenia gimnastyczne, zbliżenia miłosne, pozy, taniec, strojenie się, ubieranie i rozbieranie, robienie min, tycie i odchudzanie, przemoc, zabijanie. Można by wprawdzie postawić zarzut, że tego rodzaju przedstawienie, oparte na etiudach, jest już przebrzmiałą awangardą, ale jego podstawowe treści bynajmniej nie utraciły aktualności.

Nagroda za scenografię przypadła hiszpańskiemu, a właściwie katalońskiemu Teatrowi Sèmola za spektakl „Esperanto", którego autorem i reżyserem jest Joan Grau. To również jest spektakl pantomimiczny w typowym dla zespołów katalońskich anarchicznym i surrealistycznym stylu. Widzowie są atakowani bez przerwy oszałamiającymi obrazami rytuałów narodzin i śmierci, przemocy i wynaturzeń, zaczerpniętymi z rodzimej tradycji. Na myśl przychodzi Salvador Dali, a wśród postaci spektaklu jest nawet ktoś, kto artystę przypomina. Nie wszystkim krytykom spektakl się podobał, ale widzowie przyjęli go entuzjastycznie.

Jednakże najbardziej bulwersującym i, moim zdaniem,

najlepszym, obok „Makbeta", był ostatni spektakl festiwalu - „Ogień w głowie", 23-letniego autora Mariusa von Mayenburga, zainscenizowany przez jednego z najbardziej wybijających się dziś reżyserów europejskich – 30-letniego Thomasa Ostermeiera. Zasłynął on z przedstawień w studio Baracke, istniejącym przy Deutsches Theater w Berlinie, ale spektakl pokazany na Kontakcie Ostermeier wyreżyserował w hamburskim Deutsches Schauspielhaus. Choć jury przyznało mu tylko trzecią nagrodę główną (a grająca w nim Judith Engel otrzymała jedyną nagrodę aktorską festiwalu), nader trafna była decyzja warszawskiego tygodnika *Polityka* przyznania mu nagrody „za spektakl najlepiej odzwierciedlający niepokoje naszych czasów".

„Ogień w głowie" jest znakomicie napisaną sztuką o rozkładzie rodziny we współczesnym zamożnym społeczeństwie. Nie jest to przy tym sztuka z tezą. Dorastające dzieci i ich rodzice są równie bezradni i zagubieni wobec wyzwań życia w naszym świecie. Rodzice nie są w stanie zapobiec, a dzieci obronić się przed swą narastającą agresją, prowadzącą do obsesji podpaleń i morderstw. Celność obserwacji młodego autora i umiejętne łączenie tradycyjnej dramaturgii z nowoczesnymi technikami są imponujące. Ostermeier precyzyjnie poprowadził swych świetnych aktorów na trzech planach scenicznych sugerujących salon, sypialnię i łazienkę, zarazem wyizolowanych od otoczenia i oświetlonych jaskrawym światłem tak, że poszczególne sceny mają zarazem charakter psycho-anatomicznej sekcji.

Jak na tym różnorodnym tle wypadły teatry polskie? Jak na zamówienie poszły po linii współczesnej klasyki z wciąż aktualnym wydźwiękiem. Materiału dostarczyli: Gombrowicz, Kajzar i Mrożek. Istniejący od 20 lat z górą lubelski teatr alternatywny Provisorium i nowy zespół, też z Lublina – Kompania „Teatr", przywieźli na Kontakt adaptację „Ferdydurke" w reżyserii swoich szefów – Janusza Opryńskiego i Witolda Mazurkiewicza. W malutkiej, lecz przemyślnie zakomponowanej przestrzeni scenicznej czwórka aktorów, operując dialogiem, gestem, mimiką, świet-nie przekazała podstawowe wątki powieści Gombrowicza. Spektakl ogólnie się podobał i słusznie otrzymał nagrodę „za oryginalną formułę teatru".

Gospodarze, czyli toruński Teatr im. Wilama Horzycy, pokazał poza konkursem sztukę przedwcześnie zmarłego Helmuta Kajzara (1941-1982) „Paternoster" w reżyserii Marka Fiedora. „Paternoster" z r. 1969 jest jego pierwszą sztuką, o charakterze autobiograficznym. Jej bohater Józio opuszcza wieś i wchodzi w świat miejskiej cywilizacji, po latach wraca do rodziców jako swoisty syn marnotrawny. Są w tej sztuce echa „Ślubu" Gombrowicza, jest satyra na polskie fobie i snobizmy. Przede wszystkim Kajzar analizuje kondycję współczesnego człowieka – artysty, drąży problemy pokoleniowe, w poetyce zbliżonej do surrealizmu. Inscenizacja Fiedora bazuje na scenografii „elektronicznej" i krótkich, rwanych scenkach, oddając sprawiedliwość – wówczas nowemu – językowi dramaturgicznemu autora. Dobrze się stało, że Teatr Horzycy zwrócił się ku twórczości Kajzara, i mam nadzieję, że także inne jego utwory (choćby „Gwiazda", czy „Villa dei misteri") zostaną przypomniane, zwłaszcza że nie ma jakoś urodzaju na nową dramaturgię, traktującą o polskich problemach współczesnych.

Chyba ta właśnie myśl przyświecała Jerzemu Jarockiemu, gdy na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu zrealizował spektakl „Historia PRL według Mrożka", oparty na fragmentach sztuk naszego najważniejszego powojennego dramaturga. Są tu sceny z „Pieszo", „Zabawy", „Emigrantów", „Portretu" i nieudanej „Alfy". Scenariusz obejmuje też piosenki „z epoki" (m.in. o Stalinie i Rokossowskim), śpiewane przez zetempowców na podniosłej akademii „ku czci" w okresie „błędów i wypaczeń." Sporo uwagi poświęca scenariusz internowaniom w stanie wojennym; sceny w „internacie" są jakby „przerywnikiem", a zarazem stanowią „czas realny" akcji. Nie ulega kwestii, że spektakl ten powstał jakby „zamiast" nieistniejących sztuk rozrachunkowych o czasach PRL-u. Po wrocławskiej premierze zdania były podzielone. W Toruniu nie wywołał większego echa, a zagraniczni goście może wszystkiego z niego nie zrozumieli. Ja natomiast nie byłem chyba właściwym odbiorcą tego spektaklu. Wraz z rówieśnikami oglądałem ongiś premiery kolejnych sztuk Mrożka, przeważnie z zachwytem; sztuk pisanych i wystawianych (po użeraniach się z cenzurą) w okresach, do których się odnosiły. Teraz nie mogła mnie zadowolić poszatkowana składanka fragmentów.

Jarocki jest jednak świetnym artystą, i byłem zadowolony z możliwości obejrzenia jego antologijnej próby rozrachunku z PRL-em.

W konkluzji należy stwierdzić, że po częściowej zapaści w zeszłym roku, Kontakt znowu stanął mocno na nogach. Kontynuując tę metaforę – jeśli nawet nie było tym razem spektakli zbijających widzów z nóg, było sporo dobrych, a nie było ewidentnych pomyłek. Ponadto, wobec różnorodności propozycji, jakie widzom przedstawiono, można powiedzieć, że formuła Kontaktu się sprawdziła i że istotnie – „wszystko jest teatrem". Dbać trzeba jedynie o to, by był to – dobry teatr.

Bolesław TABORSKI

Nagroda Śląska 1999

W tym roku obok pochodzącego ze Śląska pisarza i ilustratora Janoscha, któremu przyznano główną nagrodę „Kulturpreis Schlesien" landu Dolnej Saksonii, laureatami nagród drugiego stopnia zostali kompozytor prof. Witold Szalonek, malarz i pisarz Henryk Waniek oraz muzykolog i organista prof. Rudolf Walter.

Pochodzący z Polski, a mieszkający od 1971 roku w Berlinie Witold Szalonek urodził się w roku 1927 na terenie Górnego Śląska. Po studiach kompozycji w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach pracował tam jako asystent, a następnie jako profesor. W roku 1957 został członkiem rzeczywistym Polskiego Związku Kompozytorów. W latach 60-tych należał do polskiej awangardy muzycznej, która otworzyła się ku Zachodowi i spowodowała zwrot na polskiej scenie kulturalnej. W roku 1970 objął kierownictwo Wydziału Teorii Kompozycji, a dwa lata później został wybrany na stanowisko rektora Wyższej

Szkoły Muzycznej w Katowicach. Z powodu manipulacji władz komunistycznych nie przyjął tego stanowiska. W latach 1970/71 przebywał w Berlinie Zachodnim na stypendium Niemieckiej Służby Wymiany Akademickiej DAAD. W roku 1973 powołano go na stanowisko profesora zwyczajnego w dziedzinie kompozycji i teorii w Berlińskiej Wyższej Szkole Muzycznej i zdecydował się na stałe pozostać w Berlinie

A.S.: – *W tym roku przyznano Panu obok pisarza i malarza Janoscha nagrodę Kulturpreis Schlesien. Jakie ma ona dla Pana znaczenie?*

W.Sz.: – Jako dla Ślązaka, Polaka, znajdującego się w ustawicznym, permanentnym szpagacie między Berlinem i Katowicami, jest to szczególnie ważne wyróżnienie. To jest jedno zauważenie mojej działalności tutaj, zresztą nie tylko jako kompozytora i nie tylko jako pedagoga Wyższej Szkoły Muzycznej – wprawdzie obecnie na emeryturze, niemniej przecież 20 lat wykładałem kompozycję – ale po prostu m.in. uznanie tego, co było dla mnie właściwie sprawą jedną z najważniejszych, czyli budowanie mostów porozumienia między Polakami i Niemcami poprzez Śląsk, który ma zupełnie szczególne znaczenie w tej materii. Tu chcę zaznaczyć, że mówi to syn, którego ojciec był więźniem Mauthausen-Gusen. Mówię też o tym bazując na doświadczeniach, jakie ja sam miałem również z Niemcami, a mam wielu serdecznych przyjaciół także Niemców. Myślę także o przyszłości! – zbliża się rok 2000 i jako członek Guardini Stiftung marzę o przetłumaczeniu „Bolesława Chrobrego" Antoniego Gołubiewa, który o tych sprawach polsko-niemieckich tysiąc lat temu wspaniale pisze w tej książce. I uważam, że po tysiącu lat ta komitywa, nazwijmy to w ten sposób, która istniała między Bolesławem Chrobrym a Ottonem III, ta możliwość porozumienia polsko-niemieckiego i uszanowania się nawzajem i swoich walorów mimo odmienności, ona w tej chwili zaistniała. I to jest dla nas i dla Niemców ogromną szansą. I na to kładę ogromny nacisk. Kiedy ta książka będzie przetłumaczona, nie wiem. Niemcy jej niestety nie znają, ale dla mnie była to bardzo ważna książka, m.in. biorąc pod

uwagę tę moją działalność jako w pewnym sensie pośrednika.

A.S.: – *Wspomniał Pan o przejściach swojej rodziny, która miała do czynienia z Niemcami akurat z tej najgorszej strony. Co Pana skłoniło do tego, że Pan osiadł w Berlinie, kiedy Panu zaproponowano stypendium DAAD?*

W.Sz.: – Proszę Pana, moi rodzice są wypędzonymi z Zaolzia przez Czechów. Rodzice władali językiem niemieckim jako Zaolzianie, wprawdzie z tym akcentem austriackim. Ja ten język znałem z dzieciństwa i znałem tzw. zdobycze kultury. Myśmy mieszkali do 1939 roku w Łagiewnikach Śląskich, to jest w tej chwili przedmieście Bytomia, ale kiedyś była to samodzielna gmina. Ten Bytom niemiecki znajdował się w dole, a Łagiewniki wisiały nad nim. I stąd te kontakty polsko-niemieckie były tam bardzo ożywione. To, że ojca hitlerowcy wzięli do obozu, to dlatego, że wykazywał się cechą właściwą Polakom, tzn. umiłowaniem wolności. Ale byli Niemcy, którzy nam wtedy pomogli. Mówiłem, że ojciec był w Mauthausen-Gusen, to była maszyna śmierci. Stamtąd rzadko kto wracał, a on jednak wrócił dzięki takim przyjaciołom niemieckim.

A.S.: – *Czy prowadzi Pan obecnie działalność dydaktyczną i artystyczną również na Śląsku?*

W Sz.: – Ja już jestem na emeryturze, taki 72-letni starszy pan. I ubolewam nad tym, że ogranicza to troszeczkę, bo fizycznie niejednokrotnie nie wytrzymuję, ale gdzie mnie tylko poproszą, tam jadę. Właśnie wróciłem z Wrocławia, gdzie miałem wykład w Akademii Muzycznej. Zresztą z wrocławską Akademią mam bardzo żywe kontakty.

A.S.: – *Jak Pan widzi działalność kulturalną Polonii berlińskiej?*

W.Sz.: – Może powiem o sprawach muzyki, którymi się zajmuję. Ta nasza scena w Berlinie właściwie się dopiero organizuje. Pan wie, jak to z Polakami bywa: każdy tę karocę ciągnie w swoją stronę. Ja to w pewnym sensie rozumiem. (...) Mamy tutaj bardzo wybitnych artystów, że choćby

wspomnę dwóch koncertmistrzów tak wspaniałych orkiestr, jak orkiestra Opery Berlińskiej, gdzie jest Tomasz Tomaszewski, czy Berliner Philharmoniker, gdzie koncertmistrzem jest Daniel Stabrawa, oraz kilku innych jak np. pan Taubitz. Ta scena jest dosyć nasycona i nasyca się, bo przecież muzykalność Polaków jest znana; wykształcenie, jakie im daje wyższe szkolnictwo polskie, jest znakomite, i dlatego wygrywają konkursy na znaczące stanowiska w zespołach niemieckich. Tylko czasu nie ma, bo każdy jest zajęty swoimi rzeczami. Ja trochę ubolewam nad tym, ale to trzeba też rozumieć. Myśmy z Tomkiem Tomaszewskim założyli nawet przed wielu laty Stowarzyszenie Polskich Muzyków w Berlinie, które liczyło 30 osób. Ale potem na te zebrania przychodziło 5, 6 osób. I właściwie nie można było niczego rozwinąć w dalszym ciągu. Ale ja przypuszczam, że ta najważniejsza praca dla muzyki polskiej w dalszym ciągu ma miejsce, tylko że na zasadzie grzybni. Tego nie widać, to jest wszystko w ziemi, pod próchnicą, aż nagle gdzieś wyskoczy i zaowocuje np. jakimś koncertem. Poza tym do tej działalności dobrze zabierają się też amatorzy. Tutaj muszę szczególnie podkreślić działanie pana Andrzeja Głowackiego, który wpadł na pomysł i założył „Andante spianato", czyli towarzystwo popierające utalentowaną młodzież z kraju Chopina, którego jestem honorowym prezesem. I w tej chwili odbędzie się już piąty koncert. I trzeba posłuchać, jak te nasze dzieci grają! To znaczy grają nie tylko polską muzykę, ale w ogóle. I stworzyliśmy im możliwość, a przede wszystkim pan Głowacki, jakąś możność prezentowania się. Rośnie nam to, i chwała Bogu.

A.S.: – *Pozostańmy jeszcze przy polskiej scenie kulturalnej w Berlinie. Niedawno zmarł tragicznie polski pisarz Christian Skrzyposzek ze Śląska. Pan go znał. Jak Pan odbiera jego śmierć?*

W.S.: – Proszę Pana, jest to dramat, tym bardziej, że jest to samobójstwo. Widocznie z pewnymi rzeczami nie mógł sobie dać rady. Wiem, że cierpiał strasznie. Myśmy się kontaktowali. Te ostatnie kontakty były bardzo rzadkie, ale w czasach, kiedy żyli jeszcze Witold Wirpsza i jego żona Maryla Kurecka

organizowaliśmy z młodą chrześcijańską demokracją, z młodym odłamem tej partii, polsko-niemieckie sympozja literackie i koncerty. I w tym Skrzyposzek również brał udział. I tak, jak go wtedy poznałem, był to człowiek niezwykle złożony, trudny również w życiu na co dzień. Ale tak czasami człowieka ułomność, to znaczy choroba, piętnuje. On strasznie cierpiał z powodu potwornych problemów z kręgosłupem. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że to życie z otwartym nerwem na co dzień, w każdej sekundzie, ono potrafi zmiażdżyć psychikę i odkształcić tę psychikę. Tak że ja ten stan, który go doprowadził do popełnienia takiego aktu, jestem w stanie zrozumieć i chylę głowę przed nim, chylę czoło przed nim.

A.S.: – *Dziękuję Panu za rozmowę.*

Rozmawiał Andrzej STACH

STYPENDIA NAUKOWE KASY MIANOWSKIEGO DLA OSÓB Z KRAJÓW EUROPY WSCHODNIEJ

Stypendia z zakresu nauk przyrodniczych i ścisłych są finansowane z dotacji Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej.

Stypendia z zakresu nauk humanistycznych i społecznych są finansowane z dotacji Fundacji im. Stefana Batorego.

Stypendia mogą obejmować pobyty od 1 do 12 miesięcy. Wysokość stypendium odpowiada średniej pensji na analogicznym stanowisku w Polsce plus koszty zakwaterowania na poziomie hotelu asystenckiego. W wyjątkowych wypadkach stypendia mogą obejmować koszty podróży do i z Polski.

Wnioski o stypendia składane przez zainteresowane osoby powinny zawierać: ankietę (według załączonego wzoru), curriculum vitae, spis publikacji z ostatnich 5 lat, informację o znajomości języków, opis projektu badawczego; poparcie instytucji lub organizacji gotowych gościć stypendystę, rekomendację dwóch osób o uznanym autorytecie naukowym,

informację o innych ewentualnych źrodłach finansowania pobytu w Polsce.

Pożądane jest by składane dokumenty napisane były w języku polskim. W wyjątkowych wypadkach mogą być napisane po rosyjsku lub angielsku.

Stypendia przyznawane są w trybie konkursu.

Termin nadsyłania wniosków upływa 30 października. Ogłoszenie decyzji – 15 grudnia.

WYCIĄG Z REGULAMINU STYPENDIÓW KASY MIANOWSKIEGO

– Stypendium Kasy Mianowskiego przyznaje się badaczom spoza Polski, szczególnie z krajów Europy Środkowej i Wschodniej, z preferencją osób zatrudnionych w placówkach naukowych Europy Środkowej tych krajów.

– Stypendia przyznawane są w celu wykonania programów badawczych; projekty tych programów podlegają ocenie Kasy Mianowskiego.

– Ośrodek naukowy, który wyraża zgodę na przyjęcie kandydata, wyznacza stypendyście opiekuna naukowego.

– Każdy wniosek stypendialny jest recenzowany przez osobę wyznaczoną przez Kasę Mianowskiego. Recenzentami są, o ile to możliwe, osoby z grona Rady Naukowej Kasy Mianowskiego.

– Stypendia wypłacane są z góry do 15 każdego miesiąca w siedzibie Kasy Mianowskiego lub, stosownie do umowy, w placówce przyjmującej stypendystę.

– Stypendysta zobowiązany jest do wygłoszenia w pierwszym miesiącu swego pobytu referatu przedstawiającego zakres problematyki badawczej realizowanej przez niego w Polsce.

– Po zakończeniu programu stypendysta składa Kasie Mianowskiego sprawozdanie z przeprowadzonych badań oraz tekst (ewentualnie konspekt) zamierzonej publikacji. W publikacji należy umieścić informację, że badania te przeprowadzono dzięki pomocy Kasy Mianowskiego.

Adres Fundacji:
Kasa im. Józefa Mianowskiego
Fundacja Popierania Nauki
Nowy Świat 72, p. 109-A
Tel. (4822) 26.71.74.
PL-00-330 Warszawa, Pałac Staszica

ANKIETA STYPENDIUM
KASY IM. J. MIANOWSKIEGO
FUNDACJI POPIERANIA NAUKI

Nazwisko, imię . . . . . .
Data i miejsce urodzenia . . . . . .
Obywatelstwo . . . . . .
Adres stałego zamieszkania . . . . . .
Zawód, stanowisko . . . . . .
Miejsce pracy – nazwa, adres . . . . . .
Studia i uzyskane stopnie naukowe (nazwa uczelni, stopień naukowy, rok uzyskania) . . . . . .
Przebieg pracy zawodowej (nazwa instytucji, pełnione funkcje, lata) . . . . . .
Członkostwo w organizacjach i towarzystwach naukowych . . . . . .
Uzyskane stypendia i odbyte staże naukowe (kraj, instytucja naukowa, daty pobytu) . . . . . .
Nawiązane kontakty z polskimi instytucjami naukowymi i (lub) polskimi badaczami . . . . . .
Cel pobytu naukowego . . . . . .
Nazwa instytucji naukowej planowanego stażu (lub nazwiska badaczy polskich) . . . . . .
Planowany okres pobytu i data rozpoczęcia stażu . . . . . .
. . . . . .

Znam przepisy regulaminu stypendium Kasy im. J. Mianowskiego i zobowiązuję się je stosować.

Miejscowość, data podpis

Do ankiety stypendialnej kandydat powinien dołączyć:
– życiorys naukowy;
– spis ważniejszych publikacji własnych;
– program badań naukowych, który ma być realizowany w Polsce;
– w miarę możliwości kopie korespondencji z polskimi badaczami lub polskimi ośrodkami naukowymi, w których kandydat chciałby odbyć staż;
– jedną fotografię.

Wspomnienia

Proces Anny Rudzińskiej i Klub Krzywego Koła

Proces Anny Rudzińskiej na początku 1962 roku był ważnym czynnikiem nowego etapu w odchodzeniu ekipy Gomułki od Października.

Nie był to pierwszy w środowisku Klubu Krzywego Koła proces o kontakty z paryską *Kulturą* i jej kolportaż. W roku 1958 sądzono Hannę Szarzyńską-Rewską, geografkę. Bohaterski żołnierz AK, „Hanka" uczestniczyła w zamachu na Kutscherę jako komendantka łączniczek, obok komendanta akcji, „Lota". Później walczyła w partyzantce, a następnie w Powstaniu Warszawskim. Tu dopiero dostała Krzyż Walecznych: dowództwo AK oszczędnie dysponowało odznaczeniami. Rewska była członkiem Klubu Krzywego Koła, otrzymała wyrok w zawieszeniu za kolportaż *Kultury* paryskiej.

Anna Rudzińska wyjechała na stypendium do Francji. Nawiązała tam kontakt z Jerzym Giedroyciem i *Kulturą,* po czym wróciła do Warszawy z zamówieniami na przesyłanie książek i znalezienie tłumacza dla *Kultury*. O ile Rewska prowadziła samotniczy styl życia, do tego stopnia, że z dużym opóźnieniem dowiedzieliśmy się o jej aresztowaniu – to Rudzińska głęboko tkwiła w życiu społecznym, miała ożywione stosunki towarzyskie, przede wszystkim zaś sekretarzowała faktycznie przez długi czas Klubowi Krzywego Koła i – później – Polskiemu Towarzystwu Socjologicznemu. Również żołnierz AK, uczestniczka Powstania Warszawskiego w Kompanii B 3 Pułku „Baszta" na Mokotowie (wraz ze swym ukochanym bratem, podchorążym Bronisławem Wojciechow-

skim) – późno studiowała socjologię na Uniwersytecie Warszawskim; musiała przedtem podchować dwoje dzieci. Znalazła się w kręgu osób skupionych wokół Marii i Stanisława Ossowskich. I odtąd, po ostatnie czasy, stała się osobą-instytucją: cokolwiek organizowano, pomagała w tym. Przepisywała większość dokumentów, które wyprodukowała opozycja (świetnie pisze na maszynie) i większość czasopism, gdy zaczęły się ukazywać, przy czym starała się żadnego nie dyskryminować i żadnemu nie przyznawać wyłączności. Jej dom stał się miejscem, gdzie ludzie z KOR spotykali się z ludźmi z ROPCiO. Niezwykle obowiązkowa, pracowita, punktualna, pełna poświęcenia, o miłym usposobieniu – stała się jedną z najpopularniejszych i jedną z najbardziej ustosunkowanych towarzysko osób w środowisku. Gdy aresztowano ją, już od dłuższego czasu w jej ręku skupiała się większość spraw organizacyjnych Klubu Krzywego Koła. Toteż jej aresztowanie zauważono natychmiast i zmobilizowało ono całe środowisko.

Klub Krzywego Koła zbliżał się do swego kresu. Była to już wówczas ostatnia enklawa Października. Co tydzień, w czwartek, zbierało się kilkadziesiąt osób ze środowisk intelektualnych Warszawy, by w atmosferze pełnej wolności wypowiedzi, po referacie możliwie najkompetentniejszego prelegenta (rzadko nam odmawiano, chociaż nie płaciliśmy) – toczyć dyskusje o najważniejszych w tym czasie problemach społecznych, gospodarczych, prawnych, politycznych, filozoficznych, kulturalnych i historycznych. Wiadomo było, że w KC PZPR odbywają się konstultacje, czy już likwidować Klub. Nie spodziewaliśmy się długiego trwania. Trudno powiedzieć dziś, nie znając tajnych archiwów, jaka była logika działań bezpieki: czy wytaczając proces Rudzińskiej wywierała ona tą metodą nacisk na Gomułkę, by wydał decyzję, o likwidacji Klubu, czy też Rudzińska stała się pierwszą ofiarą rozpoczynającej się likwidacji. Tafiono w każdym razie celnie.

Jak zwykle w tych czasach, główną rolę w organizowaniu obrony odegrało dwoje adwokatów: Aniela Steinsbergowa i Jan Olszewski. Dużą rolę w sporządzaniu dokumentacji, organizowaniu ekspertyz itp. odegrał dzisiejszy profesor kryminologii, też – jak adwokaci – członek KKK, Jerzy Jasiński. Paweł Jasienica (Lech Beynar) na bieżąco uczestniczył w

pracach przygotowujących obronę Rudzińskiej.

Aniela Steinsbergowa – podobnie jak w procesie Szarzyńskiej-Rewskiej – zażądała przede wszystkim, by sąd znalazł się oko w oko z salą, na której zasiądzie elita intelektualna Warszawy, a więc po części i Polski. Zaproszenie na proces było dużym wysiłkiem organizacyjnym: z każdym należało rozmawiać osobno, przedstawiając wiarygodnie sytuację procesową. Nie jestem dziś w stanie przedstawić listy obecnych na sali, czasy się zmieniają i zapewne wyciągnę dokumentację Klubu ze schowka. Pamiętam, że na procesie byli profesorowie Kotarbińska i Kotarbiński, Ossowska i Ossowski, Szczepański, Strzelecki, seniorzy PPS i ruchu spółdzielczego: Stefan Zbrożyna i Jan Wolski, wielu pisarzy, prócz Jasienicy zapamiętałem Parandowskiego, K. Brandysa, Sandauera (!), Hertza. Tak, trzeba się dobrać do zamelinowanej dokumentacji!

Ale Rudzińską aresztowano i sądzono (ciągle z haniebnego dla komunistów Małego Kodeksu Karnego) w innym już czasie niż Rewską. Mimo posiadania dwojga dzieci, którymi winna się opiekować (była już wtedy rozwiedziona), dostała roczny wyrok, w znacznej części w końcu odsiedziany.

Jan Józef LIPSKI

Sprawa „Kultury" paryskiej

NAGRANIE Z ANNĄ RUDZIŃSKĄ ZIMĄ 1990 ROKU

W 1959 roku otrzymałam stypendium naukowe do Centre Universitaire Européen w Nancy we Francji. Pracowałam wtedy w Polskim Towarzystwie Socjologicznym, w Bibliotece Wydziału Filozoficznego UW i jednocześnie studiowałam socjologię na UW. Kierownik biblioteki, wspaniały

bibliotekarz Janusz Krajewski, poprosił, abym starała się poznać z Jerzym Giedroyciem w Paryżu, aby pomógł bibliotece uzupełnić zbiory wydawnictw *Kultury* paryskiej. Chodziło mu o wszelkie prohibity, numery *Kultury* paryskiej – cokolwiek uda się dostać.

We Francji podczas pobytu w Paryżu poznałam rzeczywiście pana Giedroycia. Ucieszył się bardzo z tej propozycji, przyniósł mi parokrotnie całe walizki książek, i do Nancy przysyłał mi co miesiąc nowy numer *Kultury,* dostałam też od niego „Doktora Żiwago", którego udało mi się przez kogoś znajomego od razu posłać do Polski. Wracając w czerwcu 1960 roku przywiozłam do Polski całą wielką pakę książek. Na lotnisku nikt się tym szczęśliwie nie interesował i książki zaraz zaniosłam Krajewskiemu do biblioteki.

Umówiłam się z Giedroyciem, że będę mu posyłała książki normalnie kupowane w księgarni, bo jemu wypadało to znacznie taniej niż zamawianie. Oczywiście, jeżeli ja je kupiłam za przysłane przez niego dolary, wypłacone mi w złotówkach przez Bank PKO, o czarnym rynku dolarowym wtedy nawet nie słyszałam. Poczta do Francji też była bardzo tania. Przysłał mi na to dwukrotnie po 120 dolarów. Trwało to ponad rok. W tym czasie dostałam od niego jeszcze kilka paczek z książkami i list z propozycją, żeby przetłumaczyć książkę Feliksa Grossa „Seizure of Political Power", która była pisana po angielsku, a on chciał ją wydać po polsku i pewnie tłumaczenie w Polsce wypadało mu taniej. Ja sama nie miałam właściwie pojęcia o angielskim, ale znalazłam osobę, która podjęła się tłumaczenia, a ja jej przyrzekłam, że nigdy nie powiem, kto to jest i do tej pory dotrzymałam słowa.

Nie wiem, jakim sposobem – czy osoby, które mi przywoziły tę książkę były inwigilowane, czy była to wina mojego gadulstwa – ale latem 1961 roku sprawami najwyraźniej zainteresowały się władze. Na początku miałam tylko niemiłe uczucie, że coś się koło mnie dzieje. Listy nagle szły bardzo długo, miałam też często uczucie, że jestem inwigilowana. Sytuacja bardzo się zaostrzyła po 13 sierpnia, po zamknięciu muru berlińskiego.

4 września czułam się bardzo nieswojo; wracając do domu miałam ze sobą akurat część tego tłumaczenia. Wjechałam na 4 piętro mojego domu na Marszałkowskiej i zobaczyłam stojących na półpiętrze trzech panów z teczkami. Na ten widok od razu zjechałam na dół, kupiłam w kiosku koperty i wysłałam notes z adresami i te teksty do mojej rodziny w Pyrach pod Warszawą. Wróciłam do domu, i zaraz rozległ się dzwonek do drzwi, weszli ci panowie z nakazem rewizji. Pierwsze ich słowa były: proszę wydać dolary i walory zagraniczne, jakie pani posiada. W życiu nie miałam ani jednego dolara, bo nawet te pieniądze od Giedroycia dostawałam w złotówkach, po 70 zł za dolara.

Pytali mnie o mój pobyt we Francji, o książkę. Przyznałam się, że zgodziłam się tłumaczyć tę książkę, w domu znaleźli 7 stron tłumaczenia, poprawiane przez moją przyjaciółkę, Janinę Frentzel, która świetnie znała angielski. Te parę stron akurat dotyczyły rewolucji na Kubie i pan Gross ogromnie chwalił Fidela Castro. Znaleźli też stosy listów, posadzili mnie przy stole i kazali je numerować, bo mieli zamiar je zabrać. Przeglądając swoje papiery doszłam do wniosku, że są dwie kartki, które chciałabym ukryć: kartka od pana Przypkowskiego z pozdrowieniami od Giedroycia i kartka z Ameryki od mojej koleżanki Zofii Kowalskiej. I udało mi się, wsunęłam je pod obrus.

W końcu oświadczyli, że muszę pójść z nimi. Włożyłam inną sukienkę, wzięłam parę drobiazgów i wyszliśmy. Na schodach powiedziałam im, że muszę jeszcze wrócić do łazienki. Wróciłam sama, wpadłam do pokoju, wyjęłam te kartki spod obrusa, podarłam i wrzuciłam je do toalety.

Zawieziono mnie do Pałacu Mostowskich na 48 godzin. Podczas pierwszej rozmowy postanowiłam, że będę mówić tylko o tym, na co mają dowody – na temat książki Grossa, bo ją znaleźli, i o przywiezieniu kilku innych i oddaniu ich do biblioteki. Kładłam nacisk na „Pornografię" Gombrowicza, w nadziei, że się tym zainteresują.

Po 48 godzinach przywieźli mnie jeszcze raz do domu, zabrali jeszcze parę rzeczy, pozwolili też zabrać mi nożyczki, jakieś drobiazgi. Zatelefonował akurat mój brat – nie pozwolili mi podejść do telefonu, powiedzieli mu, że jestem aresztowana. Kiedy wychodziliśmy, pozwolili mi kupić coś w drogerii koło domu. Spotkałam tam Marylę Wirpszową, której dzieci, podobnie jak moje wtedy, były w tym samym internacie. Mówiłam do niej tylko: ucałuj ode mnie dzieci,

ucałuj ode mnie dzieci, a ona bladła i czerwieniała, ale już była poinformowana, że coś się stało.

Rozmowy toczyły się 3 miesiące, do 4 grudnia 1961 roku. Wokół mojego pobytu w Paryżu i wokół Giedroycia, wokół ludzi, których tam spotkałam. Podkreślałam, że mam w Paryżu rodzinę i do tego starałam się ograniczyć moje zeznania. Wymyśliłam całą grupę osób, które woziły do Giedroycia te książki, zupełnie inne, niż naprawdę woziły. Te osoby były już na Zachodzie i byłam pewna, że długie lata nie wrócą. Wymyśliłam też, że książkę Grossa przyniósł ktoś pod moją nieobecność i zostawił opiekunce do dziecka, nie wiem kto. Wypytywał mnie, kto to mógł być. Każdy – powiedziałam spokojnie – nawet prof. Schaff. Więc to był profesor Schaff?– zapytał ten facet z nadzieją. Ależ nie, to mógł być każdy. Wydawało mi się, że pozycja prof. Schaffa w partii jest tak mocna, że taki żarcik mu nie zaszkodzi. Okazało się jednak, że i na niego rzuciliby się w tym momencie.

Potem zaczęli mnie wypytywać o Klub Krzywego Koła, co się tam robiło, kto itd. Pytano mnie też np., kto pracuje na Wydziale Filozoficznym. Zużyłam wiele czasu na przypominanie sobie pracowników, wreszcie doradziłam, żeby skorzystali z informatora uniwersyteckiego. I wtedy się z tym odczepili.

Latem jeszcze dostałam list od Giedroycia (list ten tydzień wędrował w Warszawie, więc musiał być zatrzymany), w którym Giedroyc niepotrzebnie moim zdaniem pytał, czy mogłabym porozumieć się z Marią Dąbrowską, sławną pisarką, czy by nie napisała wstępu do wydawanej w Paryżu książki Hertza o Żydach polskich. Nie miałam zamiaru zajmować się panią Marią Dąbrowską, ale oni ten list przeczytali. Przesłuchaniami na ten temat zajmował się porucznik Zbigniew Pudysz, obecnie wiceminister spraw wewnętrznych. Był wysoki, różowy, bardzo grzeczny, dziwacznie rozdzielał samogłoski wymawiając Giedro-yć. Powiedziałam mu jak pamiętam, że jeżeli pani Maria Dąbrowska zechce, napisze wstęp do dowolnej książki wydawanej w Polsce czy zagranicą i dodałam: „zrobi to bez mojego pośrednictwa i bez pańskiego zezwolenia".

Pytali mnie o różne osoby i dziwne sprawy. Np. o pana Jana Wolskiego. Wolski, działacz spółdzielczy, pan z siwą bródką, istotnie był kiedyś u mnie, z prośbą, by przesłać do Giedroycia tekst jego o spółdzielczości polskiej, co udało mi się zrobić. Moi znajomi jeździli wtedy tam i z powrotem i wozili te rzeczy. Wypytywano mnie więc parę godzin, jakiej wysokości może być honorarium dla pana Wolskiego, o czym naturalnie nie miałam pojęcia.

Pytali mnie także, dlaczego dałam Giedroyciowi swój numer telefonu. Powiedziałam, że dałam we Francji swój telefon kilkuset poznanym tam osobom, również jemu. Ale dlaczego jemu? – dręczyli mnie o to godzinami.

Pewnego dnia Pudysz oświadczył mi, że dziś będzie mnie przesłuchiwał jako świadka. „Zwracam pani uwagę, że jako świadek musi pani mówić prawdę" – ale nie powiedział mi o paragrafie 166, na podstawie którego wolno mi było odmówić zeznań, a ja o tym nie wiedziałam. Ale i tak nie miało to znaczenia. Pytał wtedy o pana Wolskiego, chciał się koniecznie dowiedzieć, dlaczego pan Wolski mnie odwiedzał. Powiedziałam, że może chciał o czymś porozmawiać, rzeczywiście chciał wtedy porozmawiać o wysłaniu jego tekstu do Giedroycia, ale tego naturalnie nie mówiłam. Nie mogłam zrozumieć, po co to tak drąży. Już po wyjściu z więzienia dowiedziałam się od Janka Olszewskiego, że pan Wolski, zapytany przez prokuratora, dlaczego mnie odwiedzał, wstał, wyprostował się na całą długość i powiedział: pan prokurator mnie obraża, ja nie zwykłem opowiadać o moich stosunkach z kobietami. Pan Wolski był o jakieś 35 lat starszy ode mnie, a wyglądał jeszcze starzej, bo był zupełnie łysy i miał zupełnie białą bródkę w szpic. Był to człowiek bardzo szlachetny, z bzikiem na temat spółdzielczości.

Nocami powtarzałam sobie: jak to dobrze, że to ja siedzę, a nie Janek Lipski, jak to dobrze, że to ja, a nie Aleksander Małachowski, koledzy z KKK. I naprawdę tak myślałam.

Byli bardzo dla mnie grzeczni, nie doznałam żadnej przykrości większej niż samo siedzenie w areszcie. Pewnego dnia w październiku przyszedł na przesłuchanie pan, który się przedstawił jako Franciszek Orłowski. W pewnym momencie powiedział mi: my panią natychmiast wypuścimy, jeżeli powie nam pani, gdzie jest archiwum *Po prostu*. Powiedziałam mu, że nawet gdyby mnie bił przez 10 lat, nie powiem mu

tego, bo nie wiem. A Orłowski powiedział: ależ proszę pani, kto by panią teraz bił. I wyjął z kieszeni przedłużenie sankcji na kolejny miesiąc. Był raz czy dwa.

Wtedy, gdy zapytali o archiwum *Po prostu*, przelękłam się. Nie wiedziałam na szczęście, gdzie jest to archiwum, ale pomyślałam, że to śledztwo staje się za szerokie, bo i Giedroyc, i Klub Krzywego Koła, i pani Maria Dąbrowska, i Wolski, i do tego jeszcze archiwum *Po prostu*, to może kroją jakąś dużą sprawę, a uważałam, że nie ma nic gorszego, niż znaleźć się w dużej sprawie.

Starałam się stosować moją zasadę Zosi-samosi – wszystko tylko ja sama i tylko to, co ja sama, i nic więcej nie wiem. Musiałam się przyznać, kto robił poprawki na tych 7 stronach tekstu tłumaczenia – moją przyjaciółkę przesłuchiwano, ona to potwierdziła, ten fragment dotyczył krytyki rządów Battisty na Kubie, więc nie widziała w nim nic szczególnego. Starałam się zmęczyć Pudysza, przy okazji różnych jego pytań robiłam mu szczegółowe wykłady z filozofii i socjologii. I gdy na początku był to tęgi, różowy, powiedzmy, prosiakowato wyglądający facet, to po 5 miesiącach śledztwa, już na mojej sprawie, był wychudły, blady, żółty i bardzo źle wyglądał. Może chorował?

Próbowali dokładnie rozliczyć pieniądze od Giedroycia. Przyznałam się w pewnym momencie, że brakującą część z kwot przeznaczonych na książki zatrzymałam na własne potrzeby, co nie było prawdą (naprawdę zapłaciłam te pieniądze osobie, która tłumaczyła książkę). I wtedy ulga odmalowała się na twarzy Pudysza – nareszcie jakiś ludzki motyw! W ogóle nie mógł zrozumieć, że chciałam coś zrobić dla biblioteki, że narażałam się i nie zarabiałam na tym. Potem było mi bardzo nieprzyjemnie, kiedy musiałam powtórzyć to w czasie sprawy w obecności pani Ossowskiej. Mogłam jej to wyjaśnić dopiero znacznie później.

Potem dowiedziałam się, że wzywano i przesłuchiwano wszystkich moich przyjaciół, znajomych, rodzinę.

Siedziałam 3 miesiące w śledztwie na Mokotowie, na II piętrze, najpierw w celi nr 44, potem 42, z różnymi osobami. Śledztwo było jedyną rozrywką, a siedzenie w więzieniu jest bardzo nudne, dosłownie siedzi się przez cały dzień na bardzo twardym stołku, i to w nie swoim towarzystwie i nie ma nic

do roboty. Nuda i osamotnienie. Stale prosiłam w listach, żeby rodzina przysłała mi parę gąbek do mycia, które mogłabym zeszyć i położyć na tym twardym stołku, żeby było wygodniej, ale nikt nie zwracał na te prośby uwagi. Przydałyby się i do mycia.

Listy szły po 6 tygodni. Cenzura czytała i przetrzymywała listy. Wielką przyjemność sprawił mi list od Witka Jedlickiego, który był bardzo przejęty tym wszystkim. Potem dowiedziałam się od niego, że to archiwum *Po prostu* miał u siebie w domu. Myślał, że ja to wiem. Moja córka pisała do mnie bardzo piękne i poetyckie listy, których w ogóle nie mogłam zrozumieć, np. pisała jakieś historie z wysp na ciepłych morzach. Każdy list oblewało się łzami, czytało po 10 razy, i składało na pamiątkę. To największa przyjemność więzienna.

Przez ten czas dostałam jedną paczkę. Było w niej ciasto, smalec, jakieś inne jedzenie, a na dno moja matka włożyła świeżą, pachnącą różę, z korzeniem owiniętym w mokrą watę. I pamiętam, jak ta róża stała się dla mnie listem – pamiętamy o tobie, kochamy cię, jesteśmy z tobą. Uklękłam wtedy na pryczy i zaczęłam strasznie płakać. Wtedy poczułam, że moi przyjaciele nie zaniedbują moich spraw, że wszyscy troszczą się o mnie. I rzeczywiście tak było. Moi przyjaciele z Klubu Krzywego Koła zbierali się, spotykali, radzili, jak mi pomóc, pomagali moim rodzicom, bo moi rodzice byli wtedy w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej i było im bardzo trudno. Mój wuj Zygmunt Zaleski z Paryża przesłał im wtedy też jakieś pieniądze na moją sprawę.

Siedziałam z różnymi osobami. Np. pani Wanda – nie będę podawać nazwisk, bo może i dziś te osoby nie życzyłyby sobie tego. Pani Wanda była oskarżona o szpiegostwo. Zgodziła się podczas pobytu zagranicą na szpiegowanie na rzecz Niemiec Zachodnich, ale nigdy nic a nic na ich rzecz nie zrobiła. Była ponętną zdobyczą, bo jej mąż był wyższym oficerem. I rozzłoszczeni Niemcy przysłali polskim władzom konrtwywiadowczym podpisane przez nią zobowiązanie do współpracy. Dostała za to 3 lata.

Pani z Londynu, zdaje się rzeczywiście jakoś związana z wywiadem francuskim. Chciała koniecznie więzienie traktować jako pensjonat dla panien, w którym będziemy razem

śpiewać, uczyć się itd. Doprowadzała mnie tym do rozpaczy. Pewnego razu wyraziła się: bo przecież Giedroyc to człowiek z „naszej siatki". Zdrętwiałam na to, przecież był tam podsłuch, któraś mogła donosić. Nie miałam innego wyjścia – musiałam ją tak obrazić, żeby sama przestała się do mnie odzywać.

Była pani z jakiejś kancelarii tajnej w wysokim urzędzie, która zgubiła mapkę.

Rozmowy odbywały się na trzy tematy: mężczyźni, suknie i jedzenie. W ramach mężczyzn trochę ginekologii, porodów i skrobanek. Jedzenie było ważnym tematem, bo było wyjątkowo obrzydliwe. Jak potem słuchałam wspomnień internowanych po 81 roku i ich narzekań na jedzenie, chciało mi się śmiać. To była inna skala. Szczególnie na Mokotowie, kuchnia była zupełnie gdzie indziej, prowadzili ją mężczyźni i wozili w takich dużych kotłach. Na nasze drugie piętro w zimie – bo to był grudzień, styczeń – wszystko docierało zupełnie zimne.

Warunki były takie. Cela była 4-osobowa, goła jak robak. Siedziałyśmy najczęściej we dwie z panią Wandą, która była najwyraźniej kapusiem, i miała za zadanie wszystko ode mnie wyciągnąć. Ponieważ ja dokładnie wiedziałam, co chcę powiedzieć, więc zwierzałam się jej, ale nie powiedziałam jej nic innego, niż zamierzałam, tylko trochę innymi słowami niż na przesłuchaniach, właśnie tak, żeby o tym doniosła. Opowiedziałam jej np. na temat wypytywań o pana Wolskiego, a ona mi doradzała „pani się lepiej przyzna, pani Haniu", na co ja jej mówiłam „kiedy nic mu nie dawałam, nie mam do czego się przyznać". I rzeczywiście dość szybko przestali mnie o niego pytać. Pani Wanda po 2 latach wyszła, kapowaniem skróciła sobie trochę swój absurdalny wyrok.

Cela była luksusowa, miała ubikację ze spuszczaną wodą, kran z zimną wodą i umywalkę. Raz dziennie roznosili ciepłą wodę w wielkim garnku. Miałyśmy po misce metalowej i łyżce, a nawet coś w rodzaju noża.

Dla rozrywki całymi dniami grałyśmy w chińczyka. Ja próbowałam czytać, ale trudno było dostać coś, co się chciało. Z przyjemnością przeczytałam wtedy parokrotnie „Sagę rodu Forsythe'ów", „Lalkę" Prusa i „Pana Tadeusza", a także „Dziady", które przypominały mi trochę moją sytuację, aczkolwiek moja sytuacja była lepsza. Przeczytałam wspomnienia z Francji Belli Czajki-Stachowicz.

Jeść dawali nam na Mokotowie bardzo marnie. Rano pół bochenka czarnego chleba, tak źle upieczonego, że można z niego było jeść tylko skórkę, środek nie nadawał się do jedzenia. Kiedyś z nudów ulepiłyśmy z tego środka aż 7-metrowego węża. To była czysta, kleista glina. Pani Wanda miała ogromne wymagania, wyrzucała do śmieci właściwie wszystko, co jej dawano do jedzenia. Ja usiłowałam to jeść.

Gdzieś w połowie stycznia 1962 roku nagle jedzenie poprawiło się w sposób niesłychany. Parę razy dano nam po jajku, dawano trochę margaryny, słodzonej kawy, dobrze wypieczony chleb. Kiedyś dano nam nawet coś w rodzaju pierogów z mięsem i z kapustą, polanych skwarkami, bardzo smacznych. Przypuszczam, że musiała być jakaś kontrola. Po tygodniu wszystko wróciło do normy.

Osobnym tematem jest leczenie w więzieniu. Na Mokotowie lekarką była osoba wyjątkowo niechlujna – była sama brudna, miała brudny biały fartuch i lepiące się włosy w strąkach. Do tego wydawała się dość paskudna. W jakimś momencie na Mokotowie dostałam potwornego bólu serca. Mogłam leżeć tylko na brzuchu i powstrzymywać się od krzyku z bólu. Moje współlokatorki zrobiły raban i na drugi dzień zaprowadzono mnie do tej lekarki. A ona zrobiła mi piekielną awanturę, że przyszłam do niej, zamiast żeby ją wezwać do celi. Poza tym straciłam dwa zęby, bo fatalnie je leczono i po wyjściu z więzienia musiałam je czym prędzej wyrwać.

To był okres zupełnego zamknięcia.

4 grudnia wezwali mnie na zakończenie śledztwa. Obecny był prokurator, pan Piotrowski, Zbigniew Pudysz i mecenas Jan Olszewski, mój adwokat i przyjaciel z Krzywego Koła. Piotrowski poinformował mnie, że pani Aniela Steinsbergowa, moja obrończyni, ustanowiła substytuta w osobie mecenasa Jana Olszewskiego. Ucieszyłam się strasznie, usiadłam koło Janka i dyskretnie szczypałam go cały czas, byłam wprost uszczęśliwiona.

9 grudnia pierwszy raz przyszła na widzenie moja matka. Powiedziała mi, że mój brat ma już telefon. Brat potem opowiadał mi, że przez parę lat odmawiano mu założenia telefonu, aż nagle po zamknięciu przeprowadzono linię napo-

wietrzną i dostał ten telefon bez proszenia. Mieli widocznie nadzieję na jakieś owocne podsłuchy.

Mecenas Olszewski podpisał zakończenie mojego śledztwa i zaczęłam czytać akta. Nic to nie wniosło, każdy protokół podpisywałam na każdej stronie.

W tym czasie, jak się potem dowiedziałam od moich rodziców, Wolna Europa stale awanturowała się o mnie, że to *Kultura,* Krzywe Koło, samotna matka z dwojgiem dzieci itd. Rodzice w końcu zaczęli się tak tym denerwować, bo bali się, że mi to zaszkodzi, że poprosili przez znajomych, żeby przestali tyle o tym nadawać. I przestali.

W czasie, kiedy ja siedziałam w więzieniu, moje dzieci, jak już wspomniałam, były w internacie MSZ przeznaczonym zasadniczo dla dzieci dostojników, którzy byli za granicą. Dyrektorką tego internatu była Anna Jędrychowska, rozwiedziona pierwsza żona ówczesnego wicepremiera Stefana Jędrychowskiego. Do pani Jędrychowskiej dotarli jacyś faceci z UB, czy z MSW i zażądali, by moje dzieci przekazać do zwykłego domu dziecka. Wtedy pani Jędrychowska spokojnie oświadczyła, że ona tych dzieci nie odda, bo w czasie wojny, jeszcze w 43 roku, gdy mieszkałam z moim ówczesnym mężem w Niemenczynie, aresztowano rodziców małego Zbyszka Namysłowskiego, dziś wielkiego jazzmana, którym myśmy się właśnie zaopiekowali. „Jeżeli Hania Rudzińska nie obawiała się trzymać synka Namysłowskich aresztowanych przez gestapo, to ja będę opiekować się dziećmi Hani Rudzińskiej". Co na pewno było mniej niebezpieczne niż wtedy, szczególnie, że matka Namysłowskiego była Żydówką.

Po zamknięciu śledztwa nadal siedziałam na Mokotowie, dostawałam teraz częściej paczki. Matka przysłała mi kiedyś smalec z mało przysmażoną cebulą, żeby zachowało się więcej witamin i wszystko się niestety zepsuło. Bardzo wtedy było mi go szkoda, to w więzieniu wielka strata. Było śmiertelnie nudno, nie było nawet rozmów ze śledczymi.

Parokrotnie odwiedził mnie Janek Olszewski, raz była pani Steinsbergowa. Janek przyszedł również w Wigilię. Wigilia wypadała tamtego roku w niedzielę, w sobotę było 23. I Janek przyszedł w sobotę 23 grudnia. Przyniósł mi czekoladę, paczkę fig i malutki obrazeczek szopki, który dał mu Wojtek Ziembiński. Wojtek zresztą cały czas szalał, bardzo

dużo robił w mojej sprawie. W więzieniu był taki zwyczaj, że podczas świąt kobiety – pracownice więzienia zwalniano do domu. Janek obawiał się, że ktoś ze straży zabierze mi te rzeczy, ale upewniłam go, że nikt nie śmie mnie tknąć. Wsunęłam te czekolady i figi do rękawa.

W 2 miesiące po zakończeniu śledztwa, w poniedziałek 4 lutego 1962 roku rozpoczął się proces.

Przyniesiono mi z magazynu moje wyczyszczone ubranie (na spacery wychodziło się w grubej kurtce więziennej). Koleżanki nakręciły mi na noc papiloty i rano uczesały mnie.

Zawieziono mnie do sądu. Wprowadzono mnie normalnym korytarzem, na którym stały tłumy znajomych. Potem, w kolejnych latach, bywało gorzej, np. kiedy siedzieli Kuroń i Modzelewski, wprowadzano ich bocznymi wejściami. Proces odbywał się na II piętrze, chyba w sali 242.

Ten oczekujący na mnie tłum był czymś fantastycznym po tylu miesiącach odosobnienia. Oczywiście, najpierw moja matka, sama, bo ojciec musiał zostać w domu z moim chorym synkiem. Ale była tam „toute Varsovie". Zaczynając od Pawła Jasienicy, był Stefan Kisielewski, profesor Tadeusz Kotarbiński, prof. Władysław Tatarkiewicz, prof. Stanisław i Maria Ossowscy, moi przyjaciele Stefan Nowak, Janek Lipski, Wojtek Ziembiński. Był pan Wolski i pan Zbrożyna, był też Melchior Wańkowicz. Byli moi koledzy i koleżanki z socjologii, np. młody Andrzej Koźmiński. Prowadził mnie milicjant, a wszyscy mijani podchodzili i całowali mnie. Milicjant był zdumiony, ale nic nie mówił.

Prokurator Piotrowski zażądał, by sprawa ze względu na swoją wagę i niebezpieczeństwo dla państwa odbywała się przy drzwiach zamkniętych. Adwokaci sprzeciwili się natychmiast, ale po pół godzinie sąd zdecydował o zamknięciu i kazał wszystkim opuścić salę. Na to pan Zbrożyna wezwał: nie wychodźmy, niech nas wyniosą! Wańkowicz zapytał: a co będzie, jak ja nie wyjdę? Zapłaci pan grzywnę. A to ja chętnie zapłacę i zostanę, zawołał Wańkowicz.

Okazało się, że mam prawo wybrać sobie mężów zaufania. Jednym została prof. Maria Ossowska a drugim mój brat, Bronisław Wojciechowski.

Zaczęły się przesłuchania świadków. Nie mieli wiele do powiedzenia, bo przecież tak naprawdę cała sprawa była

naprawdę całkowicie wymyślona – posiadanie jednej książki w języku angielskim i 7 stron tłumaczenia tej książki. Obowiązywał wtedy jeszcze tzw. Mały Kodeks Karny (MKK) i chodziło o paragraf 23 albo 24. Par. 23 – rozpowszechnianie wiadomości niebezpiecznych dla państwa polskiego – był dla mnie bardzo niebezpieczny, bo przewidywał jako najniższą karę trzy lata więzienia, aż do kary śmierci. Natomiast par. 24, z którego w końcu mnie skazano, przewidywał od roku do pięciu lat więzienia za posiadanie takich wiadomości.

Moi adwokaci usiłowali udowodnić, że ta książka w ogóle nie jest szkodliwa dla Polski Ludowej, Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Taka była formułka. Ponadto podnosili, że wprawdzie miała być tłumaczona w Polsce, ale wydana na Zachodzie, więc tym bardziej nie mogła być szkodliwa dla kraju. Ponieważ sąd nic z tej książki nie rozumiał, bo w końcu była po angielsku, wezwano tłumacza przysięgłego i tłumacz przysięgły przetłumaczył w ciągu 2 dni wstęp.

Przyznałam się od razu, że dostawałam od Giedroycia książki, które lądowały w bibliotece uniwersyteckiej jako prohibity, że wysyłałam mu polskie książki z księgarni i że miałam tłumaczyć tę książkę. Sąd zapytał, dlaczego podjęłam się tej roboty.

Zeznawał mój kierownik z bibliotek, Janusz Krajewski. Był trochę głuchy. Na każde pytanie nachylał się z ręką przy uchu i pytał sąd: co proszę? przepraszam, co proszę? I nic się od niego nie mogli dowiedzieć.

Zeznawał też jako świadek Stefan Nowak, którego zapytali o moją sylwetkę osobowościową, szukając motywacji mojego czynu. Podkreślał, że jestem osobą tak dobrą i uczynną, że nic dziwnego, że chciałam pomóc i Giedroyciowi.

Zeznawał też prof. Julian Hochfeld, który oświadczył, że daje tę książkę w oryginale do czytania studentom na seminarium, więc nie widzi żadnego powodu, dla którego miałabym być skazywana za jej tłumaczenie.

W pewnym momencie już w ogóle nie było wiadomo, o co chodzi i po co ten proces. Ja zresztą dopomagałam w tym wrażeniu jak mogłam, zamącając zeznania. Nie chciałam kogokolwiek mieszać do tej sprawy oprócz pana Giedroycia i tych kilku osób, którym wlepiłam rzekome wożenie paczek

z książkami, no i Janinę Frentzel, która istotnie własną ręką poprawiała te 7 stron.

W rezultacie dogłębnych analiz znaleziono w tym tłumaczeniu jeden kawałek uznany za szkodliwy i on stał się podstawą całego wyroku. Tego zdania nauczyłam się na pamięć. Brzmiało ono: „Lenin, podobnie jak Mussolini, uważał, że władzę należy zdobywać siłą". Obrazą było porównanie Lenina do Mussoliniego. I to był ten jedyny punkt zaczepienia. Zostałam zatem skazana za porównanie Lenina z Mussolinim i to nie przeze mnie.

Pani mecenas Aniela Steinsbergowa przepięknie przemawiała. Ona zupełnie nie krępowała się sprawą pieniędzy. Powiedziała, że ta biedna kobieta tutaj sama wychowuje dwoje dzieci, męczy się, stara się coś zarobić, bierze tłumaczenia, pracuje ponad siły i tak dalej. Sprawa była w oczywisty sposób dęta. Chodziło na pewno o przestraszenie moich przyjaciół, o znalezienie jeszcze jednego pretekstu do zamknięcia zaraz w lutym 1962 roku Klubu Krzywego Koła. Ta sprawa zresztą nigdy nie została wyjaśniona, kozłem ofiarnym był niejaki Matjasiak z Krakowa, młody filozof, specjalista od Heideggera, który czasem przychodził do mnie, bo po prostu głodował.

W mowie prokuratorskiej prok. Piotrowski (miał zresztą straszne nieszczęście, bo potem jego dziesięcioletni syn wpadł pod samochód i zginął) długo i zawile wyjaśniał moje winy, a zakończył to zdumiewającym oświadczeniem: „znakiem tego widziem, że oskarżona Rudzińska jest winna" itd. Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

Milicjant, który mnie pilnował, ciągle na przerwach wypytywał mnie, co to jest filozofia, co to jest socjologia itd., a ja starałam się mu to wyjaśnić.

Sprawa była wyznaczona na 1 dzień, ale adwokaci przeciągali ją, żądali tłumaczenia, dodatkowych świadków i tak dalej. I muszę powiedzieć, że moi znajomi stali przez te wszystkie dni na korytarzu sądowym, czekając, aż będę przechodziła, odprowadzali mnie do tego tzw. kurnika na dole, gdzie czeka się na rozprawę i siedzi podczas przerwy, i tak całymi dniami od rana do wieczora. Tak że ta rozprawa stała się niemal przyjemnością w tym okropnym życiu więziennym. Denerwowałam się tylko o wyrok. Ogłoszono go

prędko, w pół godziny po zakończeniu ostatniego posiedzenia.

Lipski opowiadał mi potem, że prokurator żądał skazania mnie z paragrafu 23 MKK, tego gorszego. Adwokaci żądali, żeby z 24. Asesorzy sądowi, sędziowie pomocniczy, też optowali za paragrafem 23. Natomiast główny sędzia, Sikorski, oparł się temu.

Sąd odczytał wyrok i uzasadnienie. Za posiadanie 1 książki Feliksa Grossa w języku angielskim oraz 7 stron tłumaczenia skazuje się Annę Rudzińską na rok więzienia z paragrafu 23 MKK. Uzasadnienie: treść książki zagraża bezpieczeństwu PRL, krajów demokracji ludowej i ZSRR. Czyli skazano mnie na minimalną karę z tego paragrafu. Pani Steinsbergowa wystąpiła o zwolnienie mnie ze względu na opiekę nad dziećmi, ale sąd kazał mi dalej siedzieć.

Wróciłam na Mokotów. W następnych dniach przyszły do celi gazety, a w nich tytuły: „Za dolary sprzedawała Polskę". W treści notatki nie było ani dolarów, ani sprzedawania Polski, ale w tytule były. Najgłupsza i przykra dla mnie była notatka z *Christian Science Monitor*, w której napisano, że to bardzo niełądnie, że Anna Rudzińska zdradzała tajemnice jakiegoś wydawnictwa, ale przecież za to się nie sadza do więzienia. Wszystko było pomylone.

Moje współwięźniarki patrzyły na mnie wrogim okiem po tych notatkach, a mnie było trudno im nawet coś wytłumaczyć.

Doznałam jednak wielu wyrazów życzliwości i pamięci. Wiele osób też, jak się okazało, występowało w mojej obronie. Np. Stefan Kisielewski poszedł do wiceministra spraw wewnętrznych Alstera, którego znał, i wygłosił do niego taki tekst: panie ministrze, ta wariatka Rudzińska zaczęła jakieś kombinacje z Giedroyciem i coś od niego dostawała, więc dlaczego ją zamknęliście, przecież ja dostaję stale od Giedroycia *Kulturę* i mnie nie zamykacie. Na co minister powiedział mu: bo za to w Polsce nie można zamknąć Kisielewskiego, ale można zamknąć Rudzińską.

Po czym mój przyjaciel Stanisław Stomma poszedł do tegoż Alstera i wygłosił do niego: panie ministrze, ta idiotka Rudzińska... dalej Stomma mi tego szczegółowo nie powtórzył. Ale skutek był ten sam.

Trzecią osobą był Paweł Jasienica. Poszedł do ministra Wichy i też wystąpił w mojej obronie.

Potem Janek Olszewski pytał mnie, czy nie zauważyłam w jakimś momencie pewnego zelżenia w śledztwie. Owszem, zauważyłam, gdzieś w połowie listopada. Ale potem Alster odszedł i to zelżenie się skończyło.

Przewieziono mnie do więzienia kobiecego przy ul. Namysłowskiej w Warszawie, tzw. Toledo. Widziałam, jak mokotowska strażniczka, zwana przez nas wszystkich „oczko" marzy o tym, żeby zapytać ją, dokąd mnie wiozą, po to naturalnie, żeby mogła mi odmówić odpowiedzi, ale nie zrobiłam jej tej przyjemności. Chociaż rzeczywiście strasznie byłam tego ciekawa.

Pamiętam pierwsze wrażenie z więzienia, które potwierdzało moje przekonanie, czym jest więzienie w PRL. W celi, do której mnie wprowadzono po rewizji, itp. czynnościach wstępnych, siedziało kilka kobiet, zajętych pilnym robieniem kotylionów z kolorowych bibułek. Dyrygowała tym zaprzyjaźniona później ze mną pani Alicja, była więźniarka Ravensbrueck, którą co pewien czas wsadzano do więzienia, bo pracowała w spółdzielni mieszkaniowej, której dyrektor ustawicznie był w coś zamieszany, w końcu jej się to znudziło i za kolejnym razem wyemigrowała do RFN. Były to kotyliony na bal służby więziennej. Z powodu nędzy moich uzdolnień manualnych zwolniła mnie z tej roboty bardzo prędko. Natomiast okazało się, że nadaję się do głośnego czytania i chętnie czytałam więźniarkom przy pracy.

Na Toledo więc dowiedziałam się, że więzienie to rodzaj przedsiębiorstwa, służącego głównie interesom służby więziennej. Były tam krawcowe, które szyły strażniczkom sukienki, płatne wtedy po 30 zł za sztukę (u zwykłej krawcowej uszycie sukienki kosztowało w tych czasach minimum 150 zł). Inne robiły na drutach. Były fryzjerki, które od rana do wieczora czesały strażniczki po 2 zł od fryzury, a te zawsze umawiały się z policją, żeby nie zaniedbała przysłania chociaż jednej. Osoby o najrozmaitszych umiejętnościach zaspokajały wyszukane niekiedy potrzeby naczelniczki i jej podwładnych. Usługi świadczyło się wtedy strażniczkom, kierowniczce biblioteki, kierowniczce kuchni, pralni, paniom wychowawczyniom, pani psycholog, żonom strażników i częściowo ich

rodzinom. Jedna z pań udzielała korepetycji dziecku naczelnika. Ja sama po jakimś czasie zaczęłam pracować w bibliotece, co było błogosławieństwem po nudzie siedzenia bezczynnie na Mokotowie. Biblioteką zarządzała pani z wolności, raczej nie przemęczając się. Starałam się więc doprowadzić tę bibliotekę do jakiego takiego ładu. Było nawet sporo wartościowych książek, które mogłyby urozmaicić pożytecznie czas więźniarkom, ale bałagan panował tu niesamowity. Już w katalogu były cuda. Np. „Szaleństwo Almayera", autor – wpisano Józef C. Pięć razy na tydzień rozwoziłyśmy nowe książki do cel, doradzałam biednym kobietom, jak mogłam. Wiele zachęciłam do przeczytania dzieł Kraszewskiego, niektóre nie znały nawet Trylogii i zachwycały się nią. Rozmawiały o bohaterach książkowych jak o żywych ludziach. Pamiętam, jaką niechęć budziła w nich Irena z „Sagi rodu Forsythe'ów" – była zbyt piękna! Pracę tę uważałam za rodzaj ważnej służby społecznej.

Ja też udzielałam korepetycji. Wszyscy pracownicy więzienia mieli obowiązek uzupełniać swoje wykształcenie, oddziałowi musieli zrobić maturę. Niezbyt lubiany oddziałowy, nazywany Rudy Olek, przyszedł pewnego dnia do biblioteki i powiedział, że potrzebuje pomocy z języka polskiego, ale że ma zaufanie jedynie do tego człowieka, który tu siedzi. Byłam jedynym człowiekiem, który w tym momencie tam siedział, więc podjęłam się nowego zadania. Był w X klasie liceum i pisałam mu wszystkie zadania z polskiego. M.in. z Kraszewskiego. Opowiedziałam o tym już po wyjściu Jankowi Lipskiemu, który spojrzał na mnie surowo i zapytał: a czy umiałaś? Umiałam, korzystałam ze wstępów Hahna. Nie mogłam oddziałowemu, niestety, pomóc w chemii, bo zupełnie ją zapomniałam. Nikt nie ośmieliłby się płacić mi w papierosach, więc Rudy Olek odwdzięczał mi się inaczej: w czasie widzeń z moją matką starannie się odwracał, żeby nie widzieć, jak chowam do rękawów to, co ona mi podawała.

Słyszałam od matki, że wszyscy oni starają się o moje zwolnienie, nawet moja wolnościowa kierowniczka biblioteki podobno bardzo chwaliła moją pracę i zachowanie.

W Toledo w celi pod oknem były trzypiętrowe prycze, co było bardzo niewygodne. Ale na początku musiałam spać na podłodze, bo w 6-osobowej celi umieszczono 8 kobiet.

Woda stała w wiadrach i było tak ciasno, że raz w nocy wylałam na siebie całe wiadro. Kibel zasłonięty był kolorową firanką.

Wymagano starannego, pod deseczkę, ścielenia łóżek. Trzeba było namaczać brzeg prześcieradła, żeby wyglądało jak świeżo uprasowane.

Wyroki wydawano za sprawy, które dziś trudno w ogóle uznać za przestępstwa. Ja siedziałam za posiadanie książki, inna pani za handel walutą; inna dała łapówkę w spółdzielni mieszkaniowej, ale przecież naprawdę nie miała żadnych innych widoków na mieszkanie. Inna napisała w liście do Anglii, że podczas pobytu przyjaciół w Polsce da im jakąś sumę w złotówkach, którą oni jej oddadzą, gdy ona sama będzie w Anglii. Ktoś przeczytał list, dostała za to 2 lata więzienia i olbrzymią grzywnę. Wyrok był tak surowy, bo przy okazji wykryto, że sfałszowała ankietę personalną w pracy – napisała, że jej ojciec był przed wojną nauczycielem, gdy faktycznie był generałem WP i profesorem wyższej uczelni wojskowej; gdyby to zamieściła w tej ankiecie, groziłyby jej prześladowania.

8 marca obchodzono w więzieniu Dzień Kobiet. Dostałyśmy dodatkowe paczki, ojciec przyniósł mi czekoladę i różowe goździki. Odbyła się akademia ze skeczami. Np. geograficzny: chciałoby się pojeździć po świecie, obejrzeć Rzym, Paryż, Madryt..., Toledo... nie, Toledo lepiej nie!

Wychowawczyni więzienna, pani Siezieniewska – ciekawa jestem, czy ma jakiś związek z obecnym korespondentem radia w Moskwie – dawała mi dodatkowy talon na paczkę, ilekroć wyraziłam chęć porozmawiania z nią. Ale rozmawiać nie chciała. Pani psycholog również bardzo starannie mnie pomijała.

Szpital więzienny zajęty był w znacznej mierze przez stare kobiety, latem handlujące wódką i opłacające się milicjantom. Jesienią dawały się złapać i szły do ciepłego szpitala, gdzie miały jedzenie i dach nad głową. One naprawdę nie miały z czego żyć.

Jedzenie było zróżnicowane, raz lepsze, raz gorsze. Pamiętam świetnie barszcz z fasolą, w którym pływały robaki. Raz na tydzień było kino, raz telewizja. Była też świetlica, pomalowana przez panią Alicję w straszliwe pikasy, kolorowe

ostre trójkąty i kwadraty. Na 1 maja odbyła się akademia, ale już mniej starannie przygotowana niż na Dzień Kobiet.

Odwiedzała mnie matka, raz przyszła moja 14-letnia córka.

15 czerwca 1962 roku byłam w więziennym kinie na jakimś jak zwykle głupim i nudnym filmie. Weszła nagle nasza celowa: pani Haniu, do naczelnika. U naczelnika siedział cały trybunał – sędzia, jakichś dwóch panów, kierowniczka biblioteki. Kazali mi krótko opowiedzieć o swojej sprawie. Z opowiadania wynikło, że właściwie nie było żadnej sprawy. Wtedy sędzia wstał i ogłosił, że zwalnia mnie po odsiedzeniu 2/3 kary, za dobre sprawowanie, m.in. dzięki opinii kierowniczki biblioteki itd.

Zwolniono mnie tego samego dnia, nawet specjalnie sprowadzono magazyniera. Zaczęłam szaleć z radości, pożegnałam się z jedną z zaprzyjaźnionych dziewczyn, zabrałam swoje rzeczy i wyszłam przed więzienie, którego właściwie nigdy nie widziałam z zewnątrz. Złapałam taksówkę i pojechałam do domu, gdzie mój brat już zdążył zmienić zamki. Na szczęście zadzwoniłam z budki do niego do biura, był i zaraz przyjechał. W sklepie na dole kupiłam butelkę mleka i natychmiast całą wypiłam, bo przez 9 miesięcy nie widziałam mleka.

Zatelefonowałam do wszystkich przyjaciół. Byłam taka szczęśliwa, że już nie siedzę! Stefan Nowak powiedział mi wtedy: widzisz, jaka ta Polska Ludowa jest dobra, tyle ci szczęścia przysporzyła!

Oświadczono mi, że moje zwolnienie jest warunkowe na dwa lata, muszę być pod opieką. Zatroszczono się o mnie i zostałam zobowiązana, by stawić się do pracy niezwłocznie w Polskim Towarzystwie Socjologicznym. Nie muszę dodawać, że było to moim największym marzeniem. Na najbliższym posiedzeniu PTS wyznaczyło mi jako kuratora p. Marię Bielińską.

Ci, co odeszli

Ireny Szymańskiej śmierć bez frazesów

Śmierć bez frazesów – powiedział *abbé* Joseph Sieyes, głosując za wyrokiem śmierci na Ludwika XVI. O odejściu Ireny Szymańskiej można powiedzieć to samo: bardzo by się zmartwiła gdyby jej śmierci towarzyszyły frazesy. Bardzo ich nie lubiła. Bardzo natomiast lubiła anegdoty o ludziach i wydarzeniach, zwłaszcza takie, jakie dawały się łatwo wpisać w jej własne życie. Była to bowiem snobka w najcudowniejszym sensie tego słowa: nie na zaszczyty, a na przyjaźnie. Może dlatego na pytanie co miała wspólnego Irena Szymańska ze mną (pisanie o zmarłych jest zawsze pisaniem o sobie) i zjazdem zjednoczeniowym PZPR w 1948 roku, odpowiedź brzmi: nic, a jednak...

Pracowałem od kilku zaledwie tygodni w *Życiu Warszawy,* kiedy jako początkujący depeszowiec, musiałem stawić czoła (nie sam naturalnie) lawinie okropnego gadulstwa jaka lała się z trybuny zjazdu. Któregoś kolejnego dnia tego wodolejstwa przemawiał niejaki, słusznie już od dawna zapomniany, Stefan Matuszewski, komunistyczna wtyczka w połykanym właśnie PPS-ie. Nigdy o nim nie słyszałem, więc w naturalny i oryginalny sposób zatytułowałem odpowiedni fragment tekstu: „Przemówienie Ryszarda Matuszewskiego", bo, choć nie osobiście, a wyłącznie z podpisu, tylko takiego Matuszewskiego znałem. Awantura zrobiła się ogromna (kto nie żył w tych czasach, nie może sobie tego nawet wyobrazić). Stefan (a nie Ryszard, choć powinno było być odwrotnie) się obraził, cymbał uznał, że to spisek. Wiktora Borowskiego,

naczelnego *Życia* wezwano do KC. Borowski, wyjątkowy na owe czasy człowiek i szef, przyszedł wieczorem do pokoju depeszowców i powiedział tylko kilka słów: „Panie Unger, to był bardzo kosztowny błąd".

Tak więc z Rysiem Matuszewskim, ostatnim, i „najdłuższym" mężczyzną w życiu Ireny, nawiązałem bardzo, jak widać, pośredni kontakt zanim w ogóle dowiedziałem się o istnieniu Ireny. Nie pamiętam w jakich okolicznościach ją poznałem, chyba dopiero kiedy gdzieś z początkiem lat 50-tych, po jej powrocie z NRD, gdzie bezboleśnie przetrwała lata stalinizmu, jej ówczesny mąż, Zygmunt Szymański, podjął pracę w *Życiu*. Tak jak to było chyba z Antonim Słonimskim, ze mną także, *toutes proportions gardées* (Irena ubóstwiała pana Antoniego i na pewno by się na takie zestawienie nie zgodziła), dwa stoliki naznaczyły nasze wspólne dzieje: brydżowy i kawiarniany. Nasza przyjaźń zaczęła się rzeczywiście od rozdawania kart do brydża i przetrwała w rozmowach w podziemiach „Czytelnika".

Epizod z narodzin PZPR ma w tym wspomnieniu jednak swoją rację bytu, jako że służył potem jako „wytrych" do wielu wspomnień, kod do wielu sytuacji w ciągu mojej pogodnej, dowcipnej, bezinteresownej, niczym nie zmąconej (nawet przez awantury przy kartach) przyjaźni z Ireną przez długie dziesięciolecia, zwłaszcza od chwili kiedy Rysio, człowiek, który bezwiednie naznaczył początek mojej kariery, pojawił się w życiu Ireny. Przyjaźni tej nic nie przerwało, ani marzec 68 (wprost przeciwnie), ani emigracja, ani, tym bardziej lata po 89 roku. Pierwsze kroki w toku pierwszej, po 20 latach, podróży do Polski, skierowałem do kawiarni „Czytelnika". Była godzina 12, był stolik i była Irena...

Zmarła 8 maja 1999 Irena Szymańska była wydawcą (wydała, często wbrew władzy, sporo książek, które się ciągle liczą w literaturze polskiej, współredagowała m.in. serię „Nike", która dała polskim czytelnikom dostęp do dziesiątek arcydzieł literatury światowej), krytykiem, pisarzem, tłumaczem (przełożyła ponad 100 książek z francuskiego i angielskiego, niedługo, pośmiertnie, ukaże się w jej tłumaczeniu „Upadek imperium rzymskiego" Gibona, ale przede wszystkim była przyjacielem poetów i pisarzy i, właśnie z tego tytułu, a nie z nadania władz, zajmowała w polskim życiu

kulturalnym najzupełniej wyjątkową pozycję. Ona sama, wielu takich nie znałem, potrafiła w znacznym stopniu nadać decyzjom rozmaitych matołków od kultury coś w rodzaju ludzkiej twarzy. Albo prawie...

„Irena Szymańska – powie Holoubek w *Gazecie* – z własnej inicjatywy organizowała przez dziesięciolecia życie kulturalne... Rozdzielane przez nią pochwały i nagrody były cenne i pożądane, była bowiem Irena człowiekiem rozległej wiedzy i znakomitego literackiego gustu...". Tadeusz Drewnowski doda: „Z reguły... stawała w obronie zagrożonych czy skazanych książek – i nieraz sama padała tej obrony ofiarą". „W 'Czytelniku', mawiała Irena, wolno myśleć, że pisarze ważniejsi są od urzędników". „Bez Ireny – powiedział Jerzy Pomianowski – nie mielibyśmy na półkach parudziesięciu najukochańszych książek polskich. Jej obecność dodawała naszemu życiu, nie tylko wydawniczemu, blasku i wdzięku... Była zawsze osobą zachwycającą... zmuszała każdego do wysiłku przekraczania własnej miary... była punktem odniesienia dla ludzi myślących...".

Nie znam dobrze życiorysu Ireny. Większość szczegółów poznałem z prasy... po jej śmierci. W jej tak bardzo literacko-artystyczno-intelektualnym kręgu, dziennikarz i to właściwie w owe lata zupełnie nieznany, byłem, aż do wyjścia z anonimatu dzięki... *Kulturze* i emigracji w ogóle, w pewnym sensie człowiekiem z zewnątrz, na początku nawet intruzem. W karty z nią (czasem z nami...) grali wszak Słonimski, Bardini czy Holoubek, Gottesman i Mostowicz (nie wybaczę Markuszewskiemu, że o mnie w *Gazecie* nawet nie wspomniał), bywali wówczas (w domu i w kawiarni przy „jej" stoliku) Mira Michałowska, Władysław Kopaliński, Leszek Kołakowski, Jacek Bocheński (który, na jej... życzenie, pożegna ją nad grobem), Erwin Axer, Paweł Hertz... z arcyciekawej rozmowy, pełnej szczegółów nieznanych, zabawnych, ale przede wszystkim istotnych dla poznania Ireny i „jej" epoki, jaką, w „Plusie-Minusie" *Rzeczypospolitej*, z Ireną przeprowadziła Ewa Berberyusz, dowiedziałem się, że pochodziła z zamożnej żydowskiej rodziny z Łodzi (jej rodzice zginęli w osławionym „Hotelu Polskim", który hitlerowcy przekształcili w stację tranzytową nie na wolność, a na śmierć od gazu), że zaczęła jako goniec w wydawnictwie, aby potem, za sprawą

pojawienia się na jej drodze Jerzego Borejszy („był dla mnie człowiekiem opatrznościowym", powie do Ewy Berberyusz), przez dziesięciolecia, aż do emerytury, a także po tym, być najbardziej kompetentnym polskim wydawcą i kierować m.in. „Czytelnikiem" i PIW-em. Być „szarą eminencją polskiej literatury" – jak mawiał (Irena tego nie lubiła) Andrzej Szczypiorski. Leszek Kołakowski powiedział to inaczej: „Tak jak polskie życie kulturalne nie byłoby tym, czym było, bez Ireny, tak bez Ireny nie będzie już tym czym było".

Ja o jej znaczeniu dla literatury nie mam wiele do powiedzenia. Gdybym jednak był poetą, to bym może tak zrobił jak Słonimski, który pewnego dnia w mieszkaniu Szymańsko-Matuszewskich zdjął z półki trzy tomiki swoich wierszy i wpisał w nie kolejne dedykacje. W wydaniu z roku 1951 napisał: „Irenie Szymańskiej, aniołowi stróżowi poezji polskiej (bardziej stróżowi)"; w wydaniu z roku 1954 zmienił wersję na: „bardziej aniołowi, niż stróżowi"; a w wydaniu z roku 1961 napisał: „Irenie, nie stróżowi, nie aniołowi, ale przyjacielowi".

Gdybym natomiast był wydawcą, to bym, za Anną Bikont i Joanną Szczęsną, przypomniał, że Irena powiedziała kiedyś: „Prawdziwy wydawca musi mieć dar zachwytu". I miała. „Niejedna książka i niejedna seria wydawnicza, powie na gorąco Drewnowski, powstała z jej pomysłu i inspiracji".

Gdybym był pisarzem, to bym sięgnął, za Krzysztofem Masłoniem, do jej wpływu na Jerzego Andrzejewskiego. Od początku, napisał Masłoń w *Rzeczypospolitej*, Irena towarzyszyła powstawaniu „Bram raju", była współtwórcą pisarskiego pomysłu na „Miazgę", jej Andrzejewski zadedykował „Niby gaj". Masłoń odtwarza historię rozmów telefonicznych z Andrzejewskim, zwłaszcza w okresie kiedy pisarz był na podsłuchu, potem kiedy zaprotestował przeciwko inwazji Czechosłowacji w 1968 roku. Odbywały się te rozmowy codziennie przed dziesiątą rano. Dlaczego tak wcześnie? Irenie chodziło o to, aby Jerzy nie pił już od samego rana...

Dla mnie, dziennikarza, Irena nie była ani aniołem, ani stróżem, ale, tak jak w końcu uznał Słonimski, była przyjacielem. Lojalnym, bezinteresownym, piekielnie inteligentnym i o ogromnym poczuciu humoru. Ubóstwiała „autentyki". Np. opowiadała jak w Berlinie czekała na Zygmunta kiedy

usłyszała sekretarkę: „Hallo, mówiła przez telefon, tu Namiot, czy jest towarzysz Szałas?" Albo, kiedy do PIW-u na zesłanie i za karę przyszedł Jacek Różański, jeden z byłych szefów UB. „Ile – pytali spłoszeni pisarze – można teraz dostać za arkusz?".

Przede wszystkim jednak, co było wtedy bardzo ważne, może wprost życiowo ważne, była człowiekiem zaufanym. Graliśmy naturalnie w brydża (czasem w pokera), to było nasze ulubione zajęcie. Ale brydż był także pretekstem. To był nasz azyl. To była strefa wolności. Tu się mówiło wszystko o wszystkim. To było antidotum na okropne czasy oficjalnej i obowiązkowej schizofrenii, mowy-trawy. To był, tu już moja osobista nota, jeden z niewielu domów, gdzie, o roku ów 68, kiedy nagle wokół nas zrobiło się raczej pusto, drzwi i serca Ireny i Rysia, były dla mnie zawsze otwarte.

Nazwisko Ireny Szymańskiej przewija się, i to bez większych złośliwości (!), przez listy Zygmunta Hertza do Czesława Miłosza. Wiem, że choć krytyczna jako czytelnik (wszyscy jesteśmy), jako wydawca podziwiała „cud" i osiągnięcia *Kultury*. Była jej przyjacielem. Najważniejsze, że w czasach kiedy na sam adres *Kultury* inni dostawali ataku serca, Irena Szymańska była częstym gościem w Maisons-Laffitte. Takich „detali" się nie zapomina.

„Irena – powie Jacek Bocheński we wzruszającej mowie nad grobem – była dla wielu człowiekiem pierwszej potrzeby". Wisława Szymborska powie o Irenie: „miała talent do przyjaźni". – Jak na śmierć bez patosu, niech to wystarczy.

Leopold UNGER

Włodzimierz Sokorski

W Warszawie zmarł Włodzimierz Sokorski, działacz PZPR, wieloletni przewodniczący Komitetu do spraw Radiofonii i Telewizji, generał bryg. WP, redaktor *Miesięcznika Literackiego,* publicysta, pisarz, autor kilkudziesięciu książek i kilkuset jadowitych żartów na własny temat (co sprawiało, że uchodził za człowieka niezwyczajnie swobodnego, w ojczyźnie bowiem naszej, gdzie dygnitarstwo – niezależnie od orientacji politycznej – jest równoznaczne ze skłonnością do zadęcia i werbalnej pryncypialności, człowiek w miarę oczytany, w miarę obyty i w miarę dowcipny, nie stroniący od dobrych win i pięknych kobiet, prędzej czy później będzie podejrzany o występny libertynizm). Chętnie przyznawał się do świństw popełnionych z partyjnego obowiązku („Czy czytałeś co ten sukinsyn Sokorski napisał na twój temat?" – pytał pisarza deptanego za skłonności tzw. rewizjonistyczne, albo: „Wyrzuciłem cię z pracy, bo taka była polityczna konieczność, a teraz cię przyjmuję, bo akurat nie ma żadnej konieczności"), często dawał też do zrozumienia, że nie należy ufać jego słowom, gdyż „w pogmatwanym świecie kłamstwo jest najlepszym sposobem mówienia prawdy". Tej zasady trzymał się mocno w swej publicystyce politycznej.

Urodził się w 1908 roku. W 1926 roku wstąpił do PPS-lewicy, której był sekretarzem generalnym w latach 1929-1931. Od 1931 roku w KPP. W związku z tą działalnością spędził kilka lat w więzieniu (o czym napisał sztukę, która została wystawiona w 1969 roku przez Teatr Telewizji; odtwórcą głównej roli był Andrzej Seweryn, ledwie co na wolności po wydarzeniach 1968 roku). Od 1940 roku w ZSSR, członek WKP(b), ukończył w Moskwie „kursy specjalne" w stopniu lejtnanta, z polecenia gen. G.S. Żukowa współpracował z ppłk. dypl. Zygmuntem Berlingiem, wówczas szefem sztabu 5 D.P. dowodzonej przez gen. Borutę-Spiechowicza, był współtwórcą Związku Patriotów Polskich. W 1943 awansowany do stopnia podpułkownika został zastępcą gen.

Berlinga w I Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki a następnie w I Korpusie Polskich Sił Zbrojnych. Pod koniec 1943 roku (już w stopniu pułkownika i po odznaczeniu orderem Lenina) odsunięty od służby w wojsku – wskutek „rozdźwięków ideologicznych" i skierowany do pracy w kolejnictwie. Wedle wersji spisywanej przez S. w latach 1968-1970 (a publikowanej zrazu na łamach *Miesięcznika Literackiego* a potem w książce pt. „Polacy pod Lenino") i chętnie powtarzanej przez partyjnych historyków, Sokorski i Berling byli niewinnymi ofiarami polemiki toczonej wśród wyższych oficerów I Korpusu na temat przyszłego kształtu politycznego Polski. Z jednej strony tego sporu byli twórcy Tez nr 1, Berling i Sokorski, Polacy, którym „bliskie były ideały patriotyczne", z drugiej – autorzy Tez nr 2, Hilary Minc i Roman Zambrowski, członkowie KPP i Żydzi, dogmatycznie kominternowscy, nie pojmujący „polskiej specyfiki". Rzecz była pisana tuż po Marcu 1968 dla potrzeb aktualnych, toteż Sokorski starał się ukryć, że autorem tez (Tezy nr 1) popieranych przez Berlinga był KPP-owiec i Żyd, major Jakub Prawin, podczas gdy po stronie opozycyjnej występowali m.in. Wanda Wasilewska, Aleksander Zawadzki i Kazimierz Witaszewski, a jeśli idzie o istotę sporu to sprawę zupełnie zamazał. Ujmując rzecz najkrócej: Berling, przekonany, że cieszy się zaufaniem i sympatią Stalina, dał wyraz swym ambicjom władczym marząc o ustanowieniu w Polsce „demokracji kierowanej", w której rolę decydującą odgrywałaby dowodzona przezeń armia. Rojąc o „stalinowskim namaszczeniu" jął też publicznie zapewniać, że jeśli Polska będzie miała z Rosją „wspólne granice strategiczne nad Odrą" to „będziemy mogli dogadać się" w sprawie Lwowa, co mu „zagwarantował marszałek Stalin". Tezy o „demokracji kierowanej" wzbudziły ostrą polemikę. Grupa wobec Berlinga opozycyjna stanęła na stanowisku (w Tezach nr 2), że władza w „demokratycznej Polsce" musi posiadać szerokie wsparcie „partii demokratycznych" w Kraju, siła bagnetu nie wystarczy. O rzeczywistych intencjach (i źródłach inspiracji) obu stron sporu wiadomo na pewno, że Wanda Wasilewska i gen. Żukow najpierw popierali Tezy nr 1 ale w połowie października 1943 roku zmienili orientację. Berling został pozbawiony wpływu na Związek Patriotów Polskich, w 1944 roku wszedł w skład PKWN jako – jedynie

– zastępca kierownika resortu obrony. Cierpiał z tego powodu i w końcu wysłał do Stalina szyfrówkę, w której „błagał na kolanach", żeby zabrać „tę bandę trockistów"; zapachniało krwią, ale rzecz skończyła się na przymuszeniu ambitnego generała do studiów w Akademii im. Woroszyłowa. Sokorskiego oskarżono, że dążył do „wprowadzenia w Polsce dyktatury wojskowej", „obiektywnie orientował się na piłsudczyków", „nie uwzględnił sytuacji w kraju i podziemnej walki PPR" „propagował monopartię" i „żył otwarcie ze swoim adiutantem (...), która zaszła z nim w ciążę". Wyjaśniał, w oświadczeniu przekazanym szefowi Głównego Zarządu Politycznego Armii Czerwonej gen.płk. Aleksandrowi Szczerbakowowi w kwietniu 1944 roku:

„W rozmowach z towarzyszami i dodatku do Tez nr 2 formułowałem tezę, że sytuacja powstała w Polsce zmusi nas do przejścia do etapu demokratycznej dyktatury robotników i chłopów, jako etapu przejściowego do radzieckiej Polski. Te moje poglądy znalazły wyraz w Tezach nr 2 napisanych nie przeze mnie, lecz przez towarzyszy Zambrowskiego i Minca (...) Tezy nr 1 nie ja napisałem, ale tow. Prawin i były przeze mnie odrzucone, chociaż tow. Prawin, kiedy pisał o 'zorganizowanej demokracji' nie myślał o monopartii, lecz o konieczności nowej formy postępowej demokracji, o zorganizowaniu wszystkich sił demokracji polskiej w walce z reakcyjnymi antydemokratycznymi partiami rządu londyńskiego"*

Być może język epoki, niezrozumiały dla współczesnego czytelnika, wymaga objaśnień, być może każde słowo powinno zostać opatrzone komentarzem odsłaniającym jego ówczesne znaczenia i konteksty, jedno jest wszakże pewne: Sokorski był śmiertelnie przerażony. Wiedział, że spór o Tezy przeniósł się z poziomu dywizji na poziom kremlowski a tam świeżo mianowani pułkownicy nie są mile widziani. Ratunek znalazł w masce clowna. Pisał do Szczerbakowa:

* cyt. za „Polska i ZSRR. Struktury podległości. Dokumenty WKP(b) 1944-1949", Opracowali Giennadij A. Bordiugow, Aleksander Kochański, Adam Koseski, Giennadij F. Matwiejew, Andrzej Paczkowski, Warszawa 1995.

„Podstawowym brakiem w mojej pracy był politycznie nieodpowiedzialny język. Niejednokrotnie wykręcałem się od poważnych pytań żartami, co towarzysze brali na serio, i potem powstawały nieporozumienia (...) To samo ujawniło się u mnie w moich stosunkach z moją byłą sekretarką, która nie była komunistką co wywołało uzasadnione oburzenie towarzyszy".

Tak hartowała się stal!

Powróciwszy do Polski (za wstawiennictwem Władysława Gomułki) w 1945 roku Sokorski został sekretarzem Komisji Centralnej Związków Zawodowych, a w 1948 roku ministrem kultury i sztuki. Odegrał decydującą rolę w brutalnym forsowaniu reguł realizmu socjalistycznego, zarazem jednak miał zapewnić niektórym poniewieranym twórcom zapomogi i stypendia. W latach 1956-1972 był przewodniczącym Komitetu do spraw Radiofonii i Telewizji; obie instytucje zawdzięczają mu sporo; chętnie wspierał wartościowe inicjatywy artystyczne, o czym świadczy dorobek Polskiego Radia i TVP z tamtych czasów. W sytuacjach kryzysowych nieodmiennie opowiadał się po stronie „betonu": nauczony doświadczeniem uważał, że skazany na immanentną głupotę, brak taktu i poczucia humoru aparat partyjno-państwowy PRL będzie zawsze sięgał po rozwiązania najgorsze z możliwych.

Fantazjował bezgranicznie, z radością.

Pod koniec życia skarżył się na ból przetrąconego kręgosłupa.

Michał KOMAR

O Christianie Skrzyposzku

Christian Skrzyposzek urodził się w 1943 roku w Chorzowie (Königshütte) na Górnym Śląsku jako syn polskiego Ślązaka. Swe dzieciństwo i młode lata spędził w Tarnowskich Górach. Z wykształcenia pianista, studiował filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim, pracował następnie jako literaturoznawca i krytyk literacki. Współpracując z różnymi czasopismami literackimi, opublikował ponad 50 esejów krytycznoliterackich. Przed wyjazdem z Polski w roku 1969 wydał też fragmenty swej pierwszej powieści oraz sztukę teatralną, opublikowaną w czasopiśmie literackim *Dialog*.

W czasie pobytu poza Polską Chrystian Skrzyposzek odbył kilka dłuższych podróży do różnych krajów, mieszkał m.in. w Austrii, Szwecji i Niemczech Zachodnich. Po przybyciu do Berlina Zachodniego kontynuował swą działalność pisarską. W roku 1983 nakładem wydawnictwa Rotbuch Verlag ukazała się jego powieść „Freie Trübüne" (Wolna Trybuna), wydana następnie w roku 1984 po holendersku, a w roku 1985 przez berlińskie wydawnictwo „Pogląd" po polsku. Jego następna powieść pt. „Mojra" ukazała się w roku 1996 w Polsce. Z uznaniem polskiej krytyki spotkała się „Wolna trybuna". W roku ubiegłym Telewizja Polska wyprodukowała film poświęcony sylwetce pisarza pt. „Według Chrystiana Skrzyposzka".

Na kilka miesięcy przed śmiercią pisarza, kiedy pracowałem nad publikacją na temat „polskiego Berlina", w którym był on jedną z czołowych postaci, Christian Skrzyposzek powiedział mi przez telefon, iż bardzo cieszy się, że „Wolna trybuna" znalazła się w planie wydawniczym krakowskiego Wydawnictwa Literackiego i ukaże się w Polsce. Zmarł tragicznie dnia 10 maja br. w Berlinie.

Andrzej STACH

Notatki Redaktora

Na skutek wykrycia w Belgii rakotwórczej substancji – dioksyny – w karmie dla zwierząt, Komisja Weterynaryjna Unii Europejskiej nakazała zniszczenie drobiu, jaj, mięsa wieprzowego i wołowego pochodzącego ze skażonych farm. Te objawy zatrucia żywnością rozszerzyły się i na inne kraje europejskie. Polska z opóźnieniem wprowadziła zakaz importu tych produktów i nie wiadomo, jakie ilości dotarły na polski rynek. Tłumaczenie polskich władz weterynaryjnych, że spóźnienie było spowodowane tym, że Polska nie była na czas poinformowana, jest niepoważne. Nie wiadomo, czy powodem była powolna i bezmyślna biurokracja, czy też kryje się za tym jakaś afera. Nie potrafiliśmy jednak wykorzystać koniunktury eksportu tych rzeczy jako produktów bezpiecznych, jak to zrobił np. Izrael, który natychmiast zalał rynek belgijski nabiałem i drobiem jako produktami koszernymi. Zabrakło wyobraźni i szybkiej inicjatywy, a przecież idzie o rynek nie tylko europejski, ale również amerykański, gdzie w ogóle grozi zakaz sprowadzania mięsa z Europy. W każdym razie trzeba jak najszybciej wprowadzić totalny zakaz sprowadzania do Polski karm dla zwierząt (*farine animal*).

●

Stowarzyszenie Warszawa-Kijów zwróciło się w 1996 r. do Rady Miejskiej Centrum Warszawy Podkomisji Nazewnictwa (której przewodniczył dr Stanisław Radziwiłł) z wnioskiem o nazwanie dwóch ulic w Warszawie nazwiskami: poety ukraińskiego Tarasa Szewczenki, związanego również z kulturą polską oraz kongenialnego tłumacza na język ukraiński „Pana Tadeusza", Maksyma Rylskiego, który był zresztą polskiego pochodzenia. Mimo ponawianych próśb i przypomnień, ta sprawa do tej pory nie została załatwiona.

Jest to sprawa bardzo przykra, tym bardziej, że ambasador Republiki Ukrainy, p. Pawłyczko, stwierdził, że na Ukrainie jest wiele ulic noszących nazwiska wybitnych Polaków.

●

1-go czerwca w Mińsku miała miejsce ogromna katastrofa spowodowana paniką tłumu, który szukał w metrze schronienia przed gwałtowną burzą. Niemal wszystkie ofiary to młode dziewczyny. Ilość trupów nie jest znana, bardzo trudno zidentyfikować zmiażdżonych, ponad 200 osób zostało ciężko rannych; ta katastrofa była w Polsce ledwie zauważona i nie spowodowała żadnego ludzkiego odruchu pomocy ofiarom i ich rodzinom, a przecież to są nasi najbliżsi sąsiedzi, z którymi łączy nas historia i kilkusettysięczna mniejszość polska. Społeczeństwo polskie jest bardzo wyczulone jeśli idzie o akcje humanitarne nawet dla krajów tak odległych jak Jugosławia. Jest to klasyczny przykład jak polskie społeczeństwo odnosi się do swoich sąsiadów i nie rozumie naszej sytuacji geopolitycznej i roli jaką Polska powinna i może odegrać w tej części Europy. Nasze próby zorganizowania pomocy dla ofiar nie znalazły żadnego oddźwięku i zrozumienia u naszych decydentów. To, co możemy zrobić, to przekazać z naszego Funduszu *Kultury* skromną sumę 5 tysięcy franków na pomoc ofiarom, bo na więcej nas nie stać. I będziemy nadal kontynuować walkę o wychowanie społeczeństwa w zrozumieniu polskiej racji stanu.

●

Wizyta Papieża Jana Pawła II była znaczącym ewenementem. Wizycie tej poświęcamy dużo uwagi w bieżącym numerze *Kultury*. Tu tylko chciałbym podkreślić kilka cieni, a mianowicie ambiwalentny stosunek Papieża do Radia Maryja i sprawy krzyża w Oświęcimiu. Należy również żałować, że Papież wyświęcił szereg miejsc, na których mają być budowane kościoły. Sądzę, że można by było to odłożyć do lepszych czasów, a te pieniądze, przecież bardzo znaczne, przeznaczyć na dożywianie i opiekę nad dziećmi czy na poprawę wynagrodzeń dla pielęgniarek, gdyż poprawa zdrowia zbiedniałego społeczeństwa jest sprawą równie ważną, jak zdrowie duchowe.

●

Prasa donosi, że minister zdrowia, p. Franciszka Cegielska, została prezesem Ruchu Stu, jednego z założycielskich ugrupowań AWS. Byłoby lepiej, by p. Cegielska skoncentrowała się na poprawie naszej służby zdrowia, która wygląda katastrofalnie, a nie zajmowała się sprawami partyjno-politycznym. Dotychczasowa jej działalność jako ministra niewiele poprawiła sytuację w tej dziedzinie.

REDAKTOR

KSIĄŻKI POLSKIE
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE
DAWNE I NOWE
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA
ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI
7, rue de la Bûcherie 75005 Paris
Telefon 01 40 51 76 40
Fax 01 40 51 78 32
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Książki

Dwie książki – nieposłuszne

Z żalem patrzę na dwie książki, stosunkowo niedawno ustawione na mojej półce. Chronologicznie pierwsza, jeszcze z dedykacją: „Rozdarta Francja"[1]. Druga, wydana już pośmiertnie: „Gwałt ulicy"[2]. Ich autor: francuski pisarz, dziennikarz i publicysta, z rodziny emigrantów-Żydów z Polski – Christian Jelen, zmarły ubiegłej jesieni, nagle i o ileż za wcześnie. Prywatnie – przyjaciel od przeszło ćwierćwiecza.

Wystarczy spojrzeć pobieżnie na tematy jego publikacji, by odgadnąć, że był odważny i nie stronił od wysiłku. Brał się zawsze za sprawy trudne, tzw. delikatne, czyli takie, w których granica między nęcącym uogólnieniem a pogmatwaną rzeczywistością bywa płynna, wymagająca zarówno precyzji, jak wrażliwości na niuanse[3]. Kiedy jednak Christian Jelen granicę taką wykrywał i stawał zdecydowanie po którejś jej stronie – uruchamiał cały swój polemiczny wigor, by konsekwentnie zmierzać do własnych wniosków, z punktu widzenia aktualnej „poprawności politycznej" przekornych, albo przynajmniej niemodnych.

W „Rozdartej Francji" zajmuje się Jelen coraz wyraźniejszymi w ostatnim dziesięcioleciu prądami we francuskiej polityce integracyjnej wobec osiedlających się tu Arabów i innych Afrykańczyków, wyznawców islamu. Wiadomo, współżycie z muzułmanami we Francji, źródło niezliczonych, nabo-

1. Christian Jelen: „La France éclatée", Nil éditions, 1966.
2. Christian Jelen: „La guerre des rues", Plon 1999.
3. Przegląd najważniejszych książek pisarza zamieszcza w pośmiertnym wspomnieniu o nim Leopold Unger, *Kultura*, nr 12/615, 1998.

lałych zadrażnień, prowadzi często do konfliktów, a potem już stopniowo do zapiekłych antagonizmów. Więc jak z tą integracją? Na pewno, udaje się ona, gdy idzie o jednostki, zdolne do samodzielnego wybicia się na powierzchnię, o gwiazdy, wielkie talenty i wielkie nazwiska. Dla tych integracja bywa względnie łatwa, czasem prawie spontaniczna, czasem nawet brawurowa.

Ale całkiem inaczej wyglądają sprawy legalnych, półlegalnych i nielegalnych przybyszów z licznymi rodzinami, zaludniających dodatkowo i tak już przeludnione dzielnice podmiejskie, wszystko jedno czy stare, zmurszałe, z niewystarczającą infrastrukturą, czy nowsze, jeszcze niewykończone, a już szarzejące w oczach. Ta kategoria imigrantów przywozi ze sobą cały bagaż obyczajów, wierzeń i przekonań, sprzecznych z podstawowymi, wchłoniętymi przez społeczeństwo francuskie w długim procesie historycznym wartościami. Odrzucenie tego bagażu jest dla nich tym trudniejsze, im trudniejsze są warunki ich życia codziennego.

Czy jednak trzeba, żeby go koniecznie odrzucali? Tu właśnie wdziera się owa nowa propozycja integracyjna, na której Christian Jelen nie zostawia suchej nitki. Według tej propozycji nie należy żądać od imigrantów (różnego zresztą pochodzenia), by koniecznie wychodzili poza własny krąg obyczajowy czy religijny. Właśnie p r z y z w o l e n i e może przyspieszać proces ich zakotwiczania się w nowym miejscu pobytu. Niech więc różne grupy kulturowe współistnieją na warunkach równości w ramach nowego dla nich społeczeństwa, co z kolei wzbogacać będzie obie strony.

Model ten, z ducha arcyliberalny, ponętny zwłaszcza dla tych Francuzów, których do dziś gnębi kompleks kolonialny – jest według autora „Rozdartej Francji" – szlachetną mrzonką. Jak bardzo wydumaną, zwłaszcza wobec muzułmanów, tego stara się dowieść na konkretach. Rzecz bowiem w tym, że u wyznawców islamu przepisy religijne, wyraźniej może niż w innych religiach, przerastają w codzienny obyczaj, wielce spektakularny, nie mający żadnych szans na akceptację w społeczeństwie francuskim.

Obowiązkowe chusty, wiązane na głowach kobiet i dziewcząt (według nakazów religijnych i płynących stąd obyczajów muzułmańskich) spowodowały we Francji, jeszcze w latach siedemdziesiątych, ostre spory, zwłaszcza na terenie szkół. Pozwalać czy nie pozwalać uczennicom (a czasem i nauczycielkom), by

przychodziły do szkoły w chustach? Te bowiem są w rozumieniu europejskim nie tylko zewnętrznym nakazem tradycji religijnej, lecz naocznym symbolem podrzędnej roli kobiety, jej niższości wobec mężczyzny w społeczeństwach islamu. Zasada nie do przyjęcia we współczesnym poczuciu prawno-społecznym francuskich warstw oświeconych. Wprawdzie wolność wyznania stanowi tu jedną z nienaruszalnych reguł republikańskich, ale równocześnie religia pozostaje sprawą ściśle prywatną, nie nadającą się do manifestowania w miejscach publicznych. Jedno ze świętych prawideł w świeckiej Francji. Niemniej spory, choć dziś może mniej zaciekłe, toczą się dalej, a rozstrzygane bywają od wypadku do wypadku, według lokalnego widzimisię.

Sytuacje znacznie bardziej drastyczne wynikają ze zderzenia się wzorców rodzinnych: europejskiego, monogamicznego, z muzułmańskim, poligamicznym. Jelen wykazuje na przykładach, jak instytucje francuskie najwyższego nawet szczebla mogą ulegać fascynacji wizją wielokulturową, albo też (by sięgnąć do mniej wzniosłych motywacji) boją się po prostu posądzeń o brak tolerancji. Oto żyjący we Francji wychodźca z Afryki, mąż dwóch żon, z których pierwsza korzysta już wraz z dziećmi z prawa stałego pobytu, sprowadza drugą żonę, również z dziećmi, i wnosi prośbę o zgodę na osiedlenie się i zamieszkanie z nim razem także i tych przybyszy. Po długich korowodach, po skargach i odwołaniach, sprawa dociera aż do Rady Państwa, a ta przyznaje poligamicznej rodzinie prawo pobytu, pieczętując to w r. 1980 odpowiednim dekretem. Proceder znajduje oczywiście wielu naśladowców, i choć brak tu statystyki, liczba rodzin poligamicznych sięga w przybliżonych ocenach nie dziesiątek, ale setek tysięcy – i nadal rośnie. W ten sposób poligamia zostaje prawie zalegalizowana na terenie Francji. Skutki nie ograniczają się tylko do sfery prawno-moralnej, ale powodują pauperyzację rodzin, szybką degradację katastrofalnie przeludnionych mieszkań, przeciążenie odpowiednich działów świadczeń społecznych itd. Wprawdzie po trzynastu latach, w r. 1993, rząd francuski anulował ów dekret Rady Państwa, ale przez tak długi czas – konkluduje w tej sprawie autor – zdążył on spowodować wiele zła. Na tym nie kończy się rejestr przeciwieństw między prawodawstwem francuskim a płynącą z islamu praktyką obyczajową. Znów według przybliżonych szacunków, 4000 dziewczynek rocznie z rodzin muzułmańskich, osiedlonych we Francji,

podlega bolesnej operacji rytualnej, polegającej na wycinaniu części narządów rodnych i – choć jest to za każdym razem tajemnicą poliszynela – nikt nie protestuje.

Można by ten rejestr ciągnąć dalej, ale – uwaga! Myliłby się, kto z przytoczonych tu przykładów, wybranych spośród wielu innych, chciałby wnioskować, że cała książka jest zbiorem samych okropieństw, które skazują na beznadziejność wszelkie wysiłki integracyjne wobec wyznawców islamu we Francji. Autor nie zaleca wcale jakiejkolwiek metody „glajchszaltowania", wymuszania na wychodźcach afrykańskich, by natychmiast i bez pardonu przyjmowali wzorce francuskie. Odwrotnie, powołuje się nawet na różne opinie o możliwościach łączenia muzułmańskiego kultu religijnego (bez jego skrajnych konsekwencji) z poszanowaniem dla demokratycznych ustaw francuskich. Sprzeciwia się natomiast kategorycznie pozornie sielankowej i szeroko rozpowszechnianej wersji społeczeństwa wielokulturowego. W swoich najjaskrawszych przejawach wersja ta prowadzi, jak wyżej, do absurdów prawnych i obyczajowych, a na codzień, akcentując to co różne, a nie to co wspólne, utrudnia procesy integracji, albo nawet skazuje w ogóle na trwały bezruch wszelkie ich motywacje. Trwałe sąsiadowanie odmiennych kryteriów wartości bez żadnych właściwie wspólnych odniesień – dowodzi Jelen – tworzy zamknięte światy, uznające za ważne wyłącznie reguły własne. Rośnie wiec wzajemna obcość, rozpalają się antagonizmy. W rezultacie taka koncepcja współżycia krzyżuje dążenia do nadrzędnej – ponad wszelkimi różnicami – obywatelskiej i uniwersalnej wspólnoty w ramach państwa, od dawna już zresztą wielorasowego, wieloetnicznego i wielowyznaniowego. Nie mówiąc o tym, że akcentowana inność, sprzyja w pewnych kręgach ludności – ksenofobii. A ksenofobia... cóż, dla Frontu Narodowego, czyli radykalnej prawicy francuskiej w to mi graj.

W drugiej książce pt. „Gwałt ulicy" autor bierze na warsztat przestępczość młodocianych, jak też w ogóle przestępczość młodzieży we Francji, jeden z palących, nie tylko przecież tutejszych, problemów. Zestaw przestępstw (tzw. małych aż po wielkie) jest szeroki: od kradzieży pieniędzy, przeznaczanych na zakup narkotyków, od wyrywania kobietom torebek na ulicy, do kradzieży lub podpalania samochodów, od zgwałceń poprzez napady i pobicia, aż po zabójstwa. Widownia

przestępstw: na ogół miasta różnej wielkości, przedmieścia i tzw. trudne dzielnice, ale bywa, że także dzielnice centralne. Wiek przestępców: mniej niż 20 lat, ale już coraz częściej 13-15 lat; zdarzają się też 16-letni recydywiści. Wybrane przykłady statystyczne: 5 proc. młodocianych i młodych ludzi (15-29 lat) odpowiada za 50 proc. zbrodni i przestępstw, popełnianych przez osoby z tej grupy wieku. Ilość przestępstw zaczęła wzrastać jeszcze w 1980 roku. Według Ministerstwa Spraw Wewnętrznych między r. 1988 a r. 1997 ilość ta wciąż wzrastała. Według innych obliczeń wzrosła w ciągu pięciu lat czterokrotnie. W ogólnym przekonaniu oficjalna statystyka jest grubo zaniżona. Opieszałość sądów: na 2,5 miliona skarg, wniesionych np. w r. 1996, rozpatrzonych zostało tylko 400 tysięcy. Nic dziwnego, że szerzy się poczucie bezkarności. Nie tylko w aparacie sądownictwa panuje tendencja do przymykania oczu. Jednym z jej źródeł jest strach, i to strach od dołu do góry.

Kto się więc boi i czego się boi? Boją się i znikają czym prędzej z miejsc przestępstw naoczni świadkowie. I choć skądinąd liczni mieszkańcy „trudnych dzielnic" głosują coraz częściej na Le Pena – to na ulicy wolą trzymać się umownej zasady: „Wszyscy wszystko widzą, ale nikt nic nie mówi". Boją się policjanci (zresztą nie dość liczni), gdyż bywa, że młodzi i młodociani traktują ich jak wrogów. Autor przytacza słowa komisarza policji: „Dla niektórych jesteśmy armią okupacyjną". Rośnie zarazem skala przestępstw: „Dawniej przestawano bić przy pierwszej krwi – teraz się zabija". Równocześnie maleje – aż do granic tragicznej karykatury – proporcja między motywem zbrodni a samą zbrodnią. Zapytany dlaczego zabił siedemnastoletniego chłopca, 20-letni zabójca odpowiada: „Bo on tak źle na mnie spojrzał".

Idąc tym tropem, od dołu do góry, Jelen nie wątpi, że obecny rząd orientuje się doskonale w rozmiarach przestępczości. Przypomina, że zarówno premier Jospin, jak i minister spraw wewnętrznych Chevènement, oświadczyli publicznie, iż traktują poczucie bezpieczeństwa za tak samo ważne, w skali praw człowieka, jak poczucie wolności. Jednak od stwierdzenia do działania – wciąż jeszcze daleko. W tym miejscu warto zauważyć, że w swoich zarzutach pod adresem kolejnych władz francuskich, autor krytykuje zarówno lewicę, jak centrum czy prawicę – i wielokrotnie to podkreśla. Przykłady adresatów krytyki w

książce: Mitterrand, Jospin, Giscard d'Estaing, Juppé, Chirac – wśród wielu innych nazwisk. A zatem wyraźna odmowa zwolennikom gorsetów ideologicznych.

Z ogromnej dokumentacji, z niezliczonych rozmów, wywiadów, sprawozdań, porównań, statystyk i analiz, przeprowadzanych w całej Francji (nic, absolutnie nic nie jest tu podane na słowo honoru) wyłania się diagnoza: Młodzi i młodociani przestępcy to przeważnie Francuzi, których rodzice, pochodzący z Afryki Północnej lub z Afryki czarnej, przybywali na stałe do Francji w latach 1960-1980. Rasistowskie uogólnienie? – autor odpiera w przedmowie przewidywane zarzuty: przede wszystkim nie uogólnienie, gdyż przestępcza kategoria to tylko mniejszość, natomiast wyraźna większość tej samej zbiorowości znajduje się w toku normalnie przebiegających procesów integracyjnych, lub w każdym razie zdolna jest do integracji. Rasizm? W r. 1991 Jelen wydał książkę, poświęconą powstającym we Francji elitom wysokiej klasy, pochodzenia północno-afrykańskiego pt. „Będą z nich dobrzy Francuzi"[4]. W „Gwałcie ulicy" przytacza fragmenty rozmów z wieloma imigrantami z Afryki, którzy także buntują się przeciw przestępczości i apelują do władz francuskich, by nie stosowały taryfy ulgowej i zwalczały akty gwałtu niezależnie od tego, kto jest ich sprawcą.

Nie rasa więc, ale warunki życia, poziom kulturalny rodziców, ich świadomość wychowawcza czy też brak tej świadomości, codzienny styl współżycia w domu, w sąsiedztwie i w bliskim otoczeniu, metody stosowane w szkole – oto co decyduje o osobowości dorastającej młodzieży. Autor podejmuje tu próbę, jak sądzę nowatorską: dzieli zbiorowe pojęcie poziomu kulturalnego na szereg czynników prostszych i sprawdza najdokładniej, prawie pedantycznie, ich korelacje z konkretnymi wypadkami przestępczości. Przygląda się więc rodzinie, jej materialnemu bytowaniu, pozycji kobiety w jej obrębie, sposobom odnoszenia się do dzieci, docieka czy już tutaj nie występuje skłonność do gwałtu (gdyż u niektórych – jak zauważa w wywiadzie osoba z tej samej wciąż zbiorowości – „gwałt bywa codzienną formą zachowania się, po prostu sposobem bycia"),

4. Christian Jelen: „Ils feront de bons Français", Robert Laffont, 1991.

analizuje status prawny rodziny, jako że np. wśród imigrantów nieregularnych (bez pozwolenia pobytu), panuje często atmosfera wręcz wroga wobec Francji; stara się wybadać, jak wysoka jest ranga szkoły wśród rodzin, by dojść do wniosku, że niektórzy posyłają dzieci do szkoły tylko po to, by pobierać zasiłek rodzinny, obserwuje wyniki uczniów w szkole, by umocnić się w przekonaniu, iż zbyt łagodne oceny i zbyt łatwe przepuszczanie do wyższej klasy wcale nie poprawia szans ucznia, odwrotnie, może wręcz utrwalać analfabetyzm, a analfabeta w gimnazjum to prawdopodobnie przyszły bezrobotny.

Na tym materiale dowodowym autor opiera swoje postulaty. Do czego – w wielkim skrócie – one zmierzają? Do imigracji kontrolowanej. Do intensywniejszej pomocy społeczeństwa i odpowiednich instytucji dla imigrantów w sferze ich życia codziennego. Do wyższych kryteriów wychowawczych i kształceniowych. Do likwidowania bezkarności, gdyż ta produkuje recydywistów i otwiera drogę od tzw. przestępstw małych aż po najgroźniejsze.

Co łączy obie książki, poza bogactwem dokumentacji i temperamentem publicystycznym autora? Zapewne to, że są – nieposłuszne. Autor poruszał się na przestrzeni strzeżonej z lewa i z prawa. Z jednej strony przez utopijne pomysły, przez sztywne, prawie nieruchome normy ideologiczne, a z drugiej przez najbrutalniejsze zapędy populistyczne. Musiał więc pokonywać przeszkody w postaci różnych teorii, obarczających winą za złą sytuację wyłącznie społeczeństwo, wyłącznie telewizyjne kryminały, czy też odwrotnie, codzienną, niezawinioną nudę młodzieży. A równocześnie, na drugim krańcu, wykazywać musiał absurdalność rasizmu i kłamliwość zapewnień, że winę ponoszą zawsze ci inni. Na każdym z tych krańców przekroczenie granicy, o krok tylko skrzywia prawdziwy obraz.

Ale tę granicę między prawdą a jej zniekształceniem Christian Jelen znał i czuł.

8 maja 1999 r.

Kamila CHYLIŃSKA

Poszukiwanie uchwytu

17 maja 1999 odbyła się w Sztokholmie jednodniowa sesja naukowa: „*Kultura* a literatura", zorganizowana przez Södertörns högskola[1] (Janusz Korek) i Uniwersytet Sztokholmski (Per-Arne Bodin). Wygłoszono pięć referatów:

1. Literatura w dyskursie *Kultury* – Janusz Korek
2. Od eseju do dziennika, proza niefabularna w *Kulturze* (Józef Czapski, Jerzy Stempowski, Stanisław Vincenz) Andrzej Stanisław Kowalczyk (Uniwersytet Warszawski)
3. Gombrowicz, niezależność, *Kultura* – Leonard Neuger (Uniwersytet Sztokholmski)
4. Czesław Miłosz jako krytyk kultury (na podstawie eseistyki) – Krzysztof Stala (Uniwersytet Kopenhaski, Södertörns högskola)
5. Miłosz, Rosja i *Kultura* – Per-Arne Bodin.

Przytaczam te tytuły nie tylko z kronikarskiego obowiązku. Wskazują one wyraźnie na to, że w Sztokholmie dokonano zaledwie wstępnego rekonesansu, jeśli chodzi o relację między *Kulturą* a literaturą. I to głównie dzięki wystąpieniu J. Korka i A.S. Kowalczyka. I nie można się temu dziwić. Badania nad samą *Kulturą* znajdują się w powijakach, materiał związany z pismem jest olbrzymi, nieomal nie do ogarnięcia, w dodatku materiał ten wciąż rośnie, bowiem wydawane są kolejne tomy Archiwum „Kultury", te zaś odsłaniają coraz to szersze konteksty. Mało tego: druga część tytułu konferencji (literatura) kryje w sobie twórczość czołówki pisarzy polskich XX wieku, a jeśli – jak najsłuszniej! – włączyć w zakres zaiteresowań Instytut Literacki – czołówki pisarzy

1. Pod tą, przyznajmy, dość nieszczęśliwą jeśli chodzi o stosunki międzynarodowe, nazwą kryje się nowopowstała na południowych obrzeżach Sztokholmu wyższa uczelnia. Wspominam o tym nie tylko ze względu na trudną i nieczytelną dla polskiego czytelnika nazwę (choć przyznajmy, że dla cudzoziemca jakakolwiek Wyższa Szkoła – powiedzmy – w Łodzi, identyczne problemy nastręcza), ale też z uwagi na wyjątkową prężność i wysoki poziom tej uczelni.

XX wieku. Na tematy: Gombrowicz a *Kultura,* Miłosz a *Kultura,* i tak dalej (dużo, dużo dalej!) można by zorganizować kilkudniowe konferencje, które i tak stanowiłyby zaledwie rekonesans badawczy.

Nic dziwnego, że otwierający konferencję J. Korek, autor fundamentalnej książki na temat pisma[2], zatem najbardziej świadomy komplikacji przedmiotu konferencji, zadał zasadnicze pytanie: jakim językiem opisywać *Kulturę* tak, aby nie naruszając suwerenności literatury, nie redukując jej do funkcji ilustracji poszczególnych elementów wizji świata *Kultury.* I *vice versa,* jakiego języka użyć żeby nie narzucić wizji świata Miłosza, Gombrowicza, czy też Czapskiego jako obowiązującej w piśmie. A to przecież jeszcze nie wszystko: Korek szuka języka opisu, który zdolny byłby także pomieścić usytuowanie pisma względem tego, co i jak pisało się w PRL-u i w Londynie. A to wszystko – najzupełniej słusznie – chciałby jeszcze umieścić w kontekście europejskim, włączając weń, rzecz jasna, także Stany Zjednoczone. I to nie są czcze spekulacje: horyzont intelektualny tak pisma jak i twórczości czołówki pisarzy polskich (i nie tylko) XX wieku tego wymaga. Ba, Korek chciałby w tym języku opisu zmieścić także fakt, że *Kultura* jest od początku redagowana przez jednego człowieka, którego aspiracje, program, taktyka, strategie, preferencje literackie itp. muszą zostać zrekonstruowane i opisane. Korek ma ogromne ambicje poznawcze. Chce uchwycić wszystko, co najważniejsze, zredukować jak najmniej i jak najmniejszym kosztem. Nic dziwnego, że poszukuje koncepcji o szerokim zakresie, języka rozbudowanego, filozofii zdatnej do subtelnego uchwycenia wielkich i długotrwałych całości. Czy koncepcje Michaela Foulcaulta, po które sięgnął, nadają się do tego? Trudno w tej chwili orzec; jego referat, dość trudny w odbiorze z uwagi na zaadaptowaną terminologię Foucaulta, zapowiada wiele.

A.S. Kowalczyk interpretuje relacje *Kultura* – literatura z kilku szerokich perspektyw. Wychodzi konkretnie od pojęcia „współczynnika humanistycznego" Floriana Znanieckiego,

2. J. Korek, „Paradoksy 'Kultury'. Ewolucja myśli politycznej w latach 1947-1980", Sztokholm 1998, s. 366.

które w duchu antypozytywistycznym wskazuje na zakotwiczenie każdej czynności, relacji i wypowiedzi w przeżyciach, zamiarach i uświadomieniach działających ludzi. Następnie wprowadza perspektywę polityczną: konflikt między totalitarną a demokratyczną koncepcją człowieka: z jednej strony niemiecki katastrofizm cywilizacyjny, z drugiej – sowiecki komunizm, które z kolei doprowadziły do kryzysu humanizmu; do kryzysu kultury europejskiej porażonej nihilizmem w coraz to nowych odmianach (egzystencjalizm). Wreszcie Kowalczyk próbuje pokazać, w jaki sposób ta sytuacja kryzysowa odbiła się na wizji Polski i polskości na emigracji (tradycjonalizm), gdyż dopiero na tym tle wyraźnie widać stanowisko *Kultury,* czy jak by to powiedział Korek: jej pozytywność.

Tak odczytywana *Kultura* pozwala na zręczne powiązanie z literaturą. Oto bowiem punktem wyjścia staje się nie jakieś abstrakcyjne i bardziej lub mniej doktrynalne stanowisko jakiejś grupy ludzi, tylko, przeciwnie, pewna wspólnota przeświadczeń i doświadczeń, której należy dać świadectwo. W tym właśnie miejscu spotyka się polityka z ideologią, filozofią, poetyką, koncepcją człowieka itd. Stąd też wywodzi Kowalczyk predylekcje większości pisarzy związanych silnie z *Kulturą* do wyboru takich form wypowiedzi, w których możliwe byłoby mocne osadzenie w tym, co doświadczone, przeżyte, indywidualne, w tytułowym „Ja" J. Czapskiego z eseju z 1949 roku. I w rzeczy samej, jeśli tak spojrzeć na twórczość tych pisarzy, to uderza ostentacyjna obecność diarystyki, czy też elementu diarystycznego w ich twórczości, pamiętnika, listu, eseju, a w nich wielki udział autobiografii. Kowalczyk nazywa to prozą niefabularną.

W podobnym kierunku, co ciekawe, zmierzały pozostałe referaty. L. Neuger skoncentrował się na twórczości W. Gombrowicza, konkretnie na pewnej figurze obecnej tam właściwie od początku, gdzie wokół milczącego centrum gromadzą się narzucające mu swoją interpretację głosy. Przedwojennym arcyspełnieniem tej figury była, rzecz jasna, „Iwona, księżniczka Burgunda". Już jednak wtedy poszukiwał Gombrowicz, jak się zdaje, jakiegoś uchwytu, jakiejś rękojmi dla tego milczącego, a milczącego, bo poddanego represji, centrum. Taką rękojmią, już przed wojną, stała się swoiście

pojęta autobiografia. Ale dopiero *Kultura* umożliwiła pisarzowi nie tylko stosowanie tej figury w grze: fikcja – prawda, zmyślenie – fakt biograficzny itp. wewnątrz tekstu literackiego (na przykład w „Dzienniku"), ale na rozszerzenie jej na całą sytuację komunikacyjną swych wypowiedzi. Oto w *Kulturze* skrystalizował się pomysł tekstu jako pewnego centrum, wokół którego rozbrzmiewa chór głosów: krytyków, czytelników, Gombrowiczów (w różnych rolach), które to głosy Gombrowicz komentuje, interpretuje, wprowadza do swego centrum. Jednak za wszystkimi tymi grami Gombrowicza kryje się mocne przeświadczenie: że ich jedyną prawomocnością jest „ja", poddawane wnikliwej obserwacji, analizowane, kwestionowane i przywracane. Taka też jest podstawa jego moralistyki: nie mówcie z gromadnego „my", z komfortu zbiorowego porozumienia, waszą jedyną prawomocnością jest wasze „ja".

K. Stala odczytuje (głównie) eseistykę Miłosza przez pryzmat podstawowych doświadczeń pisarza, właściwie jako swoistą autobiografię, gdzie głównymi, demonicznymi aktorami są początkowo determinizmy: naturalistyczny i historyczny. Z jednej zatem strony wpisani jesteśmy w ubezwłasnowalniający porządek natury, w walkę o przetrwanie, gdzie gatunki silniejsze pożerają słabsze. Śmierć milionów ludzi poddana jest tu tej samej logice, co zagłada gatunków zwierzęcych. Z drugiej strony poddani jesteśmy nieubłaganej logice dziejów, które, choćby nie wiem jak krwawe i niesprawiedliwe, mają swą obiektywną i nieubłaganą dynamikę i własny sens. W interpretacji Stali u podstaw myślenia Miłosza o kulturze leży najpierw porażenie owymi determinizmami w „Zniewolonym umyśle" a potem próba przeciwstawienia się im. Cóż jednak można przeciwstawić temu, co ponoć nieubłagane? „Ontologiczne poczucie jedności z bytem, zachwyt dla chwili obecnej, szacunek do rzeczywistości", używając słów Stali. I dalej: „Funkcja ocalająca poezji i każdej twórczości, także twórczego namysłu, polegać ma na wydobywaniu i zatrzymywaniu substancji/substancjalności tego, co jest: konkretnego drzewa, konkretnego człowieka, poszczególnego istnienia". Wychodząc od tych spostrzeżeń Stala towarzyszy myśli Miłosza, przede wszystkim w „Widzeniach nad Zatoką San Francisco" i w „Ziemi Ulro". Jest to droga od

„ukąszenia heglowskiego" po krytykę nowoczesności: wydziedziczenia/wykorzenienia z miejsca mitycznej, przednowoczesnej swojskości, przestrzeni sensownej, ludzkiej, ale również z czasu pełnego; ubóstwienie człowieka; odczarowanie świata na rzecz świata abstrakcyjnego; czasu zegarów; przestrzeni abstrakcyjnej, naukowej. Stąd też wyprowadza Stala program pozytywny Miłosza.

Wreszcie P.-A. Bodin próbował zrekonstruować obraz Rosji u Miłosza z jednej strony w perspektywie tradycyjnych polskich stereotypów, z drugiej – w kontekście analogicznych koncepcji *Kultury*. U podstaw swoistego rewizjonizmu Miłosza Bodin zauważa podziw dla rosyjskich dysydentów i pewną wspólnotę ideową z rosyjskim antyokcydentalizmem. Jednak głównym źródłem otwartości poety na to co rosyjskie, jest, zdaniem Bodina, mit Wielkiego Księstwa Litewskiego, zatem miejsca w którym dla Miłosza mieściły się bezkonfliktowo różne kultury, języki, religie i narody. Jest w tym zapewne przywołanie tego, co Stala określa jako miejsce zakorzenienia, ale dla Bodina mieści się w tym przede wszystkim program przebudowy świadomości polskiej (europejskiej), zwłaszcza tępych nacjonalizmów. Oczywiście, w tak pomyślanym miejscu zakorzenienia mieści się dla Miłosza (w przeciwieństwie na przykład do M. Kundery) Rosja. Ba, ale jaka Rosja? Przede wszystkim jako przeciwwaga nowoczesności (tak jak ją rozumie Stala), zatem kraj, do którego na początku stulecia nowocześni europejczycy pielgrzymowali, by wsłuchać się w dźwięki dzwonów cerkiewnych; Rosja Dostojewskiego, Sołowiowa, Szestowa, Bierdiajewa, Bułgakowa, Fiodorowa, czyli tych myślicieli religijnych, u których najmocniej doszedł do głosu dualizm (rozdwojenie między złym światem i dobrym Bogiem), elementy antyutopijne i irracjonalistyczne a także epifaniczne doznawanie jedności i całości istnienia.

Starałem się w tym sprawozdaniu śledzić pewne linie łączące referentów. Wydaje się bowiem, że właśnie w miejscach przecięcia skrajnie niekiedy różnych twórczości (jak choćby Gombrowicza i Miłosza) mieści się coś, co można by nazwać wspólnotą *Kultury*. Te miejsca przecięcia można lokować w sferze idei politycznych, filozoficznych, metafizycznych czy religijnych. Można też ich szukać w formach literackich eks-

ponujących doświadczenie jednostki i jej suwerenność. Dyskutowano, rzecz jasna, sporo na takie tematy w czasie konferencji. Potem jej uczestnicy doszli do wniosku, że dobrze byłoby wydać te referaty książkowo. Pod warunkiem, że zamówi się dodatkowe teksty. O Czapskim. O Vincenzu. O Jeleńskim. O Lipskim. O Bobkowskim. O Haupcie. Tak, trzeba koniecznie wydać książkę o *Kulturze* polskiej !

Leonard NEUGER

Pierwsze cztery lata...

Polscy historycy, wydawcy, kompilatorzy, no i... czytelnicy, wydają się zafascynowani prywatnym i intymnym życiem pisarzy polskich dwudziestolecia, ich losów wojennych i powojennych. Jest to objaw w polskich warunkach historycznych zrozumiały, pozytywny i dla przyszłych badaczy historii literatury polskiej i historii w ogóle, ważny. Ale czy nie przydatna byłaby rozumna selekcja redakcyjna odrzucająca plewy w postaci zwykłej, codziennej ludzkiej paplaniny, nie wnoszącej nic nowego do istotnej miary autorów. W powodzi nowości wydawniczych tego typu ukazały się „Listy 1922-1926" Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów („Czytelnik", Warszawa, 1998). Jest to tom o 700 stronach, licząc bogate i obszerne przypisy i index. Jeśli zważyć, że udane i dobre małżeństwo Iwaszkiewiczów trwało 57 lat, i jeśli nawet co parę dni pisali do siebie listy (Jarosław dużo podróżował!), czy możemy się spodziewać 13 dalszych tomów o podobnej objętości, każdy obejmujący zaledwie 4 lata?

Nie ma żadnej wątpliwości, że Iwaszkiewicz ma zapewnione poczytne miejsce we współczesnej literaturze polskiej, pomimo niepotrzebnych potknięć politycznych, kiedy w latach komunistycznej rzeczywistości przystał na kompromitującą go jej propagandę literacką. Nie ma też wątpliwości że jego pożycie małżeńskie było domowo szczęśliwe, choć jego przyjaciele świadczyli, że lubił też szukać

innego szczęścia poza domem. Wolno więc przypuszczać że nic, nawet publikacja tych listów, nie będzie w stanie tych faktów zmienić. Wątpliwości nasuwają się co do wartości literackiej listów, które nie były przeznaczone do publicznego wglądu. To trochę tak jakby autorowi otworzono jego osobistą skarbonkę bez jego pozwolenia. Przeciętny czytelnik, zainteresowany codziennym życiem poety, będzie szukał w listach głównie intymnych szczegółów, do których nie ma prawa, gwoli zaspokojenia ciekawości. Odpowiednio przygotowany badacz literacki, który znajdzie w bibliotece czy w archiwum listy poety w formie rękopisów, odszuka też intymne szczegóły jego życia, ale będą one dla niego kluczem do zrozumienia poezji i prozy autora. I co ważniejsze, do właściwej oceny jego twórczości.

Doskonały jest w tym tomie wstęp Tomasza Burka (ur. 1938), syna ziemi sandomierskiej, poety i krytyka literackiego, i autora szkiców na temat powieści w XX wieku, syna Wincentego Burka (1905-1988), pisarza związanego z ruchem ludowym i autora opowiadań z życia wsi sandomierskiej „Droga przez wieś". Wiadomo też, że Iwaszkiewicz (1894-1980), lubił i często jeździł do ziemi sandomierskiej, gdzie znał blisko i przyjaźnił się z rodziną Burków. Stąd zapewne akcenty niewątpliwej sympatii Tomasza Burka do poety i jego żony i ich epistolarnej twórczości. Ale jest w tym przyjacielskim wstępie więcej: jest w nim komentarz do własnych wspomnień Iwaszkiewicza, opisujących poznanie swojej przyszłej żony, jej rodziny i pochodzenia, tak zupełnie innego od jego własnego, a więc kontrast, który w sumie robi wrażenie, że małżeństwo doszło do skutku jakby na przekór. Może w tym tkwi sens publikacji listów w takiej objętości. Nie wiemy czy Tomasz Burek brał udział w wyborze listów do druku, ale z jego wstępu możemy łatwo wyciągnąć wniosek, że jeśli redakcja była jego udziałem, zrobił wszystko co mógł, żeby nie uronić ani jednego.

Wyraziwszy na początku wątpliwość co do konieczności publikacji tego typu, wydawcy, czyli „Czytelnikowi" należy się uznanie. Nie licząc, ale na oko, chyba co najmniej jedna trzecia książki to przypisy. Ich bogactwo odtwarza index personalny, niemal książkę telefoniczną Warszawy dwudziestolecia. Są w tym katalogu wszyscy, jak się mówiło wtedy *tout Varsovie*. Warszawa intelektualna, Warszawa towarzyska, Warszawa kawiarniana, Warszawa teatralna, artystyczna,

arystokratyczna, wesoła, zawadiacka i urocza. Jest Skamander i jego poeci, gdzie debiutował Iwaszkiewicz, są *Wiadomości Literackie*, jest *Kurier Poranny*, jest słynne „pół-pięterko" literackie w „Ziemiańskiej", na Mazowieckiej i jest niekończąca się wiosna młodych talentów. A w niej początkujący w roku 1922 poeta, rodem z Ukrainy, romansujący na serio z piękną panienką „z dobrego zamożnego domu". Jak na owe czasy i na modę ówczesną przystało, swoją rolę odegrało też Zakopane i wiele innych miejsc, takich jak m.in. Paryż. A wstęp Tomasza Burka, to nieomal warszawska powieść miłosna, do której ilustracją są listy kochanków, Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów. Zdawać by się mogło na początku, zupełnie do siebie niedobranych. Wzięli ślub w Brwinowie pod Warszawą, 12 września 1922 r. i przeżyli razem w szczęściu 57 lat. Mieszkali w domu rodzinnym w Stawisku pod Warszawą.

Krzysztof MUSZKOWSKI

Rozprawa z Krzywicką

Agata Tuszyńska jest nie tylko pisarką, ale i znakomitą dokumentalistką. Dowiodła tego już w swoich pierwszych książkach: „Wisnowska", „Rosjanie w Warszawie". A biografią „Singer. Pejzaże pamięci" ugruntowała swoją pozycję. Ktoś napisał, że Tuszyńska jest archeologiem literatury, że pracuje metodą odkrywkową, dociera do dokumentów, ludzi, miejsc już dawno pogrzebanych. Odkrywa je na nowo, tak dla czytelników, jak i dla siebie, może przede wszystkim dla siebie.

Agata Tuszyńska ma ogromny szacunek dla starości. Uwielbia słuchać starości. Jest dla niej cierpliwa. Słucha, i stale zadaje pytania, stale chce wiedzieć więcej o ludziach, ich czasach, ich miejscach. Tak utrwala i wykrada zapomnieniu. Tak wykradła Marię Wisnowską, świat Isaaca Beshavisa Singera, no i Irenę Krzywicką.

Tuszyńska napisała kiedyś:

jeżeli jestem światem
jeżeli jestem
jeżeli

i kiedy już minę
kiedy już
kiedy

tę pustą polanę
nazwiesz
swoim domem

moim imieniem

tęsknotą

(z tomu „Adresat nieznany", Warszawa 1997 r.)

Tuszyńska tęskni do tych, którzy odeszli, tęskni za ich czasem. Szukanie śladów jest dla niej o wiele ciekawsze, niż słuchanie jej własnej epoki.

„Długie życie gorszycielki. Losy i świat Ireny Krzywickiej" to uzupełnienie tego wszystkiego, o czym powiedziała Tuszyńskiej Krzywicka przy pracy nad książką „Wyznania gorszycielki"*. Po raz pierwszy pisarki spotkały się latem 1988 roku w domu Krzywickiej w Bures-sur-Yvette pod Paryżem.

„Mimo grubych okularów zasłaniających oczy, bez trudu odnajdywałam w jej twarzy znajome ślady metafor z portretów malowanych przez Witkacego. Te obrazy podsuwały inne, zapamiętane z fotografii, opowiadań, lektur (...) Na głowie miała chustkę w granatowo-białą łączkę, związaną z tyłu, nie pod szyją. Ręce trzymała na kolanach. Bezustannie, do krwi, skubała skórki przy paznokciach" – wspomina to spotkanie Tuszyńska w „Długim życiu gorszycielki".

Tuszyńska przeprowadziła dziesiątki rozmów z ludźmi, którzy Krzywicką znali, dotarła do bardzo wielu dokumentów. Książka jest w zasadzie wielogłosem, rozmową, wspominaniem. Nie została napisana jak typowa biografia. Tu w zasadzie nie ma jednego narratora. Nawet Krzywicka, której

* Tuszyńska Agata, „Długie życie gorszycielki. Losy i świat Ireny Krzywickiej", Iskry, Warszawa 1999 r.

wypowiedzi jest najwięcej, nie jest narratorem. Ta książka to taka salonowa rozmowa wielu: Kazimierza Brandysa i Julii Hartwig, Erwina Axera i Stefanii Grodzieńskiej, Agnieszki Holland i Teresy Torańskiej, Leszka Kołakowskiego i Joanny Kulmowej, i wielu innych. Choć Krzywicka przewodzi, tak jak robiła to przez całe życie. Tuszyńska mówi, że ta forma pasuje do Krzywickiej, która lubiła rozmawiać, prowadziła salony. Komentarze autorki ograniczają się w zasadzie do porządkowania tego wielogłosu, nadania mu toru, albo do prostowania. Tuszyńska nie zawierzyła swojej bohaterce, ani jej bliskim, przeciwnie: stale czuwa i sprawdza każdą wypowiedź. Tak daje poznać myślenie Krzywickiej – pokazuje w jaki sposób ta chciała o sobie mówić, jak tworzyła swój wizerunek – ale i zarysowuje dokładny obraz skandalistki i jej epoki.

I tak Krzywicka opowiada o recenzji, jaką miała napisać z socrealistycznej sztuki Aleksandra Korniejczuka. „Nie mogłam pochwalić (...) do tego stopnia nie mogłam się poniżyć". Dalej podaje jakoby za krytykę tego spektaklu została wyrzucona z *Rzeczpospolitej*. Agata Tuszyńska uzupełnia to przypisem: „W grudniu 1950 roku w dzienniku *Rzeczpospolita* zamieszczono trzy różne recenzje Ireny Krzywickiej sztuk Aleksandra Korniejczuka, prezentowanych w Warszawie przez Ukraiński Teatr Dramatyczny z Kijowa. Z dzisiejszej perspektywy wszystkie trzy wydają się jednakowo entuzjastyczne i pisane według obowiązujących wówczas kanonów. Ostatnią recenzję Krzywickiej ze sztuki Korniejczuka opublikowano 18 grudnia 1950 roku. *Rzeczpospolita* przestała wychodzić w niespełna dwa tygodnie później, z końcem grudnia 1950, a cały jej zespół został rozwiązany".

Agata Tuszyńska wiele miejsca poświęca tamtemu okresowi w życiu Krzywickiej; tamtemu, czyli zaangażowanemu politycznie. I choć często znajomi Krzywickiej mówią, że w jej domu nie była obecna polityka, raczej dyskutowało się o sztuce, to jednak wtedy ukształtowała się inna, druga Krzywicka, jak nazwał ją Kazimierz Koźniewski w „Odrodzeniu".

„Jest rok 1949. Irena Krzywicka wydaje się zafascynowana nie tylko budową komunizmu i zaostrzającą się walką klasową, ale również heroicznymi zmaganiami ojczyzny międzynarodowego proletariatu. Czy fascynacja ta jest autentyczna? Czy prawdziwy bezkrytyczny stosunek do nowej rzeczywistości?" – pyta Tuszyńska.

Krzywicka czynnie uczestniczyła w życiu szkolnym swojego syna, Andrzeja. Pisała książkę o młodzieży, przychodziła na lekcje wychowawcze. Jolanta Klippel-Borkowska z klasy Andrzeja Krzywickiego, opowiada na postawione tu pytania: „Na (...) przesłuchaniach u pani Krzywickiej byłam kilkanaście razy. Przychodziłam po lekcjach, siadałam, oświetlano mnie silną żarówką. Typowe ubeckie metody. Zaczynało się nagabywanie, molestowanie, grożenie konsekwencjami usunięcia ze szkoły, zapewnianie, że przy tak wadliwej i niesłusznej postawie moralnej nie mam szans dostania się na studia, a moja matka straci pracę. Oko w oko, twarz w twarz. Ona się uparła, że skończy książkę według swojego planu, że przeciągnie wszystkich na stronę ZMP-owską. Miała obsesję skończenia książki według swojego socjalistycznego scenariusza". I w innym miejscu: „Pastwienie się nade mną pani Krzywickiej rzutuje na moją postawę do dziś (...) Szkoła, za czasów bytności w niej pani Krzywickiej, była dla mnie gehenną". Inni nie są aż tak ostrzy w swoich sądach.

W roku 1953 syn Krzywickiej, Andrzej, zachorował na polio. To był dla niej ciężki cios. Dziesięć lat wcześniej straciła starszego syna, Piotra. To zrewidowało jej poglądy i spojrzenie na świat. Poświęcała się tylko opiece nad synem. Żyła tylko dla niego. „Trzeba było grzać najpierw wielkie kubły ze szmatami, nosić je z kuchni do pokoju, owijać Jędrka w parujące kompresy, a potem gimnastykować. Zabiegi trwały wiele godzin" – wspominała po latach. Swoją walkę o syna opisała później w książce „Wichura i trzciny".

Tuszyńska wiele miejsca poświęca tej ogromnej przyjaźni, jaka łączyła Krzywicką z synem. Po wyjeździe z Polski Krzywicka prawie zupełnie przestała pisać. Na początku próbowała zainteresować swoimi książkami wydawców w Polsce i we Francji. Bez rezultatu. Żyła pamięcią. Uwielbiała opowiadać o swoim życiu, o Boyu, o „Ziemiańskiej", o swoich książkach i skandalach, jakie wywoływała w przedwojennej Warszawie. Była snobem, lubiła otaczać się ludźmi nie tylko nieprzeciętnymi, ale i wybitnymi. Jeszcze w swoim francuskim domu urządzała salon, zapraszała wybitnych przybyszów z kraju. Ale jedyną wartością jej życia był Andrzej.

Tuszyńska nie osądza Krzywickiej, jest sprawiedliwa, obiektywna, po prostu odsłania jej losy, weryfikując wspomnienia z rzeczywistością. Więcej, udaje się jej odtworzyć tamten czas, a lektura tej książki jest zaproszeniem do salonu

Ireny Krzywickiej. Dodać też trzeba, że Andrzej Krzywicki zaakceptował książkę, przyjął taki obraz, wizerunek matki.

Irena Krzywicka zmarła w 1994 roku w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat. O autorce „Pierwszej krwi" można mówić wiele, a sądy mogą być bardzo różne. Bez wątpienia była osobą nieprzeciętną, miała barwne, ale i trudne życie. Krzywicka napisała swoją biografię sama. Zostawiła tylko to, co chciała. „Skroiła przeszłość na miarę swoich potrzeb. Dbała o nią sama. Przerabiała i zmieniała w miarę upływu czasu i dojrzewania pór roku. Utrata wzroku nie przeszkadzała jej w tym zajęciu".

Paweł Jasienica napisał w 1956 roku w tygodniku *Świat*: „Współczesnemu człowiekowi szczególnie potrzeba wiedzy, która by stanowiła pożywkę dla jego własnej krytycznej i dociekliwej myśli. W wielkiej obfitości dostarczą mu jej pamiętniki. Proces poznawania nowych faktów i związków między nimi dostarcza przeżyć estetycznych równie potężnych, co i sztuka. Nieurojone losy ludzkie omawiane przez pamiętnikarzy wprowadzają nas często w świat bardzo dziwny, czynią świadkami takich zdarzeń i powikłań jakich nigdy by nie wykoncypował najbardziej pomysłowy powieściopisarz". Te słowa i dziś są aktualne. A pisarka Agata Tuszyńska dba, by losy te nie były urojone.

Remigiusz GRZELA

Nadesłane nowości wydawnicze

Adam Mickiewicz: um poeta peregrino. Oprac. H. Siewierski. Str. 63. Oficina Editorial, Instituto de Letras, UnB, Brasilia, 1998.

ALBINOWSKI (Stanisław). *Bogactwo i nędza narodów.* Studia o gospodarce światowej u progu XXI wieku. Str. 315. DM Elipsa, Warszawa 1996.

ARTYMOWICZ (Nadzieja). *Łagodny czas.* Wybór i opracowanie T. Korabowicz. Str. 113. Wyd. Ośrodek Brama Grodzka Teatr NN, Lublin 1998.

AUSTER (Paul). *Czerwony notatnik.* Przełożył M. Fedyszak. Str. 160. Noir sur Blanc, Szwajcaria 1998.

BERBEROWA (Nina). *Podkreślenia moje.* Autobiografia. Przekład E. Siemaszkiewicz. Str. 645. Noir sur Blanc, Szwajcaria 1998.

BOBKOWSKI (Andrzej). *Coco de Oro.* Szkice i opowiadania. Str. 256. Tow. Opieki nad Archiwum IL w Paryżu, Wyd. UMCS, Lublin 1998.

BOCKENHEIM (Krystyna). *Przy polskim stole.* Seria: A to Polska właśnie. Str. 218. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998.

BOKOV (Nicolas). *Dans la rue, à Paris.* Str. 125. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1998.

BORGES (Jorge Luis). *Powszechna historia nikczemności.* Str. 115. Prószyński i s-ka, Warszawa 1998.

BRANDYS (Kazimierz). *Miesiące 1982-1987.* Str. 469. ISKRY, Warszawa 1998.

BRODZIŃSKI (Konrad). *Pułapki języka angielskiego.* Str. 159. Wydawnictwo PULS, Londyn 1998.

BUONARROTI (Michel Angelo). *Wiersze i listy w wyborze.* Przekład J. Kolankowski. Str. 129. Wyd. MISTAR, Przeworsk, 1998.

CHABROWSKI (Tadeusz). *Gałąź czasu.* Str. 127. Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1996.

CHABROWSKI (Tadeusz). *Kościół pod słońcem.* Str. 68. Norbertinum, Lublin 1998.

CIORAN (Emile). *Ćwiczenia z zachwytu.* Eseje i portrety. Przełożył J. M. Kłoczowski. Str. 136. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1998.

DĄBROWSKA (Anna). *Język polski.* Seria: A to Polska właśnie. Str. 281. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1998.

DZIERŻANOWSKI (Andrzej Maria). *Autem w sobotę i inne opowiadania.* Str. 61. Wyd. OKIS, Wrocław 1998.

FICOWSKI (Jerzy). *Bajędy z augustowskich lasów.* Str. 107. Ośrodek „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów", Sejny 1998.

FIUT (Aleksander). *Moment wieczny.* Poezja Czesława Miłosza. Str. 399. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998.

GIZELLA (Jerzy). *Sąsiad marnotrawny.* Str. 64. Wyd. Baran i Suszczyński, Kraków 1998.

GIZELLA (Jerzy). *Wiersze wybrane.* Str. 64. Wyd. Baran i Suszczyński, Kraków 1997

HERBERT (Zbigniew). *Barbarzyńca w ogrodzie.* Str. 281. Czytelnik, Warszawa 1998.

HERBERT (Zbigniew). *Dramaty.* Str. 167. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1997.

HERBERT (Zbigniew). *Epilog burzy.* Str. 78. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998.

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą 1993-1996.* Str. 769. Czytelnik, Warszawa 1998.

Informator nauki polskiej 1997/98. Tom 1: Instytucje decyzyjne i doradcze. Str. 177; Tom 2a: Instytucje naukowe i Tom 2b: Instytucje naukowe. Str. 1651; Tom 3: Społeczny ruch naukowy. Str. 287; Tom 4: Ludzie nauki. Str. 1019. Ośrodek Przetwarzania Informacji, Warszawa 1998.

KAPUŚCIŃSKI (Ryszard). *Heban.* Str. 340. Czytelnik, Warszawa 1998.

KATZ (Janina). *Blandt andet.* Digte. Str. 45. Vindrose, Copenhagen 1998.

KLEPFISZ (Heszel). *Przedwojenny świat przez pryzmat młodego żyda polskiego.* Eseje 1931-1937. Str. 146. Wyd. Erab Reut-L.t.d., Tel Awiw 1999.

KOMAR (Michał). *O obrotach losów i ciał.* Str. 211. Wyd. W.A.B., Warszawa 1998.

KONARSKA (Felicja). *Liście na*

wietrze. Str. 201. Wyd. Leliwa, Warszawa 1998.

KOSSOWSKA (Stefania). *Przyjaciele i znajomi.* Str. 132. Biblioteka Uniwersytecka, Toruń 1998.

KUNDERA (Milan). *Sztuka powieści.* Esej. Wyd. 2 zm., przeł. Marek Bieńczyk. Str. 142. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1998.

Les grands questions de la philo. Anthologie de textes de l'antiquité a nos jours. Red. M-R. Morville. Str. 435. Maisonneuve et Larose, Paris 1998.

LIPSKA (Ewa). *Mennesker for Begyndere.* Przekład J. Katz i H. Hartamnn. Str. 57. Husets Forlag/S.O.L., Arhus 1999.

LIZAKOWSKI (Adam). *Chicago miasto nadziei.* Str. 93. Chicago 1998.

LIZAKOWSKI (Adam). *Manifest pokoleniowy czyli złodzieje czereśni proszą o głos.* Str. 74. The Unpaid Rent Poetry Group, Chicago 1997.

ŁUBIEŃSKI (Tomasz). *M jak Mickiewicz.* Str. 315. Świat Książki, Warszawa 1998.

MAALOUF (Amin). *Skała Taniosa.* Przeł. D. Ben Ghorbal. Str. 322. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1998.

MADEJ (Bogdan). *Głęboką nocą. Walc.* Str. 55. Wyd. UMCS, Lublin 1998.

MADYDA (Aleksander). *Zygmunt Haupt.* Życie i twórczość literacka. Str. 172. Seria Archiwum Emigracji, t. VII. Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1998.

MAJCHROWSKI (Zbigniew). *Cela Konrada. Powracając do Mickiewicza.* Str. 345. Wyd. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1998.

MAREK (Edmond). *Mickiewicz et ballade romantique.* III. Composition, lecture et publication. Str. 17. Toulouse 1998.

MAREK (Edmond). *Mickiewicz et ballade romantique.* IV.Themes et motifs. Str. 27. Toulouse 1999.

MĄDEL (Krzysztof). *Szczypta optymizmu. Katolicka myśl społeczna dla niewtajemniczonych.* Przedmowa R. Legutko. Str. 170. Biblioteka „Więzi", Warszawa 1998.

MIKOŁAJCZAK (Aleksander Wojciech). *Łacina w kulturze polskiej.* Seria: A to Polska właśnie. Str. 339. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998.

MIŁOSZ (Czesław). *Rodzinna Europa.* Str. 370. Czytelnik, Warszawa 1998.

MIŁOSZ (Czesław). *To, co pisałem.* Wiersze. Wybór, układ i posłowie Włodzimierz Bolecki. Str. 636. Świat Książki, Warszawa 1998.

MOSTWIN (Danuta). *Słyszę, jak śpiewa Ameryka.* Str. 284. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1998.

MROŻEK (Sławomir). *Powieści. Ucieczka na południe. Maleńkie lato.* Dzieła zebrane. Tom XI. Str. 434. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 1998.

MROŻEK (Sławomir). *Teatr 5. Krawiec. Tango. Czarowna Noc. Śmierć porucznika.* Dzieła zebrane. Tom X. Str. 249. Noir sur Blanc, Warszawa 1998.

PUZYNINA (Jadwiga). *Słowo – wartość – kultura.* Str. 478. Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1997.

REMARQUE (Erich Maria). *Wojujący pacyfista.* Artykuły i wywiady 1929-1966.Wybór T. F. Schneider, przeł. W. Kunicki. Str. 136. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1998.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

4.6.99
W Uniwersytecie w Białymstoku miało miejsce otwarcie pierwszej konferencji Katedry Teologii Prawosławnej. Przy tej okazji prawosławny metropolita Sawa wręczył rektorowi Jamrozowi, w imieniu soboru biskupów autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, Order Marii Magdaleny pierwszego stopnia. ■ Staraniem Fundacji im. Stefana Batorego została zorganizowana konferencja „Perspektywy Słowacji. Przemiany demokratyczne i otwarcie na świat". Program konferencji składał się z dwóch sesji: 1. Tworzenie państwa narodowego. Bilans zerwania. Historia i mity, 2. Polityka wewnętrzna i zagraniczna po upadku rządu Vladimira Mecziara.

16.6.99
W Warszawie odbyło się uroczyste otwarcie 66 Światowego Kongresu Międzynarodowego PEN Clubu.

ZACHÓD

2.6.99
Zmarł w Paryżu w wieku 91 lat Stefan du Château, znany architekt.

7.6.99
Pisarz i dramaturg, Janusz Głowacki, otrzymał główną nagrodę na festiwalu filmowym w Nantucket (USA). Nagrodą wyróżniono scenariusz zatytułowany „Hairdo".

8.6.99
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Jan Orłowski z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie wygłosił odczyt p.t.: „Fryderyk Chopin w poezji rosyjskiej".

15.6.99
Znana organizacja międzynarodowa Aide à l'Eglise en Détresse w swym sprawozdaniu za rok 1998 podaje wykaz dotacji udzielonych w 150 krajach. Podajemy pozycje dotyczące Europy Wschodniej. Białoruś otrzymała 671.366 dolarów, Czechy – 1.410.166, Estonia – 33.683, Jugosławia – 373.585, Łotwa – 153.803, Litwa – 891.125, Polska – 4.349.405, Rumunia – 1.584.932, Rosja katolicka – 1.132.676, Rosja prawosławna – 2.338.908, Słowacja – 2.112.295, Słowenia – 194.834, Ukraina – 3.681.355. L'Eglise en Détresse w ub.r. otrzymała dotacje z 17 krajów w wysokości 72.347.830 dolarów.

21.6.99
W 150-tą rocznicę śmierci Fryderyka Chopina merostwo Paryża, Ambasada RP i Instytut Polski zorganizowały koncert, który odbył się na dziedzińcu Biblioteki Historycznej miasta Paryża. Utwory Chopina wykonywali: Janusz Olejniczak (fortepian) oraz Trio Andrzeja Jagodzińskiego.

22.6.99
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce wykład Jana Malickiego, kierownika Wschodniej Szkoły Letniej Uniwersytetu Warszawskiego i redaktora *Przeglądu Wschodniego* i *Obozu* na temat „Polskie badania wschodnie lat 1990 – ludzie, ośrodki, kierunki".

23.6.99
W Księgarni Dobosz w Paryżu odbyło się spotkanie z Lucy Ulrych, autorką książki „Naprawdę widzę". Poprzedniego dnia miał miejsce wieczór poświęcony książce Andrzeja Dobosza „O kapeluszu". ■ Sekcja Polska Uniwersytetu Paris IV zorganizowała przedstawienie „Czy wiesz ile trzeba było odwagi, żeby zatańczyć tango" na podstawie „Tanga" Mrożka. Przedstawienie odbyło się w Grand Palais. Reżyserowała Agnieszka Grudzińska.

2.7.99
W Centre du Dialogue w Paryżu ks. abp Józef Życiński wygłosił odczyt na temat „Różnice stylów w polskim katolicyzmie: pęknięcie czy zwyczajny pluralizm". W niedzielę 4-go lipca abp Życiński przewodniczył Zjazdowi Katolickiemu w Osny.

SPROSTOWANIE

W czerwcowym nrze *Kultury* w „Wydarzeniach miesiąca" podano bardzo nieścisłą informację o kolokwium, które miało miejsce w Instytucie Polskim w Paryżu w dniach 27 i 28 maja br. Podajemy poprawiony tekst przepraszając za niedopatrzenie.

27-28.5.99
W Instytucie Polskim w Paryżu odbyło się dwudniowe kolokwium z udziałem polskich i francuskich dziennikarzy na temat: „Les intellectuels catholiques et la formation de la démocratie en Pologne". Kolokwium poświęcone było pamięci Jerzego Turowicza, założyciela i do ostatniej chwili życia redaktora naczelnego *Tygodnika Powszechnego*. Obrady zostały poprzedzone Mszą świętą odprawioną przez Kard. Jean-Marie Lustigera w intencji śp. Jerzego Turowicza. Słowo wstępne wygłosił Ambasador RP w Paryżu, Stefan Meller. Animatorami, prelegentami i dyskutantami w czasie tych dwu dni byli: Tadeusz Mazowiecki, bp. Tadeusz Pieronek, Jean Offredo, Aleksander Smolar, Paul Thibaud, René Rémond (oraz inni). Na spotkanie przybyła małżonka Anna Turowiczowa oraz ich dwie córki z rodzinami.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Szymon M, Polska: **– Zapewne teksty Pana, wsparte melodią, nieźle funkcjonują jako piosenki. Jako samodzielne wiersze nie bronią sie jednak.**

Jerzy P.B., Dania: **– Imponuje Pańska patriotyczna postawa. Szkoda, niestety, że nie potrafi Pan dla niej znaleźć odpowiedniego poetyckiego wyrazu.**

Wanda P.R., Anglia: **– Utwory przez Panią tym razem nadesłane spełniają wszystkie możliwe walory poezji... młodopolskiej. Rzecz w tym, że dziś ten typ wrażliwości poetyckiej wydaje się całkowicie wyeksploatowany i tym samym nie jest w stanie poruszyć**

Dorota W., Polska: **– Nie zamieścimy Pani opowiadania „Dziewica". Słabe i pretensjonalne.**

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
W NIEMCZECH ZACHODNICH
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
– Literatura piękna i fachowa,
– Albumy, plakaty, pamiątki,
– Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

WSPOMNIENIA

Jan Józef Lipski: *Proces Anny Rudzińskiej i Klub Krzywego Koła* 167
Anna Rudzińska: *Sprawa „Kultury" paryskiej* 169

CI, CO ODESZLI

Leopold Unger: *Ireny Szymańskiej śmierć bez frazesów* 187
Michał Komar: *Włodzimierz Sokorski* 192
Andrzej Stach: *O Christianie Skrzyposzku* 196

NOTATKI REDAKTORA 197

KSIĄŻKI

Kamila Chylińska *Dwie książki – niepostuszne* 200
Leonard Neuger: *Poszukiwanie uchwytu* 207
Krzysztof Muszkowski: *Pierwsze cztery lata...* 213
Remigiusz Grzela: *Rozprawa z Krzywicką* 214
– *Nadesłane nowości wydawnicze* . . 218

●

– *Wydarzenia miesiąca* 221
– *Sprostowanie* 222

●

– *Odpowiedzi redakcji* 223

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3ème trimestre 1999.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52
e-mail: kultura@club-internet.fr

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1999		
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz,** Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. 18-228-56 W020 (*z Francji*)
lub C.C.P. 18-228-38 B020 (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA" (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE" (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464 **Cena F. 200,00**

●

Tom 507 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT
STO DWUDZIESTY ÓSMY

zawiera opracowania: J. Stadnicki: *Mój pamięciowy obraz Oświęcimia;* **P. Waingertner:** *Dekompozycja środowiska „Naprawy" (1935-1937);* **M. Sworzeń:** *Sędziowie w podbitym kraju;* **J. Nowak-Jeziorański:** *Zrabowane zasługi;* **J. Jedd:** *Wyjątki z przemówienia;* **H. Świderska:** *Z dziejów polskiej prasy w Anglii;* **J. Dunin-Horkawicz:** *Jak szanować Litwę?* **G. Motyka:** *Ostro tak, ale czy zawsze prawdziwie?* **Z. Sroczyński:** *Konspiracja krakowska 1939-1945;* **S. Tamowicz:** *Pluton łączności kanałami;* **P. Wandycz:** *Pożegnanie Aleksandra Gieysztora;* **Z. Wysłouch:** *Pożegnanie Ojca;* **G. Gömöri:** *Świadectwo bujnego życia;* **T. Wyrwa:** *Stosunki polsko-fińskie w latach 1939-1941; Jak Niemcy oceniali w 1920 r. polskich dowódców? Apel Kościuszkowski;* **H. Anders-Nowakowska:** *Dwa listy do Brata;* **M. Rudzki:** *Architekci Juliusz Nagórski i Jan Łukasik w latach okupacji niemieckiej;* **M.K. Dziewanowski:** *Wybitni ludzie o jakich otarłem się;* **J. Jankiewicz:** *Kijowskie impresje;* **Nadesłane nowości wydawnicze i LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 224 **Cena F. 90,00**

Cena 90 F

I.N., 93400 St-Ouen – 4193 -1999